

K. S. BODZANTOWICZ.
(KAJETAN SUFFCZYŃSKI.)



BOJE POLSKIE

i

PRZYGODY ŻOŁNIERSKIE.



Bożentow Hartl

Lwów — Złoczów.

Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zuckerkaudla.

1871

K-149/87 p

op.



M3910



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0490180

Od czasu przyjęcia chrześcijaństwa u nas misją historyczną Polski była obrona cywilizacji i wiary Chrystusa. Wierne temu posłannictwu rycerstwo polskie wyrobiło w sobie uczucia nie znane, a raczej nie praktykowane przez szwalerya Zachodu.

Tam, rycerz pasowany przysięgał miecz swój poświęcić obronie uciśnionych i usłudze płci pięknej; — a jakieżże gwałtów i zbrodni dopuszczali się nietylko świeccy, ale zakonnicy rycerze?

A owa usługa płci pięknej na czemże zależała? — Oto na ogłoszeniu damy myśli swoich za najpiękniejszą. — a ktoby tego nie chciał przyznać, — z tym bój śmiertelny staczali. Tak to pojmwali często rycerze Zachodu szczytne powołania swoje. —

Nic podobnego nie istniało w Polsce: pasowanie na rycerza było rzeczą wyjątkową, najczęściej przez obcych monarchów pojedyńczym ludziom, poświęcającym im usługi swoje, udzielane: cała zaś walcząca rzesza nie uznawała potrzeby tego bodźca, żeby spełniać chrześcijańską i ludzką misję swoją.

Rycerz polski wiecznie miał przed oczyma oznaki powołania swego: bo na tarczy herbowej napotykał zawsze prawie krzyż, godło tej wiary, której bronić miał; bez przysięgi tedy, bez osobnych zobowiązań, rycerstwo polskie był to istny zakon, i szczytnie myśl tę przedstawiła autorka pieśni do Św. Cecylii, wzywając jej modłów za ludem polskim:

W habicie z kutej stali, w kapturze z przyłbicy,
(za) Ludem wielkiego serca i dzielnej prawicy,
Módl się Twą pieśnią w niebie, o Cecylijo święta:
Żołnierzy Swoich niechaj Bóg pamięta!

I długo, długo!... dopóki Polska, wierna tradycji swojej, w imię Boga staczała boje, odpychała wpływ cudzoziemski i przyszłość na przeszłości opierała, dopóty Bóg błogosławił walczącym i dał im staczać boje szczęśliwe z kilkakroć liczniejszym nieprzyjacielem. —

Z dumą powiedzieć możemy, że żaden naród nie poszczyci się takimi nierównymi co do siły walkami, jakie staczali ojcowie nasi; nie jest to wcale zarozumienie narodowej miłości własnej: bo historia, ten bezstronny sędzia, stwierdza to założenie, jej świadectwa wzywając — spojrzjmy w przeszłość. —

Około połowy XIII. stulecia hordy tatarskie, zalawszy Północ całą, dumne zwycięstwem, npojone powodzeniem, jak drugi bicz Boży prowadził na zdobycie świata srogi Batuhan. Na te wieści przestрах ogarnął świat cały; ale nie złamał

ducha Polaków. Piastowie słączy we 30,000 zastępują drogę tej kilkokrociowej nawałnicy, pod murami Lignicy ścielą trupem trzy razy więcej wroga, jak walczących Polaków było. i wtłaczają ten straszny potok w naturalne łożysko swoje. —

Kilkadziesiąt lat przedtem, cesarz rzymski, ten przedstawiciel rycerstwa Zachodu, żąda od Polski przyznania sobie patronatu, i jako dowód wazalstwa opłaty haraczu.

Krzywousty ze wzgardą odrzuca te dumne żądania; z garstką rycerzy stacza bój krwawy na polach Wrocławia, ścielę trupem większą część nieprzyjaciół, których krwawe szczątki psy rozrywały, a lud to miejsce, dla wiecznej pamiętki, Psem polem dotąd nazywa.

Nie długo potem, kilkoletnie boje Łokietka, drobnymi staczane siłami, czyżto nie był ciągły szereg zwycięstw nad wiele razy liczniejszym nieprzyjacielem odnoszonych?

Najdobitniej założenia mego dowodzi pogrom Krzyżaków przez Władysława Jagiełłę dokonany. Świat chrześcijański uwiedziony kłamliwymi wieściami przez Krzyżaków rozsiewanemi, że Jagiełło, to pozornie nawrócony poganin, a naród polski gotowy przyjąć dawne błędy swego monarchy, — zrobił krucyatę na oczernioną Polskę. Cały świat brał udział w tej olbrzymiej wyprawie; wszystkie zakony rycerskie, szwalerya Niemiec całych, Francyi, Burgundyi, Anglii, Szkocyi i Włoch,

tłumnie dążyła do Prus, a kiedy przegląd robiono skoncentrowanych sił krzyżackich, sto tysięcy prawie rycerstwa naliczono. Całej tej niesłychanej potędze przewodził Mistrz W., Ulryk Jungingen, i jakby na urągowsko, na piersiach zawiesił relikwiarz, na którym przed dwoma laty przysięgał wierność Jagiełło, — i z pieśnią krzyżacką: „Jezus zmartwychwstał“ ciągnął rycerz zakonnik na zagładę chrześcijańskiego narodu.

Na wieść o tym strasznym najeździe zebrali Jagiełło liczniejsze wprawdzie od krzyżackich zastępy, ależ w większej połowie byli to Litwini i Tatarzy, łukiem, dzidą i szablą uzbrojeni; nie było więc podobieństwa, żeby wytrzymali atak od stóp do głowy zakutego w żelazo rycerstwa Zachodu. Pojęli to Krzyżacy, to też jak uragan, (którego huk, jak mówi historia, o mil kilka słyszać było) uderzyli na skrzydło litewskie, złamali je, a kiedy pod tym naciskiem pierzchnęli Litwini, los bitwy miało rozstrzygać rycerstwo polskie, o połowę liczebnie mniejsze od armii Krzyżaków. A przecież jak straszny był rezultat tego boju! — Dwie trzecie części tego wybornego rycerstwa niemal świat całego trupem zalegiło pola Grünwaldu i Tannenberg, połowa resztująca dostała się do niewoli, ledwie kilka tysięcy znalazło schronienie w murach Malborka.

I syn nie odrodził się od ojca, — dwudziestoletni Warneńczyk, jedyny władca, co mógł

wyrzucić Turków z Europy, — na czele Polaków i Węgrów gromi ich w kilku szczęśliwych bitwach, oswabada prowincje sławiańskie od jarzma tureckiego, i pod murami Warny ma im zadać cios ostateczny. Przezorny Huniady odradza boju i odmawia pomocy, aż dążące posiłki nadejdą; ależ rycerski król na nic nie pomny, w niespełna 3000 rycerstwa polskiego rzuci się w tłumy Turków, łamie ich szeregi i pędzi zdumiałą tłuszcę... jeden już tylko zastęp janczarów zostaje, w środku którego drżący ze strachu, na koniu skutym kajdanami, stoi wylekły Amurat: ten ostatni zastęp złamany, a ginie i padyszach i potęga jego. Wpadają na ten zastęp Polacy, nie wiedząc, że ich tam czekała zdrada; w starannie ukrytym rowie pada koń pod królem, i na stosach trupów ginie młody bohater i rycerstwo polskie.

A wszystkie zwycięstwa Tarnowskiego, Konstantego z Ostroga i tylu innych wodzów, co oświecili panowanie ostatnich Jagiellonów, czyż nie dowodzą tej przewagi rycerstwa polskiego?

Drugi z szeregu królów elekcyjnych, Stefan Batory, największy niewątpliwie z władców Polski, z tem wieszczem przewidzeniem przyszłości, cechującym wielkich mężów, zamyślił powstrzymać rosnącą potęgę caratu. Zrozumiał on, że Moskwa, jak każdy naród azjatycki, silniejszy stawia opór za przykopem jak w czystym polu, i że w wojnie

którą przedsięwziął, nieprzyjacieli w oszańcowanych miejscach trzymać się będzie. Dlatego sformował on zastępy piechoty, broni nie używanej dotąd w Polsce, i przełożył nad nią Weichera i Wybranowskiego, wielkiej odwagi mężów.

Dzielnie odpowiedzieli oni położonemu w sobie zaufaniu: bo kilkotysięczny zastęp ich brał szturmem Zawoloczę, Wielkie Łuki, Wielicz, Uświat po kilkadziesiąt tysięcy załogi liczące. Jeden tylko ustęp z tej wojny przytoczę.

Andrzej Sapięha, pod Wenden we 2000 kawalerji i kilkadziesiąt piechoty gromi dwudziestotysięczną armię moskiewską, która po tej klęsce zamyka się w obwarowanym miejscu; Sapięha zpiesza swój oddział, zdobywa szanice, połowę tej armji w pień wycina, drugą bierze do niewoli: kanoniery, nie mogąc obronić dział swoich, wieszają się z rozpacz.

Panowanie Zygmunta III., najobfitsze w znakomitych mężów, ileżto przedstawia dowodów niesłychanej odwagi rycerstwa polskiego. Wszystkie boje Zamojskiego, Żółkiewskiego, Chodkiewicza i tylu innych świadczą o tem. — Ów bój pod Kirchholmem, gdzie 4000 Polaków znosi 16,000 Szwedów, najdzielniejszego ówczesnego żołnierza. Wśród strasznej mieszaniny, jaką przedstawiała bitwa, jakiś rajtar dopadł do miejsca, gdzie stał Chodkiewicz i orszak jego. Po złotej zbroi, w jakiej był młody książę Wiśniowiecki, wziął on go za hetmana i wystrzałem z pistoletu trupem położył;

ależ hetman pomścił się śmierci młodzieńca, natarł na rajtara i straszne cięciem zmiotł mu głowę z karku.

Alboż owe Eleary polskie, Lissowczykami od pierwszego wodza swego nazwane, cóż ci nie dokazywali? W kilka tysięcy koni przechodzą niezmiernie przestrzenie Moskwy i docierają do Oki, w nieznanym Sybirze; obławowani zdobyczą wracają do kraju, gdzie wysłańcy cesarza Maksymiliana wzywają ich pomocy przeciw zbuntowanemu Betlen Gaborowi. W pięć dni z Podgórzca stają pod murami Wiednia, stoczywszy po drodze dwie bitwy szczęśliwe: na wieść o ich pochodzie cofa się armia Gabora. — Po krótkim wypoczynku, wraz z armją cesarską idą do Niemiec, w pław przebywają Ren, zapuszczają się w głąb Francji, rabują Rheims i docierają do rogatek Paryża. Gdyby nie świadectwa historyczne i to cudzoziemców, czyżby uwierzyć można, że kilka tysięcy zbrojnego ludu przeszło całą niemal Europę, złamawszy wszelkie przeszkody, jakie po drodze napotkali? *)

Pod synami Zygmunta rozliczne wojny z Moskwą, Szwedami, Kozakami, Tatarami i Siedmiogrodzkiem Rakoczym prowadzone są nieprzerwanem pasmem bohaterskich czynów praocjów naszych. — Stefan Czarnecki pod Gołębim przepływa bystre

*) Zastępy Lissowczyków podniósł znakomity autor dzieła: „Skarga i Wiek jego.“

nurty Wisły, rozbija na drugim brzegu zastępy szwedzkie i omal że nie bierze w niewolę samego króla Gustawa.

Inną razą, niosąc pomoc Danii, w spóźnionej jesiennej porze w pław przechodzi odnogę morską, staje na wyspie Alsen i bez wytchnienia z toporem w rękę zdobywa fortecę. W tej nieśmiertelnej walce o niepodległość szedł z nim w zawody o lepsze liczny zastęp dzielnych wojowników.

Potęga Ottomanów była przez wieki ciągłą groźbą dla świata, Polakom dane było złamać ją ostatecznie pod wodzą dzielnego króla Jana. — Jeszcze będąc hetmanem gromi ich pod Chocimem, wstąpienie swoje na tron inauguruje świetną obroną pod Żurawnem i zaszczytnym traktatem; w końcu pod murami Wiednia, współ z dzielnym księciem Lotaryngii, zadaje jej cios ostateczny. — Załódze Wiednia, długą i bohaterską obroną wyćienionej, jak anioł pocieszyciel niejaki Kulczycki zwiastuje nadciągającą odsiecz; jakoż na drugi dzień o świcie widzą nieszczęśliwi mieszkańcy Wiednia spuszczone się z wyżyn Kalemberga gęste zastępy rycerstwa, i zaraz bicie w dzwony i okrzyki wesela witają zbawców chrześcijaństwa. — Wkrótce zawrzał bój straszny: lewe skrzydło pod wodzą Karola Lotaryngii, prawe pod Stanisławem Jabłonowskim dzielnie odpierają ataki jan-czarów spahów, w pośrodku zaś nieruchomy stoi ogromny zastęp husarzy polskich. Stałowe ich

zbroje, lamparcie skóry na barkach zawieszono, srebrne skrzydła u ramion, a czerwono barwne proporce kopii jaskrawo odbijały promienie letniego słońca. — Na czele tego hufca, wśród tłumu senatorów i dygnitarzy w złotej zbroi, na złotogniadym bachmacie król Jan przewodzi zastępom.

Od początku walki Kara Mustafa, wielki wezyr sułtana, upojony powodzeniem, pewny, że bój zaczęty to rozpaczne wysilenie wojsk niemieckich, które rozgromił w przechodzie przez Węgry i Arcyksięstwo, nie przypuszczając pomocy Polaków, a tem mniej obecności ich króla, którego imię samo strachem przejmowało Turków, — części ogromnej armii swojej kazał przypuścić szturm do Wiednia, drugiej odeprzeć odsiecz, i spokojny oczekiwał zdala spełnienia wydanych rozkazów. Ależ stary han tatarski, co w dwudziestu bitwach nauczył się cenić straszne ramię Sobieskiego, z oczami wlepionymi w ten huf świetny niespokojnie upatrywał złotego skrzydła znamienującego obecność króla, a które Sobieski do chwili stanowczej opuścić kazał. — Naraz na skinięcie wodza staje chorąży przed nim, wznosi to znamię hetmaństwa w górę, a kiedy jak meteor złowrogi zabłysło przed oczami hana, „Zginęliśmy!“ zawołał do wezyra, „król polski stoi przed nami!“ Niezmierny okrzyk rycerstwa polskiego powitał to hasło do boju, a kiedy błysnął szeroki bułat króla Jana, jak straszny uragan cały

zastęp uderza w tłum Turków. Wszystko, co na drodze napotyka, przebija kopią, tratują konie; w niewstrzymanym biegu przecina na dwoje armię turecką, zdobywa namioty Mustafy, i dociera do murów Wiednia; potem raptownym zwrotem zagarnia połowę tej strasznej potęgi i topi w rozpienionych nurtach Dunaju.

I od tej chwili zbladł księżyc przed znamię krzyża, — Turcy dotąd postrach świata, — pozostała tylko plaga chrześcijańskich prowincyi swoich.

Dwa panowania Sasów, był to prawie ciągły pokój poniżeniem okupiony, a kiedy wybór Poniatowskiego dopełnił miary nadużyć, we cztery lata po nim powstała Konfederacya Barska, ta epopeja szlachecka, ten niewyczerpany przedmiot dla powieści i malarstwa. Z jakimiż to trudnościami miała do walczenia ta garstka Konfederatów!... Wielkie stronnictwo w kraju żądające wprowadzenia reform, nieprzyjaźnie występowało przeciwko każdemu ruchowi zbrojnemu; król i jego adherenci z zasobem środków, jakie (jakkolwiek ograniczone) posiada każda władza, siłą i intrygą stawili czoło Konfederacyi; ogromne sąsiednie państwo stało w pomoc królowi wojska swoje, a pomimo tych trudności pięć lat walczyli dzielni rycerze Baru.

Ktokolwiek zaznał jeszcze pojedynczych członków tej bohaterskiej falangi, ten przyznać musi,

że to były typy jedyne, niejednakowo nastrojone, jak kółka jednej maszyny, ale pełni fantazyi i oryginalności, strasznej energii i odwagi, a obok wysokiej pobożności, nieubłagani w dopełnianiu obowiązków.

Początek Konfederacyi zapowiadał wielkie jej rozmiary i dobrze świadczył o poczynionych z dawną przez przywódców porozumieniach: bo wkrótce po jej zawiązaniu 30.000 zbrojnego ludu stało pod Barem. Prócz kilku chorągwi wojska, prócz nielicznych milicyi panów, większa daleko część była to szlachta od pługów albo ich dworcy. Nieprzyjacieli — w nadziei, że łatwo podoła tej masie nieujętej w karby rygo u wojskowego, śmiało ją otaczać począł; ależ nie rachował na to, co może energia i przeświadczenie o świętości sprawy, której bronili Konfederaci. — Z zapałem nie do opisania uderzyli oni na kilku punktach na nieprzyjaciela: wszędzie go złamali, kilka tysięcy trupa, — kilka tysięcy niewolnika wzięli, a to powodzenie trwogą przejęło stronnictwo królewskie. Czuło ono, że po tem zwycięstwie Konfederacya urosnie potężnie, nabierze wiary w siebie i wzbudzi ją w bardziej ogólnych, — a wtedy i posiłki obce nie podokoją ludziom takiej odwagi i poświęcenia, jakiej dali dowody walczący pod Barem, — fortelem tedy umyślano zastąpić niepowodzenie oręża.

Wystąpił w imieniu króla Mokronowski rozpoczął układy o pokój, a całe jego rokowanie taką

było nacechowane szczerotą, taką chęcią zgodnego załatwienia tej domowej sprawy, że łatwowierna szlachta nasza, nie przypuszczając zdrady, pomimo zaklinań Pułaskiego, marszałka związkowego, żeby stała pod bronią do końca układów, poczęła się rozjeżdżać do domów, a kiedy ta armia przed niedawnem do małej garstki pozostałej przy marszałkach zredukowaną została, wtedy król zerwał naraz układy i przeważne siły moskiewskie uderzyły na ten mały zastęp. Ależ i tej garstki znieść nie mogli do szczeru; odpierając dzielnie codzienne ataki, idąc krajem nawiedzonym dżumą, wstąpił przerzedzony bojami bohaterski zastęp na Wołoską ziemię. Wkrótce nadeszła śmierć Pułaskiego, pozbawiła ona Konfederacyą najdzielniejszego przewodźcy, jedynego może, pod którym mogły się skupić znaczniejsze siły, — i odtąd zaczęła się wojna partyzancka. Młodzi synowie Pułaskiego, nie długo po śmierci ojca, w parę tysięcy koni wkraczą zbrojnie do kraju, i podnoszą nanowo chorągiew Konfederacyi. W pośród zewsząd zastępującego im drogę nieprzyjaciela zapuszczają się na Podole i naprzeciw Chocima, dwa miejsca obronne zajmują, Franciszek zamyka się w Żwańcu, Kazimirz w okopach Św. Trójcy. Otoczeni zewsząd od nieprzyjaciela bronią się dzielnie, w końcu Franciszek wychodzi z palącego się miasta i przeryna się przez szeregi nieprzyjaciół, a Kazimirz wyczerpawszy zasoby

amunicyi i żywności, stromą drogą, dla pieszych nawet nieprzystępną, spuszcza się w nocy z małym oddziałem jeźdźców nad brzeg Zbrucza, przebywa go w pław, potem z tyłu uderza na nieprzyjaciela strwożonego tem niespodzianem natarciem, szablą toruje sobie drogę i idzie na Ruś Czerwoną. —

Na wieść o tym pochodzie zawiązują się wszędzie konfederacye: w Litwie, Inflantach. Żmudzi, stają zbrojne oddziały; w Koronie mało takich powiatów było, w którychby nie stanął akces do tego dzieła odrodzenia.

W województwie Płockiem dzielny Sawa, w Wielkopolsce Walewski, Dzierżanowski, Zaręba zbierają zbrojne zastępy.

Imię Kazimirza Pułaskiego już wtedy zaczęło budzić nadzieje i błyszczeć tą aureolą bohaterskiej odwagi, którą nieskażoną poniósł do grobu. Tą moralną potęgą silny, idzie z Rusi Czerwonej na Litwę, zachęca, organizuje powstanie, potem wraca do Korony bijąc się ciągle, przechodzi z jednego końca kraju na drugi i dostaje się w Karpaty. Tam patryotyczna szlachta górską śpieszy pod rozkazy jego, z doborowym oddziałem występuje na równiny, łączą się z nim inni przewódcy, biorą Tyńiec, Lanckoronę, przebywają Wisłę i podziemnymi lochami idąc wnętrzami Wawelu, zdobywają zamek krakowski. Częstochowa długo było środkowym punktem wszystkich operacyi Konfederatów; pod jej murami wrzał

nieraz bój srogi. Stąd wyszedł oddział Kuźmy, co uwiózł króla z Warszawy, tu się zjeżdżali na radę przedniejsi Konfederacyi, kiedy przedsiębrać miano jakiś krok stanowczy.

I pięć lat trwał ten bój rozpaczny, i ani siła oręża, ani brak zasobów i środków nie zdołał wytrącić szabli z ręki tych obrońców wiary i wolności —

Historja dotąd nie ujęła w swe ramy tych bohaterskich usiłowań, bo brak materyałów po temu; co się wie o nich, to tylko z podań miejscowych, z rozsianych po kraju papierów familijnych, albo z zapisków klasztornych. Z dowodów tak różnorodnych usiłowań, z ruchów tych mnóstwa oddziałów porozrzucanych po kraju, jakże trudno zdać sobie sprawę i wystawić tę długą walkę w właściwym jej świetle. — Jedno, co jest dowiedzione, to, że wszystkie oddziały walczyły z męstwem, może bez planu, bezładnie, ale niewątpliwie bohatersko; nigdy bronii nie składali, nie ustąpili kroku, ginęli z poświęceniem, jak ludzie walczący, z przysiężeniem o świętości sprawy, której się poświęcili. Czyny ich dziś w zadumieniu wprowadzają, a żelazna wytrwałość, kamienne siły żywotne, których ani głód, ani niewygody nadważyć nie zdołały, zdają się rzeczą niepojętą dla dzisiejszego wątlęgo pokolenia.

Taki był ostatni epizod kilkowiekowych czynów szlachty; w późniejszych bojach przewodzi

ona powstańczym zastępom, ale nie sama jedna walczy w nich.

Dwadzieścia lat upłynęło od czasu Konfederacyi Barskiej, a przez ten czas wielkie zaszczyły zmiany w pojęciach politycznych kraju. Sejm czteroletni wypowiada Credo Narodowe, rzeka się wyboru królów i zgubnej opozycyi, dopuszcza do praw obywatelstwo mieszczaństwo i zasługę, szanując prawo własności nie narzuca obowiązku, ale zachęca do zmiany stosunków włóściańskich, i uprawnia wszelkie układy na czynsze zrobione, dekretuje formacyą stałej siły zbrojnej i stanowi podatek ofiary. Tym pamiętnym aktem zrzuca z siebie naród zarzuty anarchii, samolubnej wyłączości uprzywilejowanej klasy i niechętnego niesienia ofiar materyalnych na potrzeby kraju. —

Wielkiej doniosłości musiał to być ten akt pamiętny, dobrze zrozumiane i ocenione potrzeby każdej warstwy narodu: bo zbawienne wydał owoce. We trzy lata po nim chwyta naród za broń i staje do boju; nie stawia tym razem na czele swoim imienia głośnego zasług historyczną, ale człowieka wielkiej cnoty, heroicznej odwagi, zasłużonego sprawie niepodległości na drugiej półkuli świata, człowieka, który wraz z Pułaskim i Niemcewiczem do Ameryki zaniósł sławę imienia polskiego, którego serce samą miłością tętnęło dla Polski i jej synów. Słowem, notliwego Tadeusza Kościuszkę.

M3810



Ze skromnym tytułem naczelnika składa naród w ręce jego dyskretyonalną władzę, i nie nadużył jej nigdy przyjacieli Washingtona.

Pod wodzą jego stoją tym razem nie same oddziały skorej do boju szlachty; ale armia szczupła wprawdzie, ale militarnie uorganizowana. Na tę wieść budzi się duch patryotyczny w mieszczaństwie. Dawno ułożony i dobrze obmyślany plan powstania w stolicy dojrzał nareszcie.

Na dane hasło lud Warszawy powstaje, wiedzą go znani z poświęcenia i cnót obywatelskich przedniejsi mieszczaństwo; pełni zapału uderzają oni wśród nocy na posterunki moskiewskie; więcej doby trwa bój zacięty, w końcu opuszcza Warszawę przerzedzona armia najezdnicza. I lud wiejski poraz pierwszy daje oznaki patryotycznego poczucia, powodowany nie zachętą zysków materialnych, ale naturalną żądzą pozbycia się wroga, w stosunku patryarchalnym do swoich dziedziców idzie w ślad za nimi — w szeregi obrońców kraju, i tam, nie w mundurze, nie z karabinem, — ale w sukmanie, z kosą w ręku zdobywa działa pod Racławicami, ściele trupem Prusaków na polach Szczekocin, ginie jak ofiara na równinach Maciejowic. — O! czemuż oni tych uczuć dla kraju i jego mieszkańców nie przelali następcom swoim!... Czemuż nie przewidzieli, że w pół wieku potem kości ich zadrżą z oburzenia na widok, jak odrodne ich wnuki przelewali niewinną krew

bezbронnych współbraci swoich; hańba i przekleństwo tym bratobójcom, a cześć i chwała owym dzielnym towarzyszom naczelnika, co owiani jednym duchem i równi poświęceniem, zalegli jedną wielką mogiłą narodową!

Po upadku insurekcyi rozebrano nieszczęśliwą Polskę: znikła ona z karty Europy, ale w sercach jej dzieci tlał zawsze zapał dla sprawy krajowej, ożywiała ich nadzieja lepszej pomyślniejszej przyszłości.

Od dawna była w narodzie naszym wielka sympatya i jakieś uczucie braterstwa dla Francyi, chociaż żadnym czynem pomocy nie usprawiedliwione.

W czasie Konfederacyi Barskiej rządy Ludwika XV. obojętnie patrzyła na pierwszy rozbiór Polski; ograniczyły się one na wysłaniu kilku awanturników, którzy nie zdolni ocenić obok błędów wprawdzie bohaterских usiłowań Konfederatów, oszczerstwem chcieli pokryć niemożliwą pomoc, jaką oddali sprawie polskiej.

Za powstania Kościuszki znowu rządy Rzeczypospolitej nie szczędziły obietnic pomocy pieniężnej i zdalnych oficerów, ależ skończyło się na obietnicach: bo ani jeden grosz francuski nie wpłynął do kasy polskiej, ani jeden Francuz nie przyszedł walczyć w szeregach powstania.

Pomimo te zawody, rozpierzchnię po świecie szczątki towarzyszy Kościuszki poczęli zdążyć do

Włoch, gdzie młody bohater świetnymi czynami powetował niepowodzenia armii francuskiej i nowym blaskiem oświecił bledniejącą już gwiazdę Republiki. Celniejsi przewódcy polscy zaczęli układać o formacyą legionów polskich, ależ ich zabiegi rozbiły się o oziębłość i wyraźną niechęć gnuśnego dyrektoryatu; a kiedy pomimo tego niepowodzenia nie ustawiali w zabiegach swoich, narzucono ich świeżo kręowanej Rzeczypospolitej Cisalpińskiej. —

Zawiazały się tedy legiony pod wodzą Dąbrowskiego, Kniaziewiczza, i wielkie oddawały usługi armii francuskiej; ależ Rzeczpospolita nie pomna ich zasług i rodzinnych celów, siłą, przemocą zmusiła część tych przedstawicieli nieszczęśliwej Polski do zwalczania na drugiej półkuli ziemi dobijających się swobody murzynów, i rzuciła ich na pastwę strasznej zarazy. To też i wyginęli do szczytów, a o męczeńskiej ich śmierci nie było nawet komu zdać prawdziwej relacji. —

Pozostała we Włoszech część legionów rośła znakomicie i szła wszędzie w ślad za bohaterem, co z generała został konsulem, z konsula — cesarzem. —

We wszystkich bojach, co wstrząsały odwieczne posady tronów, walczyli przy boku jego Polacy, w nadziei lepszej przyszłości dla kraju.

Nigdy Napoleon nie miał szczerzej myśli odbudowania Polski; był to błąd polityczny, powiem

nawet strategiczny: bo pod pierwszym względem — restauracya Polski był to jedyny sposób spariżowania koalicji; pod drugim, potężna Polska silnie przedstawiła oparcie w kampanii rosyjskiej; sam też Napoleon, na skale św. Heleny, przyznał się do tego błęd.

Alaż w roku 1806 powodowany chęcią poniżenia Prus, powziął zamiary przychylne Polsce, a na tę wieść pocieszającą przybyła do Drezn deputacya, wystawiając mu potrzeby narodu. — Ależ on z tem lekceważeniem, z tą ignorancyą historyczną, niegodną wielkiego człowieka, odrzekł wysłańcom narodu, co miał tysiąc lat istnienia, co nad wszystkie zasłużył się światu i cywilizacyi: „Zobaczę, czyście godni być narodem!“

Po takiej odpowiedzi trudno było żywić nadzieję szerokiego zadośćuczynienia; to też powstało małe Księstwo Warszawskie, utwór niekompletny. Zaczęło się ono silnie organizować, ależ stare pułki, szczątki legionów włoskich, pozostały przy wielkiej armii francuskiej.

Pomyślność musi mieć w sobie coś upajającego: bo wszyscy wieley wojownicy grzeszyli brakiem wstrzemięźliwości i nie kładli końca zaboreczym celom swoim. I Napoleon popadł w ten błąd: Europę całą uważał on za dziedzinę swoją, to też obsadzał opróżnione trony plemiennikami swymi. Holandya, Westfalia, Neapol miały królów z rodu jego, jeden jeszcze pozostał do

wyposażenia, i dlatego zapragnął półwyspu Iberyjskiego.

I szły ogromne zastępy francuskie, a obok nich i pułki polskie wywalczać koronę dla króla Józefa.

W tej wojnie, jak w każdej, gdzie losami bitew kierował potężny geniusz Napoleona, szczęście szło w ślady za orłami jego. Nie pomogła ani odwaga wojska, ani opór zfanatyzowanej ludności w gieryle zebranej, — kroczyła w głąb kraju zwycięska armia, już tylko wyżyny Somo-Sierra dzieliły ją od Madrytu; — ależ tam niespodziany opór znaleźli Francuzi Stromo pnący się wąwóz poprzecinany przekopami, na których piętrzyły się działa, to była jedyna droga do stolicy Hiszpanii wiodąca. — Napoleon, co nie zwykł był cofać się przed żadną zawadą, co mało cenił życie ludzkie, pierwszym pułkom, które miał pod ręką, kazał uderzyć na ten działami najeżony wąwóz. Śmiało było natarcie, ależ nie mniej wytrwała obrona: bo w krótkim czasie cofać się począł zdziesiątkowany oddział francuski; drugi, co go zastąpił, tenże sam los spotkał; trzeci nie był szczęśliwszy od dwóch pierwszych. Wtedy zamyślił się cesarz, a potem patrząc chwilę na pułk ułanów polskich, szwoleżerami zwany, i wskazując ręką na wąwóz, „Naprzód!“ zawołał. — Bez namysłu ruszył dzielny ten zastęp; naczelną szwadron prowadził Koziotulski, drugi Henryk

Kamieniski, trzeci Pac, czwarty Tomasz Łubieński; wązka droga wąwozu nie dozwoliła rozwinąć frontu, czwórkami też postępował pułk cały. Straszny, a zarazem świetny to był widok tego boju: na piętrzących się bateriach błyszczały działa, koło nich uwijali się żołnierze w jaskrawych mundurach, gierylasy w fantastycznych ubiorach, w wysokich kapeluszach z piórami, między nimi mnichy różnych zakonów, uzbrojeni w pałasze i sztylety, zachęcali walczących i słowem i czynem. Na każdej baterii był krzyż zatknęty, a rozwiane różnobarwne chorągwie kościelne malowidłami ozdobione przedstawiały widok jakiegoś religijno-wojskowego obchodu.

Naraz zagrzmiąły działa, i dym niezmierny zakrył przed oczyma patrzących ten świetny przed chwilą obraz. Ależ nacierający już dochodzą wąwozu, dowódcy wzniesli szable w górę, ogromny okrzyk: „Vive l' Empereur!“ odbiły skaliste góry, a potem pochyleni jeźdźcy na rozbieganych koniach jak uragan pędzili wąwozem... Coraz wyżej i wyżej wznoszą się rumaki, coraz wyżej jak skrzydła jaskółcze powiewają chorągiewki, coraz wyżej bujają białe kity przy czerwonych czapkach i nikną pomału w pośród kłębow dymu,... coraz bardziej w oddali okrzyki natarcia, coraz słabszy jęk skonu albo rzenie koni, nareszcie silniejszy jak poprzednio rozległ się był okrzyk i potem cisza zastąpiła gwar bitwy. —

Całe wojsko z obawą patrzyło na ten czyn niesłychany, nie wiedzieli, czy zwyciężył, czy zginął ten odważny zastęp... a tu z wąwozu, jak z paszczy krateru dym wolno podnosił się w górę, a kiedy usunął się ostatni rąbek tej gęstej zasłony, jakież widok uderzył oczy patrzących!.. Na samym szczyście góry, na białym rumaku stał dzielny Koziotulski; nad głową jego wiatr rozwiewał chorągiew pułkową, na niej jak gwiazda świecił biały orzeł na czerwonym polu, poniżej, jak piedestał do tego posągu, jeżył się las proporców i jeźdźców i koni. Na dolinie zabrzmiały i kotły i trąby, okrzyk wojenny powitał zwycięzców; na górze dwa razy schyliła się chorągiew na cześć dla cesarza, potem wolno niknęli i jeźdźcy i konie: bo dzielny zastęp szedł w pogoń za nieprzyjacielem.

Po zdobyciu wąwozu — bez oporu szła armia prosto do Madrytu, i na równinach koło Eskurialu zaległa obozem; ależ nie było z nimi zwycięzców Somo Sierra, zagnali się oni w pogoń za nieprzyjacielem i wieści o nich nie było. —

Dopiero drugiego, czy trzeciego dnia, kiedy zwycięski żołnierz wypoczął po znoju, kiedy śmiechy i śpiewy ożywiły obóz, ujrzano wysuwający się z gór oddziały jezdnych, a białe z czerwonym chorągiewkami migały w powietrzu. „To Polacy wracają!“ rozległ się okrzyk w środku obozu, i zaraz żołnierze bez komendy bron z kózł

rozbiegali i stawali w szeregach. Zdziwiony tym ruchem cesarz, spytał o przyczynę, a kiedy mu ją opowiedziano, i on wyszedł z namiotu i otoczony świetnym orszakiem tych ilustracyi, co w stu bitwach nawykły zwalczać Europę, stał i z zadowoleniem patrzył na zbliżających się szwoleżerów.

Pierwszy korpus, co stał na skrzydle, do którego dochodzili Polacy, był marszałka Serru-riex; za zbliżeniem się ich wszystkie kaszkiety na bagnietach podniosły się w górę, i okrzyk: „Salut aux braves!“ rozległ się w powietrzu. I jeden batalion po drugim w tych kilku energicznych słowach witali zwycięzców Somo Sierra, aż póki nie stanęli przed cesarzem. — Umiął on znaleźć te serdeczne słowa, któremi podbijał umysły i serca, tym razem nie szczędził ich dla polskich dzielnych ułanów; uściśkał serdecznie dowódcę Wincentego Krasińskiego, dla każdego szefa szwadronu znalazł słowo pochwalne, szczególnie odznaczył Koziotulskiego; wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, a że w samym początku ataku dojrzał był jakiegoś oficera, co z niesłychaną odwagą pierwszy wskoczył na baterię, pytał też o niego i kazał go sobie przedstawić. — Po chwili Krasiński przyprowadził młodego oficera, dziecko prawie, nazwiskiem Wilczek; a kiedy w kilku wyrazach skreślił jego czyn odważny, cesarz zdjął z piersi krzyż legii honorowej i przy-

piął go młodzieńcowi: ależ widno było z twarzy Napoleona, że tę nagrodę za niedostateczną uważał. —

„Wiele masz lat?“ zapytał z uśmiechem. — „Dziwignąście“ odrzekł zapytany; a na tę odpowiedź ruszył ramionami cesarz, i obracając się do orszaku obecnego tej scenie, „Panowie!“ zawołał głośno, „jak dojdzie lat moich, czem on będzie?...“ Zdziwienie obecnych, a radość młodzieńca były nie do opisania: bo porównyując go z sobą, wyrzucił mu cesarz zaszczyt wyższy nad wszystkie oznaki honorowe; zrozumieli to i koledzy jego i pułk cały, to też przeciągly okrzyk: „Vive l'Empereur!“ wydali dzielni towarzysze Wilczka.

O czemuż śmierć przedwczesna przerwała ten żywot piękny, czemuż nie doczekał w dojrzałym wieku przewodzić zastępom polskim... gdzieś na polach Grochowa, albo Ostrołęki, odważną szarżą decydować los bitwy?! — Cześć jego ceniom, a zaszczyt tej ziemi, co takich synów wydała!

Prócz pułku szwoleżerów był jeszcze w Hiszpanii pułk ułanów Legii Nadwiślańskiej, a dowodził nim Konopka. Pułk ten odznaczał się nie tylko w bitwach z Hiszpanami, ale i z Anglikami, tą najpierwszą kawalerią w świecie, i miał trofea odniesionych na nich zwycięstw: bo cały siedział na angielskich koniach.

A cóżto pojedynczych dowodów niestychanej

odwagi dali Polacy w Hiszpanii walczący! Przy strasznym szturmie do Saragossy, tego drugiego Saguntu, imię jenerała Chłopickiego i pułków polskich zajaśniało chwałą. Alboż czyn pojedynczego żołnierza, nazwiskiem Suryn, który sta Hiszpanów własną ręką trupem położył, a którego pamięć przekazał potomności jeden z poetów naszych temi słowy:

„Dzieło godne ręki Rzymianina.

Uwieńcza chwała Polski grobowiec Suryna.“

BOJE POLSKIE.

I.

Odwieczny antagonizm Anglii, coraz to nowych nieprzyjaciół podburzał przeciw Francji, zaledwie bowiem skończyła się kampania z Prusami, wskutek której powstało Księstwo Warszawskie, wystąpiła Austria do walki. — Prócz pułku gwardyi szwoleżerów nie brali Polacy udziału w tym boju, ale w granicach swoich walczyli z Austryakami, pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego. Liczebnie, jak i pod względem organizacyi, przewaga wielka była na stronie nieprzyjaciela: bo w szeregach austryackich był sam stary żołnierz, nawykły do trudów, zahartowany w tyloletnich wojnach z Rzeczpospolitą, konsulatem i cesarstwem francuskiem; w armii zaś polskiej była sama młodzież, ledwie wyżsi oficerowie mieli jakie takie pojęcie o sztuce wojkowej; z wielką też niewiarą w skutek pomyślny rozpoczęły się pierwsze kroki wojenne. —

Przytoczę tu zdarzenie, które od naocznego świadka słyszałem opowiadane.¹⁾

¹⁾ Był nim Kosko, major 1. pułku ułanów, a w czasie kampanii 1831 r. dowódca pułku jazdy augustowskiej.

W okolicy Modlina stał pułk, zda mi się 6. ułanów, Adama Potockiego, a jednym szwadronem tego pułku dowodził niejaki Drzewiecki, ze służby pruskiej oficer, jedyny, który kampanią odbywał. Muszę tu nadmienić, że szwadrony ówczesne wyrównywały liczebnie prawie dywizjom późniejszym, składały je bowiem dwie kompanie po 120 ludzi, którym przewodzili kapitanowie, dowódcą zaś całego szwadronu był szef, sztabs-oficer.

Bliskość nieprzyjaciela nakazywała zachowanie ostrożności, co dzień też wychodziły rekonesanse dla powzięcia języka; — przez pierwsze dnie nie przyszło jednak do starcia, chociaż docierano dość blisko stanowisk austryackich, z kolei wyruszył na takie zwiady szwadron Drzewieckiego. Nie zwierzając się nikomu z podkomendnych swoich, umyślił on nie unikać boju, ale owszem pierwszy uderzyć, jeżeli nieprzyjaciel nie będzie w bardzo przeważającej sile. — Powziąwszy takie postanowienie, z dobrą otuchą prowadził on szwadron swój, kiedy niedaleko Nadarzyna ujrzeli wychodzącą z lasu kawaleryą; były to dwa szwadrony pułku Kaiser-Huzarów, który w długich wojnach, jakie prowadziła Austria, okrył się sławą. Skoro spostrzegli Polaków, zwrócili się ku nim i szli stępą, a Drzewiecki przemówił do swoich, zachęcał ich i dodawał

odwagi, a widząc na wszystkich twarzach wyraz pewności i zapału, szedł naprzeciw zbliżających się huzarów. Chwilę zakłęśność skryła ich przed okiem Drzewieckiego i jego oddziału, a kiedy wyszli na wzgórze dym wznosił się nad ich głowami: bo wszyscy zapalili fajki, a gwar hałaśliwej rozmowy i śmiechy dochodziły do uszu Polaków.

Ta swoboda i wesołość w chwili rozpoczęcia boju niemiłe zrobiła wrażenie na młodym żołnierzu polskim; spostrzegł to Drzewiecki, toteż kilku energicznymi wyrazami starał się dodać im otuchy, a kiedy widział, że wróciła swoboda, wolno postępował na spotkanie nieprzyjaciela. Po chwili usłyszano komendę, i zaraz cichość się zrobiła; huzary odrzucili dolmany, zabłyśły krzywe ich szable i ruszyli kłusem, a Drzewiecki z obawy, żeby się nie złamał szyk jego szwadronu, stępą maszerował, tylko na komendę dowódcy ułani skrócili cugle i lance złożyli do ataku.

Zaledwie paręset kroków było przedziału między obu zastępami, — kiedy dowódzca huzarów wzniosł szablę do góry: okrzyk natarcia wydali Węgrzy i w całym pędzie koni ruszyli naprzód, a po chwili i Polacy z okrzykiem hura wypuścili konie. I uderzyły o siebie pierwsze szyki tak silnie, że przysiadły na

zadach konie ułanów, niektóre popadały, a cały niemal pierwszy szereg huzarów leżał na ziemi. — To niepraktykowane starcie raz tylko w wojnach francuskich miało miejsce pod Hohenlinden, gdzie dragoni francuscy w ten sposób spotkali się ze szwoleżerami austriackimi, a nastawione długie ich rapiery powaliły cały szereg nieprzyjaciela.¹⁾

Pierwsze to było spotkanie huzarów z ułanami, a niepomyślny skutek takowego bardzo ich zdemoralizował; i odtąd lance niechrześcijańską bronią nazywali.

Wkrótce nastąpiła bitwa pod Raszynem, gdzie 8 tysięcy Polaków walczyło przeciw 40 tysiącom Austriaków i plac otrzymało.

Oszańcowany obóz pod Górą-Kalwaryą zdobyty, szturmem biorą Sandomirz i Zamość; parę tysięcy koni kawaleryi zajmuje Galicyą i nie w jednym miejscu przed kilkunastu ułanami całe kompanie broń składają: a przecież był to żołnierz, co się nierzad silnie opierał zastępom Napoleona i którego on nie lekceważył.

Zawód żołnierski jest niewątpliwie najszlachetniejszym powołaniem: bo założeniem jego jest walka z nieprzyjacielem kraj nacho-

1) Opowiadał mi to starcie pułkownik Zdzitowiecki, który zachował rozkaz dzienny generała Moreau, gdzie go chlubnie wspominał; jest o tym wzmianka w dziele: *Victoires et conquêtes*.

dzącym i obrona porządku wewnętrznego; w obu tych wypadkach na ciężkie próby narażony bywa, a krwawa misya, którą spełnia, wymaga nieraz albo poświęcenia, które zda się przechodzić siły ludzkie, albo dopełnienia czynu, na który w zwykłych warunkach życia wzdryga się natura. Tę bolesną stronę zawodu żołnierza wykazał z niezmiernym talentem Alfred de Vigny w pięknym utworze swoim: „*Vicissitudes et grandeurs militaires*“ a i w kampanii 1809 r. było wydarzenie, pełne dramatu, które dowodzi smutnej konieczności bezwzględного posłuszeństwa w życiu żołnierza. Cesarz Napoleon w owym czasie widząc nieuniknioną wojnę z Austryą, starał się uzyskać jeżeli nie współudział to przynajmniej neutralność Prus i Rosyi, i z tą ostatnią zawarł przymierze; ale na szczerość takowego nie rachował: bo nie dowierzał cesarzowi Aleksandrowi, którego tak trafnie le grec du Basempire nazywał; na pomoc tedy jego nie liczył, ale przy powodzeniu swego oręża mógł być pewien jego neutralności, a to zapatrywanie się cesarza dzieliли wszyscy otaczający go.

W Krakowie w owym czasie stało wojsko polskie pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego i jako sprzymierzeni, kilkanaście tysięcy Moskali, a tymi dowodził Suwarow, syn sławnego

feldmarszałka, który za kampanią włoską przydomek Italicckiego otrzymał.

Stosunek zażyłości i wielka sympatya istniała między obu młodymi dowódcami i dziwnym trafem jednakowy zgon oni mieli, a ten im w owym czasie przepowiedziany został.

Przybyła bowiem do Krakowa jakaś wróżbiarka Niemka, której przepowiednie były przedmiotem rozmów całego miasta i mocno zsciekawiły i księcia Józefa i Suwarowa, to też zachowując najściślejsze incognito, ubrani po cywilnemu poszli w odwiedziny do owej Pitonissy. Kładła im tedy kabałę — i dziwnie trafnie z przeszłości obu wiele rzeczy im tylko znanych opowiadała; a ci zdziwieni słuchali jej z zajęciem, w końcu Suwarow zapytał ją:

„Jakż ma być koniec każdego z nas?“

„Obu jednakowy,“ odrzekła zapytana.

„Ale jaki? jaki?“ — pytał znowu.

„Tego nie wiem, odpowiedziała, ależ moge powiedzieć czego się wystrzegać macie. Pan, rzekła wskazując na Suwarowa, wystrzegaj się miejsca, w którym ojciec twój nabył sławy.“

„A ja?“ pytał skwapliwie ks. Józef.

„Hüte dich vor der Elster!“ rzekła z rodzajem pewności i na tem zakończyła wróżbę swoją.

Stary Suwarow w tylu miejscach staczał szczęśliwe boje, że z mowy wróżki syn pewnego wniósł zrobić nie mógł.

Ks. Józef znowu nie pojmował, co mu za niebezpieczeństwo od sroki zagrażać może, ze śmiechem też przyjęli obydwu tę zagadkową przestrożę wróżbiarki i opowiadali poufałym swoim to dziwne zdarzenie. —

Ależ we cztery lata później wódz polski w nurtach Elstry znalazł koniec rycerskiego zawodu swego, a Suwarow, nieco później przebywając rzekę Rymnik (nad brzegami której ojciec jego odniósł pierwsze swoje znakomite zwycięstwo nad Turkami i w nagrodę przydomek Rymnickiego dostał) przypadkowo utonął. —

Względy polityczne takiej są potęgi, że przeciwważają najściślejsze stosunki wiążące ludzi, to też i ks. Józef znając nieszczerę postępowanie dworu petersburskiego, pomimo zażyłości, jaka go łączyła z dowódcą wojsk rosyjskich, pilnie śledził czynności jego, a tej nieufności nie domyślał się Suwarow.

Granica zaboru moskiewskiego zaczynała się od Bugu, między Krakowem tedy a Petersburgiem najbliższa komunikacja była na Uściług, przebiegali tedy kuryery rosyjscy w całej długości Księstwo Warszawskie i w takich podróżach na zajścia z nieprzyjazzną im

ludnością, a stąd na zwłoki narażeni byli. — Użalał się na to Suwarow, — ależ niepodobieństwem było powstrzymać tego niechętnego objawu opinii publicznej, aż nadto odwiecznymi gwałtami Moskwy usprawiedliwionego, a te, jeżeli kto, to syn sprawcy rzezi pragskiej łatwo pojmował, żądał też tylko od księcia Józefa, żeby kuryerom, których wysyłać będzie do Petersburga, dodawał oficera ze swego ramienia, — czego ten odmówić nie mógł. —

Była to chwila, w której ważyły się losy Napoleona na wyspie Lobau, a to niebezpieczne położenie nakazywało tem bacniejszą zwracać uwagę na tajemne zamiary Rosyi. Z tego powodu nadszedł do księcia Józefa rozkaz od Berthiego w imieniu cesarza wydany, — żeby, bądź co bądź dostać pierwszą ekspedycją, jaką Suwarow do cesarza Aleksandra przesyłać będzie i tę bez straty czas u dostawić do głównej kwatery; a książę udzielił zaraz tę wieść jenerałowi Fiszerowi, szefowi sztabu, zalecając mu, żeby wynalazł oficera, na którego dyskrecją a razem zręczność w dopełnieniu tak drażliwego zlecenia rachować by można. —

Śpiesznie po sobie następujące wypadki tej kampanii znagły Suwarowa, jako dowodzącego korpusem najbliżej teatru wojny będącym, do częstszego znoszenia się z Pe-

tersburgiem i w parę dni po odebranej ekspedycji od Berthiego zażądał od księcia Józefa dodania oficera kuryerowi, którego wysłał. — Chętnie przystał na to książę i zaraz pytał Fiszerę, czy znalazł człowieka posiadającego przymioty, o jakich mu mówił, a odebrawszy twierdzącą odpowiedź, kazał go przywołać do siebie. —

Był nim Jan Kamieniecki, młody oficer ze sztabu księcia, którego zręczność w niejednym wydarzeniu i znaną była, a niesłyszana wesołość i pustota, wybitna cecha jego usposobienia, nie dozwalały przypuszczać nawet, żeby mu ważne jakieś zlecenie poruczone być mogło.

Skoro się ukazał młodzieniec, ks. Józef oznajmił mu, że ma towarzyszyć do granicy wysłańcowi Suwarowa, pokazał mu rozkaz Berthiego i dodał, że w jakibądź sposób ma wydostać ekspedycję do cesarza Aleksandra adresowaną.

Kamieniecki zdziwiony zleceniem, które za niestosowne z obowiązkami swymi uważał, cofnął się z wyrazem podziwienia na twarzy, a ta drażliwość nie uszła uwagi księcia, to też biorąc go za rękę:

„Rozumiem ja, mówił, wstręt twój, ależ zawód żołnierski wymaga poświęcenia i takowego żądam od ciebie; Berthier mnie to zlecił:

ja żądam, żebyś mnie zastąpił, przykre to jest zlecenie, przyznaję, ależ niesłuchanie ważne w następstwach, bo po odczytaniu tego pisma albo cesarz Napoleon będzie się widział zmuszony natychmiast zawrzeć pokój z Austrią, albo zgnieć ją, a wtenczas nieobliczone korzyści może odnieść kraj nasz, a ten wzgląd powinien przeważyć wszelkie skrupuły. — Zresztą nie daję ja ci rozkazu, ale żądam od ciebie ofiary, odmówisz mi jej?...“

Kamieniecki, jak wszyscy otaczający księcia Józefa, fanatycznie był do niego przywiązany, to odwołanie się do serca jego rozrzewniło młodzieńca.

„Wasza Książęca Mość!“ zawołał wzruszony, „najlepszym sędzią jesteś w sprawach honoru, z ufnością też składałam moją dobrą sławę w ręce Jego i spełnię, co mi rozkażesz.“

Podziękował książę młodzieńcowi za tę powolność, po szczegółowe zaś instrukcje odesłał go do Fiszerę.

Był to stary wiarus z legionów, nawykły do tej bezwzględności żołnierzy Rzeczypospolitej i niepojmujący oporu przeciw wydanemu rozkazowi, toteż, jakby o rzeczy zupełnie naturalnej, rozmawiał o sposobie dostania owej ekspedycji, a kiedy Kamieniecki zrobił mu uwagę, że obmyślane środki zawieść mogą:

„To ja ci podam ostatni,“ odrzekł Fiszer.

Tu wyjął z szafki małą flaszkę z jakimś ciemnym płynem, i podając ją Kamienieckiemu:

„Wlejesz mu tego do herbaty kilka kropel i twoja ekspedycja.“

Cofnął się zgrozą przejęty młodzieniec i odsunął wyciągniętą rękę jenerała; ależ ten uśmiechając się:

„Dziecinny jesteś,“ zawołał. „Cesarz chce mieć to pismo i trzeba go koniecznie dostać: bo tu chodzi o los kampanii, a w takim razie cóż znaczy życie jednego człowieka... zresztą w ostateczności tylko użyjesz tego środka, twoja głowa w tem, żeby się bez tego obeszło.“

Z odrazą wziął Kamieniecki podany mu specyfik, a Fiszer wręczył mu ekspedycją, formą koperty i pieczęcią podobną do tych, jakie zwykł był używać Suwarow w korespondencji swojej z cesarzem Aleksandrem i te miał on włożyć w miejsce prawdziwego pisma, poczem pożegnawszy jenerała, udał się do kwatery Suwarowa.

Dowiedział on się tam, że ów wysłaniec rosyjski, jestto adjutant jego, Panin, krewny owego kanclerza państwa, co za Katarzyny wielkie stanowisko w Rosyi zajmował. Młody, wesół, żądny zabaw, był dobrze Kamienieckiemu znany: bo na wzór dowódców oba sztaby w dobrej bardzo żyły komitywie.

W najweselszem usposobieniu zrobili małe

przygotowania do podróży, i wtenczas Kamieniecki uważał, że w jedyną walizkę, która zawierała suknie ich obu, Panin włożył spory pugilares zielony, zamknięty, w którym, jak się dowiedział od niego, była owa ekspedycja do cesarza Aleksandra. — Po sutej kolacji z kilkoma kolegami na drugi dzień o świcie w lekkim powozie, który Kamienieckiemu dał ksiązę Józef, wyruszyli w podróż.

Dniem i nocą podróżowali, i na jednej stacyi Kamieniecki zapotrzebował niby czegoś z walizy, kazał ją znieść i w obecności zaspanego Panina, szukając w jej wnętrzu, wycisnął woskiem otwór zamku u pugilaresu. — Na drugi dzień wieczorem stanęli oni w Zamościu, gdzie przenocować mieli. Kamieniecki bowiem miał ekspedycję i zlecenia jakieś do jenerała Haukego, dowódcy twierdzy, a o tej zwłoce Panin w Krakowie jeszcze zawiadomiony, żadnej trudności nie robił. — Kamieniecki znalazłszy się sam na sam z jenerałem, opowiedział mu tajemne zlecenie swoje, pokazał wycisnięty na wosku otwór zamku i żądał, żeby przez noc dorobiono klucz do niego, co Hauke przyrzekł solennie. Dziewięć mil tylko dzieliło ich od Uściługa, ależ koni pocztowych na tej przestrzeni nie było; udający się do Rosyi kurjery najętymi jeździli końmi; bez popasu tedy albo noclegu, przebyć tej od-

ległości niepodobna było, a to opóźnienie uwzględniły władze rosyjskie.

Późno w noc, kiedy się oba młodzieńcy znaleźli w mieszkaniu wspólnem, Kamieniecki oznajmił towarzyszowi swemu, że resztę podróży przyjemniej, jak myśli, odbędzie; bo zamiast popasu w brudnej karczmie zajada do szwagra jego, którego majątek, Werbko-wice, na połowie drogi z Zamościa do Uściługa leży; zapewniał go przytem, że najuprzejmiej przyjęty będzie, i z tą lekkomyślnością wie-kowi i onej epoce właściwą, dodał, że przy siostrze jego bawi kuzynka ich, młoda, wesoła i pełna wdzięku wdówka, a Panin zajęty perspektywą spędzenia kilku godzin przynajmniej w towarzystwie ładnej osoby, marzył o romansowych sukcesach. —

Na drugi dzień Hauke wręczył Kamie-nieckiemu żądany kluczyk, a zawiadomiony o zamiarze podróży wstąpienia do Werbko-wic, ofiarował im konie swoje do tego miejsca; Kamieniecki zaś zapewnił Panina, że szwagier jego odstawi ich do Uściługa. Ta grzeczność generała wymagała wywzajemnienia, toteż na usilne jego żądanie pozostali na śniadaniu i dopiero około południa wyjechali z Za-mością. —

Wesoło im zesłała kilkogodzinna podróż, bo przedmiotem rozmowy była owa ładna

kuzynka, o którą w najdrobniejszych szcze-gółach wypytywał Panin, a Kamieniecki (może z umysłu) przedstawiał mu ją jako nieobojetną na zabiegi człowieka, któryby się jej podobał, a że wiemy, jak Moskale czuli się na wdzięki Polek, łatwo więc pojąć — jakie wnioski z tego spotkania wysnuwał romansowy młodzieniec. —

Pojawienie się dawno niewidzianego brata radością przejęło oboje gospodarstwo domu a to oddziaływało na serdeczne przyjęcie jego towarzysza podróży, któremu zawdzięczali te niespodziane odwiedziny. Nadeszła nie-bawem ładna kuzynka, a kiedy jej Kamie-niecki zaprezentował Panina, uważał, że silne wrażenie zrobiły na nim jej wdzięki. Poświę-ciwszy pierwsze chwile radości z oglądania siostry i szwagra, oświadczył młodzieniec ostatniemu, że ma ważny do niego interes; jakoż wyszli, a kiedy się znaleźli sam na sam, Kamieniecki opowiedział przykre zlecenie swoje i razem żądał, żeby koniecznie upoił Panina i zatrzymał go na noc, a on wtedy wyjmie ekspedycyą. Nie chciał tej roli podjąć się gospodarz domu, ależ Kamieniecki wręcz mu oświadczył: że jeżeli fortelem nie będzie mógł dopiąć swego, to użyje środka przez Fiszerę mu zaleconego, i pokazał flaszeczkę z trucizną. — Przestraszony tem oświadcze-niem szwagier jego przystał na wszystko.

Przywołano ładną kuzynkę, której powiedziano, że tu chodzi o przeczytanie tylko ekspedycyi, którą Panin wiezie, i żądano jako ofiary patriotycznej, żeby użyła potęgi wdzięków swoich do zatrzymania go; a że wiemy, jak kobiety skore są do poświęcenia, to też i ta po małym oporze (z pobudek naturalnie wzniosłych) podjęła się owej roli seduktorki.

Przy obiedzie z umysłu opóźnionym posadzono Panina pomiędzy obu paniami, i zaraz po zupie gospodarz zaczął wnosić zdrowia, a były one takiej osnowy, że niepodobna było ich nie spełnić: bo jakże nie podziękować za wypite zdrowie swoje, jakże nie pocziścić gościńnych gospodarstwa, ich konsolacyi i ładnej kuzynki; nie wychylić kielicha na cześć przymierza rosyjsko-francuskiego, potem potężnych aliantów i ich przedstawicieli w Krakowie, księcia Józefa i Suwarowa, w końcu dzielnych wojsk, którym przewodzili. — Wszystkie te toasty dużym kielichem spełniane rozmarzyły Panina, — ależ silniej od tokaju — upajał go magnetyczny wzrok pięknej sąsiadki.

Wstawszy od obiadu, chciał on zaraz jechać, ależ tak usilne były nalegania obojga gospodarstwa, żeby pozostał, tak ładnie prosiła piękna pani, żeby ją nie pozbawiał przyjemności spędzenia kilku godzin z kuzynem,

że zakochany młodzieniec uległ wkońcu nie tyle usilnym żądaniom proszących, jak uroczemu spojrzeniu, które nadzieję nagrody za tę powolność wyrażało. —

Bawił się tedy w salonie, a Kamieniecki oddalił się na chwilę, otworzył pugilares, przygotowany pakiet wsunął w miejsce ekspedycyi i tę oddał do schowania szwagrowi; a kiedy na niebie ukazał się brzask dzienny, zaszedł powóz młodzieńców, i czule pożegnani przez wszystkich, ruszyli w drogę. —

We trzy godziny byli oni w Uściługu, gdzie generał rosyjski tam konsystujący przyjął ich gościnnie; Panin puścił się w dalszą drogę, Kamieniecki zaś spędził dzień cały i kupował konie, potem w powrocie wstąpił znów do siostry, odebrał ekspedycyą i pośpieszył z nią do Krakowa. *)

Skoro książę Józef odczytał przywiezioną przez Kamienieckiego ekspedycyą, niezmierną radość okazał: bo ta wielkie światło rzuciła na usposobienie dworu petersburskiego; kazał ją też zaraz przetłómaczyć na język francuski a potem zwracając się do młodego oficera, rzekł:

„Wielkąś oddał usługę dostaniem tego pisma; nagroda, pewien jestem, nie minie cię,

*) Wszystkie te szczegóły opowiadał mi Kamieniecki i szwagier jego.

żeby to zaś w odwłokę nie poszło, pojedziesz z tą ekspedycją natychmiast do Wiednia, gdzie się cesarz znajduje, a że na Austryą droga niepodobna, to się obrócisz na Drezno i wręczysz pismo odemnie królowi saskiemu. Dziś jeszcze opuścisz Kraków.“ —

Kamieniecki tym razem uradowany danem mu zleceniem, prosił księcia, żeby mu pozwolił wziąć z sobą jednego z oficerów, a kiedy ten zezwolił na to i pytał, kogo chce mieć za towarzysza, to młodzieniec wymienił Alojzego Poletylę, który był galopenem w sztabie księcia, i zaraz przebrani po cywilnemu puścili się w drogę.

Bez żadnych przeszkód dojechali do Saksonii, gdzie dziwne było usposobienie umysłów: bo król i rodzina jego dusznie sprzyjali sprawie cesarza Napoleona, naród zaś cały nienawidził Francuzów, czego dowodem były dezercye małych oddziałów wojska, co się uwijały po kraju. *)

Po drodze mogli się przekonać podróżni nasi o tem wrogiem usposobieniu wszystkich warstw społeczeństwa, to też ściśle ukrywali, kim są, a że obydwa dobrze mówili po niemiecku, nic tedy nie zdradziło ich incognita. Ależ na ostatniej stacyi przed Dreznem zapragnął Kamieniecki pokazać się w mieście

w pięknym swoim karmazynowym ze srebrem huzarskim mundurze, poszedł go też przywdziać, pewien, że tak blisko stolicy żadne mu już nie zagraża niebezpieczeństwo. Ale kiedy tak wystrojony wyszedł do sieni, spotkał poczmistrza, który na widok tej metamorfozy nie mógł ukryć podziwienia swego. Nie uszło to uwagi Kamienieckiego, i rozkazującym tonem zażądał koni. —

Poszedł wezwany spełnić to zlecenie, ależ wrócił niebawem i oznajmił, że koni niema i dopiero za parę godzin mogą wrócić te, które powiozły pasażerów do Drezna, przytem przeproszał najmocniej za tę zwłokę. Gniewał się niby Kamieniecki na uniżonego Niemca, ależ potem udał, że nie wiele wagi do tego opóźnienia przywiązuje, i pomówiwszy nieco z Poletylą, który zaczął rozmowę z pocztmajstrem, niepostrzeżony wszedł w obejście pocztowe, zająrzał do stajni, ależ ta pusta była; a kiedy z niej wychodził, ujrzał jakiegoś knechta, co zamykał drzwi do niedużego chlewka; odepchnął on go zaraz, otworzył drzwi i spostrzegł stojących parę silnych koni, a u żłobu wisiała uździenica na łańcuchu. Spojrzał on ostro na Niemca, a widząc na twarzy jego nadzwyczajne pomieszanie: „Stuchaj! — zawołał, — ja jadę do Drezna, do króla, przed nim odpowie pocztmajster za

*) Thiers, Consulat et l' empire.

odmowę koni; ty zaś gadaj prawdę, o co cię pytać będę, czeka cię albo nagroda, albo śmierć, jeżeli co zataisz“ — i wyjmując garść ludiorów, pokazał je Niemcowi. —

Z jednej strony przestrach, z drugiej chęć zysku, zdecydowały go natychmiast; toteż składając ręce przysięgał, że powie prawdę.

„Gdzie trzeci koń, którego uździenica pozostała?“ — pytał Kamieniecki.

Po krótkim wahaniu się, odrzekł zapytany:

„Przed kwadransem pojechał na nim pocztylon.“

„Dokąd? gadaj!“ — zawołał młodzieniec.

„Do obozu partyzantów,“ — odrzekł wylekły, — „ale nie zdradź mnie pan na Boga: bo ja mam żonę i dzieci“ — dodał.

„Bądź spokojny,“ — odparł Kamieniecki, — „i weź to złoto.“ Obdarzony ucałował rękę szczodrego dawcy, — a ten szedł do domu rozmyślając, co począć w tym razie. —

Kiedy dochodził do ganku, przed którym stał powóz naszych podróżnych, ujrzał na nim niańkę, która na rękę trzymała małego chłopczyńkę, syna pocztenurowa. Dziecinę uderzyły widno błyszczące ozdoby mundur młodego oficera, bo wyciągał ręce do niego; ten zaś zbliżył się, bawił dziecko, żartował z niańką, a kiedy dziecko ujęło świecące guziki, wziął je na ręce.

„Pojedziemy do Drezna,“ — mówił wesoło do chłopca i postąpił z dzieckiem do powozu; potem wsiadł w niego, nachylił się; wyciągnął z olstry pistolet, odwiódł i przykładając lufkę do boku chłopczyńki: „Idź!“ — zawołał na niańkę, „i powiedz twemu panu, że jak natychmiast nie będą zaprzężone konie do powozu, zastrzelę to dziecko!“

Wrzasnęła przeraźliwie wystraszona dziewczyna, a na jej krzyk pocztmajster, żona jego i Poletyło wybiegli na ganek; a kiedy Kamieniecki powtórzył groźbę, to towarzysz jego uchwycił za kołnierz ostupiałego z przestrachu Niemca:

„Ruszał po konie!“ — krzyknął, i poskoczył za nim do stajni.

W kilku minutach były już one przy powozie, a kiedy je uprzężono, Poletyło wskazując na kozieł:

„Siadaj i wieź nas!“ — zawołał na pocztmajstra, potem sam wskoczył do powozu, a konie pędem ruszyły z miejsca.

W niespełna godzinie byli na rogatkach Drezna; a kiedy przebiegali miasto dążąc do zamku, podziwienie przechodniów, widząc u oficera dziecko na rękę, było niezmiernie: toteż całe miasto mówiło o tem.

Król dowiedziawszy się o zdradzie pocztmajstra, kazał go uwięzić i proces mu wy-

toczyć; dowiedziano się bowiem, że w godzinę po odjeździe obu polskich oficerów był na poczcie major Schill z partyzantami, ten sam, co potem tak rozgłosnej sławy nabył w Niemczech. *)

Tegoż samego dnia jeszcze ruszyli obaj młodzieńcy w dalszą drogę, a kiedy stanęli w Wiedniu i wręczyli Berthiemu przywiezioną ekspedycją, to ten uradowany pośpieszył z nią do cesarza, który wynagradzając czyny księcia Józefa w kampanii 1809 roku dokonane, przesłał mu wstęgę legii honorowej; Kamienieckiego zaś awansował na szefa szwadronu i krzyżem go ozdobił. **)

* *

Mijały lata, upadła potęga władcy Zachodu, a zebrani na kongres w Wiedniu monarchowie oddali nowouformowane Królestwo Polskie pod panowanie cesarza Aleksandra, ten znowu osadził w Warszawie brata swego, wielkiego księcia Konstantego, dał mu dowództwo wojska i pomimo konstytucji władzę dyskrecyonalną.

Nie żył już wtenczas książę Józef, a Konstanty adjutantów jego, jako to: Rauten-

*) Wydarzenie to opowiadane przez obu głównych aktorów, wielu osobom pamiętne być musi.

**) Wzmianka jest o tem w X. tomie herbarza Niesieckiego wydany przez Bobrowicza.

straucha, Kickiego, Antoniego Potockiego i Kamienieckiego wziął do sztabu swego. Już w Wiedniu ten ostatni był przy nim i znajdował się w czasie owego zajścia wielkiego księcia z Windischgrätzem, po którym z rozkazu cesarza Aleksandra zmuszony był opuścić Wiedeń.

W lecie 1815 roku było ogłoszone Królestwo Polskie i okrojowana konstytucja; w jesieni wjazd do Warszawy wskrzesiciela Polski; na Nowy Rok zaś pojechał wielki książę do Petersburga, a z oficerów polskich jeden Kamieniecki towarzyszył mu.

Jeszcze nie ostygł był zapał Moskali upadkiem Napoleona spowodowany, to też Petersburg oddawał się radości, i wspaniałe bale i ucztę dawała arystokracja moskiewska na cześć cesarza i zwycięskiego wojska. W świetnej tedy epoce znalazł się Kamieniecki w stolicy Rosyi, a piękna jego powierzchowność, wesołość i łatwość w pożyciu pożądanym go robiły gościem; zbliżenie zaś do osoby wielkiego księcia i względy, jakimi go szanował, w końcu nowość widoku polskiego oficera były powodem, że towarzystwo moskiewskie, co żyje tylko atmosferą dworską, prześcigało się w uprzejmości dla niego.

Wiadome jest, że od najdawniejszych czasów cała panująca rodzina w Rosyi na-

miętnie lubi wszelkiego rodzaju popisy wojaskowe; to też co dzień, pomimo strasznych mrozów, jakie panują w Petersburgu, występowało wojsko na paradę, na której obecny był zawsze cesarz i wielki książę.

W czasie jednego takiego przeglądu — grono generałów i oficerów sztabowych oczekiwało przybycia cesarza i jego brata a Kamieniecki chcąc się rozegrzeć — z jednym z generałów świty cesarskiej przechadzał się po placu. Szli oni przed frontem jakiegoś pułku piechoty, kiedy Kamieniecki ujrzał na skrzydle drugiego batalionu żołnierza, który za zbliżeniem się jego głową ruch zrobił a ten można było wziąć za powitanie. Nie wiem, dlaczego uderzyło go to, to też doszedłszy do końca frontu, zwrócił się nazad i kiedy dochodził do miejsca, gdzie stał ów żołnierz, ujrzał wzrok jego wlepiony w siebie i znowu nastąpiło niby powitanie. Ten powtórzony ruch powiększył podziwienie Kamienieckiego, chciał on się dowodnie przekonać czy to skinienie głową jego się dotyczyło zwrócił się też po raz trzeci i znowu jak dwa pierwsze razy żołnierz nieznacznie głowę pochylił.

„Jak się ten pułk zowie?“ — zapytał skwapliwie towarzysza przechadzki.

„Semenowski“ — odrzekł generał i w tej

chwili przybycie cesarza przerwało dalszą rozmowę.

Zaintrygowany niezmiernie, przechodził w myśli, gdzie mógł widzieć tę wspaniałą i zaradliwą postać owego żołnierza, ale nic mu nie przywodziło go na pamięć; skoro więc po parady znalazł się na obiedzie u owego generała ze świty, opowiedział to dziwne zdarzenie i prosił, żeby mu dopomógł do rozwiązania tej zagadki; a generał oświadczył, że zaraz po obiedzie zawiedzie go do dowódcy owego batalionu, a tam najlepszą będzie mógł poznać wiadomość.

Skoro przybyli, Kamieniecki rozpowiedział rzecz całą i pytał dowódcę, toby to mógł być ów żołnierz, a pułkownik wypytawszy o rysopis jego, po krótkim namyśle:

„To zdegradowany przez cesarza i to bez wysługi“ — zawołał.

„Jakże się zowie?“ — pytał Kamieniecki.

„Panin“ — odrzekł pułkownik, a na te wyrazy zerwał się z siedzenia pytający.

„Wielki Boże!“ — zawołał — „to ofiara mojego postępu! Pułkowniku!“ — dodał —

„zaklinam cię, każ przywołać owego żołnierza!“ — i wzruszony chodził spieszenie po pokoju; a kiedy obaj świadkowie tego wydarzenia pytali go o przyczynę tego zmięszania:

„Zaraz się panowie dowiecie!” — odrzekł widocznie niespokojny.

Po chwili usłyszano stąpanie w przyległym pokoju i zaraz ukazał się żołnierz, powitał obecnych i wyciągnięty jak struna stanął przy drzwiach. Wpatrzył się w niego Kamieniecki, a potem postępując spiesźnie uchwycił go za rękę:

„Poznajesz mnie?” — zawołał drżący od wzruszenia.

„Jeszcze na paradzie poznałem pułkownika” — odrzekł smutnie zapytany — „bo mi nie wyszły z pamięci rysy sprawcy mojego nieszczęścia.” —

„Wybacz mi! wybacz!” — wołał rozrzucony, — „straszna konieczność zmusiła mnie do tego, co się stało”. — A potem odwracając się do obu świadków tej rzewnej sceny, opowiadał im całe wydarzenie, dopełnił je Panin, dodając, że kiedy oddał ekspedycję cesarzowi, a ten zamiast pisma Suwarowa znalazł biały papier, wtedy rozgniewany, skazał go na całe życie w żołdactwie bez możności wysługi.

„I od lat sześciu dźwigam karabin” — mówił nieszczęśliwy — „co dzień modłę się o koniec tego żywota, który mi jest ciężarem, i wyprosić tego nie mogę”. — Tu przestał i ocierał łzy do oczu cisnące się.

Obaj świadkowie tego bolesnego spotkania niezmiernie wzruszeni byli, a Kamieniecki pod wpływem wyrzutów, jakie sobie robił, uchwycił za rękę Panina:

„Słuchaj, przyjacielu!” — zawołał — „posiadam względny wielkiego księcia, błagać go też będę o pomoc w tym ciężkim razie i myślę, że mi tego nie odmówi.” Tu przestał, a Panin go słuchał z niedowierzaniem.

„Nie znasz widno pułkownik” — mówił — „systemu rządu naszego: wyrok cesarski — to jak wyrok Boski, zmieniony być nie może, nie ludź się też próżną nadzieją.”

„Mój drogi!” — odrzekł — „ufam ja łaskowości cesarza i zdaje mi się, że uwzględni mój postępek, a ciebie ułaskawi. Gdyby jednak głuchym był na prośby moje, ha! to wezmę dymisyę; bo nie chcę służyć władzy, co nie umie poszanować poświęcenia.” Po tych wyrazach uchwycił kapelusz i opuścił wszystkich trzech Moskali zdziwionych tym jego postanowieniem.

Przybywszy do Marmurowego Pałacu, który zajmował wielki książe, w największym niepokoju czekał powrotu jego z zamku; a kiedy huk bębnow na odwachu zapowiedział przybycie księcia, szedł naprzeciw niego, a ten ujrawszy go, kazał mu iść za sobą. — Pod wpływem jakiegoś zabawnego wydarzenia,

którego na obiedzie był świadkiem, zaczął księżę rozmowę, kiedy spojrzawszy na Kamienieckiego, ujrzał głęboki smutek wyryty na jego zwykle wesołej twarzy.

„Co ci jest?“ zawołał z tą żywością, co była wybitną cechą jego charakteru; Kamieniecki postąpił o krok i przyklęknawszy:

„Opieki Waszej Cesarzowiczowskiej Mości wzywam w wypadku, który mi życie zatruwa.“

„Co to takiego? mów śmiało!“ — zawołał Konstanty i chwytając za rękę klęczącego, podniósł go.

W najdrobniejszych szczegółach opowiadał on i rozkaz dany mu przez księcia Józefa i tajne zlecenie Fiszer, w końcu podróż i przybycie do domu szwagra swego; a kiedy mówił, jak chcąc go nakłonić do współudziału, zagroził, że zada truciznę Paninowi, to wielki książę cofnął się i ręce załamując:

„Byłbyśże go otruił?“ — zapytał a po chwili wahania się:

„Byłbym“ — odrzekł nieśmiało i głowę na piersi opuścił.

„Ha! bestya Kamieniecki!“ — zawołał Konstanty i brwi namarszczył, ależ pomimo tej oznaki zgrozy czy gniewu spostrzegł zagrożony nim na twarzy księcia wyraz zadowolenia na to bezwzględne posłuszeństwo danemu rozkazowi.

Zakończył Kamieniecki opowiadanie swoje opisem niespodzianego spotkania Panina i obrazem nieszczęścia jego, którego mienić się być sprawcą.

Wysłuchawszy tego bolesnego wydarzenia, długo zamyślony chodził księżę, a potem zatrzymując się:

„No, pomówię ja o tem z cesarzem, pojedziesz w wieczór do zamku ze mną!“ — a Kamieniecki pełen nadziei ucałował rękę jego.

Ów wieczór nie była to żadna wielka recepcya: bo zaledwie kilkanaście osób było zebranych w małych apartamentach. Po herbacie cesarz poszedł na chwilę do gabinetu swego, gdzie i wielki książę się udał, a po upływie pół godziny rozwarły się drzwi i Konstanty chrapliwym głosem swoim:

„Kamieniecki!“ — zawołał, a skoro wszedł wezwany, uchwycił go za rękę i prowadząc do cesarza:

„Opowiedz twoją sprawkę z Paninem — rzekł — i to ze wszystkimi szczegółami.“

„Słucham“ — dodał cesarz, a wezwany zaczął.

Przez ciąg tego opowiadania nie spuszczał oka z niego Aleksander, a jak skończył, odwrócił się do brata:

„Cóż mi radzisz w tym wypadku?“ — zapytał go.

„Ja w tej sprawie — odrzekł — żadnego udziału nie mam, a więc i zdania nie objawiam; a potem wola Waszej Cesarskiej Mości jest dla nas wszystkich prawem!” — dodał z tem posłuszeństwem, jakiego lubił dawać dowody.

Zamyślił się chwilę cesarz, a potem powstając:

„Do jutra to odłożmy — rzekł — a ty, pułkowniku, bądź na paradzie“ — i zaraz wrócili do salonu.

Nadzieja jakiejś ulgi w losie biednego Panina wstąpiła w serce Kamienieckiego, niecierpliwie też wyglądał chwili owej parady, na którą miał towarzyszyć wielkiemu księciu.

Kiedy stanęli na placu, ujrzał on z wielkiem swoim podziwieniem uszykowany pułk Semenowski; nie było bowiem we zwyczaju, żeby też same pułki codzień występowały. Niebawem przybył cesarz, rozpoczęła się defilada, potem meldowali się oficerowie służbowi i posyłki, w końcu feuerpikiety przeciągały. Po skończeniu tego przeglądu cesarz wziął za rękę wielkiego księcia i szedł ku miejscu, gdzie stał pułk Semenowski, a za nimi świta cała.

Dowódzca pułku widząc zbliżającego się cesarza, szedł naprzeciw niego; a kiedy ten przemówił coś — zwrócił się, stanął przed

frontem i wskazując palcem na stojącego w szeregu Panina:

„Naprzód, marsz!” — zawołał i wraz z nim stanął przed cesarzem, a wszystkich oczy zwrócone były na biednego żołnierza.

„Ty Sergiej Iwanowicz Panin?” — zapytał cesarz.

„Ja, Najjaśniejszy Panie!” odrzekł.

„Wiele lat służysz żołnierzem?”

„Sześć i miesiące cztery.”

„Jaka jego konduita?” — zapytał cesarz pułkownika.

„Jak najlepsza, Najjaśniejszy Panie.”

„A pilność w służbie?”

„Wzorowa” — odrzekł pułkownik.

„No, kiedy tak, to zwalniam karę!” — mówił cesarz i podnosząc rękę do kapelusza:

„Sergiejew Iwanowicz — zawołał — pozdrawiaj Was oficerom!”

Pułkownik machnął ręką, dobosze uderzyli werbel, a Panin błądy jak ściana, patrzył na cesarza błędnymi oczyma.

Kiedy ucichły bębny, cesarz podniósł znowu rękę do kapelusza:

„Pozdrawiaj was poruczykom!” zawołał, a Panin drzeć począł i ledwie zdolny był broń utrzymać w ręku. Po małym przestanku na kapitana go awansował cesarz.

Tym razem dobosze wszystkich pułków

na placu będących naraz uderzyli w bębny; niezmierne okrzyki pułku Semenowskiego rozległy się na cześć cesarza, a Panin uległ wzruszeniu, które go owładnęło: bo się zachwiał i upadł zemdlony. Poskoczyło kilku ze świty z pomocą, w ich liczbie był Kamieniecki, co widząc wielki książe:

„Zostań z nim!” — zawołał i zaraz wraz z cesarzem opuścił plac musztry.

Łatwo pojąć, jak miłe było przebudzenie Panina; koledzy zajęli się przebraniem go i w wieczór już z oznakami nowego stopnia swego, Kamieniecki z rozkazu wielkiego księcia prezentował mu nowego oficera. Cały Petersburg zajęty był tą niespodzianką, a Kamieniecki i Panin przedmiotem ciekawości wszystkich; to też wrywano ich sobie.

Przez czas pobytu wielkiego księcia przyjaciele mieszkali razem i najściślejszy stosunek związał się między nimi. W rok potem, kiedy formowano w Warszawie pułk strzelców wołyńskich, wielki książe zażądał Panina i ten jako kapitan gwardyi awansował na pułkownika, dowódcę batalionu w nowym pułku.

Olbrzymia wyprawa 1812 roku zastała dobrze uorganizowaną armię polską i 70.000 ludzi wynoszącą; nie działała ona tym razem osobno, ale część jej większa stanowiła jeden z korpusów wielkiej armii, pod dowództwem

księcia Józefa Poniatowskiego będący, reszta zaś do innych korpusów przydzielana była. Złana w ten sposób z półmilionową armią francuską, walczyła ona dzielnie we wszystkich bitwach tej pamiętnej kampanii, ale będąc tylko częścią tej niezmiernej całości, samoistnie działać nie dane jej było. Wspomnę więc tylko o bitwie Mozańskiej, gdzie wybitnie okazała się dzielność kawalerii polskiej.

Kluczem pozycji rosyjskiej, osią, do której stosował obroty swoje Kutuzow, była kolista bateria, wielką redutą przez Napoleona, a później przez historyków nazwana. Zdobyć jej stanowiło o losie bitwy, której pomyślny skutek otwierał drogę do Moskwy. Z tem jęlnalnym zapatrywaniem się na położenie nieprzyjaciela pojął cesarz korzyści, jakie wzięcie tej baterii przedstawiało; to też siał pułk za pułkiem na zdobycie jej, ale każdy zdziesiątkowany musiał zaniechać ataku. Kawaleryą tedy postanowił wziąć ją Napoleon. Korpus generała Latourmobourga składało dwa naście pułków kirysierów, a w ich liczbie prócz francuskich, były pułki bawarskie, saskie, westfalskie i jeden polski, który od pierwotnego dowódcy kirysierami Małachowskiego zwano, a że ten awansował na generała, dowodził tedy pułkiem gros-major Dziekoński. Imponujący postawą żołnierz, byli te

kirysieri: wszyscy wysokiego wzrostu, siedzieli na ogromnych koniach, na piersiach i plecach mieli pancerze czarno szmelcowane, na hełmie, ozdobione wyrabianym, z przodu była kitka ponsowa, z grzebieńca zaś szyzaka spadał ogon czarny koński, który do pasa jeźdźca dochodził; uzbrojeni w ogromne szerokie rapiry, mieli na sobie białe koliste płaszcze pąsowem podszyte.

Na czele takiego zastępu stał Latourmoubourg, z okiem wlepionem w czerniącą się wśród kłębów dymu wielką redutę, kiedy przypadł do niego generał Manbrun, adjutant cesarski i przyniósł rozkaz, żeby z kirysierami uderzył na baterię; i zaraz bez namysłu, bez wahania, Latourmoubourg wydał rozkazy, z którymi rozbiegli się adjutanci, a po chwili z okrzykiem: „Vive l'Empereur“ postępowali kirysieri. Szli stępem, dopóki byli daleko od strzałów, ale kiedy zaczęły dochodzić ich kule, wyciągniętym ruszyli galopem. — Wspaniały to był widok tego strasznego natarcia: ziemia drżała pod ciężarem dwunastu tysięcy rozbieganych koni, podniesione powiewem wiatru koliste płaszcze dwoiły postacie jeźdźców, a bujające w powietrzu czarne ogony hełmów zdały się być skrzydłami, na których wznosili się i ludzie i konie. Przodował wszystkim w tej straszej szarzy pułk

polski — wśród gradu pocisków, które miało ośmdziesiąt dział reduty, obiegli ją do koła nacierający i dopadli do miejsca rogatką zamkniętego. Pierwszy przesadził ją trębacz i otworzył zawadę i zaraz Dziekoński i adjutant pułkowy Wiktor Ossoliński wpadli do baterii, za nimi tłoczyli się kirysieri i rąbali, co tylko w niej zastali.

Umilkły działa i zaraz pełen radości Latourmoubourg wjechał do reduty;*) słuszne pochwały oddawał dzielnym kirysierom, a potem odwracając się do otaczających go, przywołał młodego oficera z artylerii konnej.

„Jedź pan do cesarza“ — zawołał — „i donieś, że reduta zdobyta!“ A ten uradowany tem zleceniem, zwrócił konia i opuścił baterię.

Ten wystąpił oficer był to Polak, Antoni Rostworowski, już kilka razy chlubnie odznaczony. W zleceniu danem mu widział on szczególny wzgląd generała dla siebie: bo zwiastun tak pomyślnej wieści, jak zdobycie wielkiej reduty, mógł niewątpliwie spodziewać się odznaki honorowej, to też pełen otu-

*) Wszystkie te szczegóły w mojej obecności przypominał generał Dziekoński Ossolińskiemu. Jako dowód zimnej krwi dawnego swego adjutanta opowiadał, że w sam-j rogatce zabito pod nim konia, a ten zerwał się i odpiął siodło; zdziwiony tym Dziekoński „co robisz?“ zawołał. — „Szkoda siodła, bo nowe“ odrzekł Ossoliński i zarzucawszy je na plecy, czekał, aż innego konia mu podano.

chy pędził wzdłuż placu boju, który orały kule rosyjskie. — Na przestrzeni więcej jak mili wrzał bój zacięty, może najkrwawszy z tych, jakie stoczył Napoleon; prawie na środku tej przestrzeni, na niedużym mame-lonie na prędcie usypanym stał cesarz, za nim sztab, dalej w ściśniętych kolumnach gwardya tak konna jak i piesza: do tego punktu widnego zdaleka dążył Rostworowski.

Był jeszcze o jakie tysiąc kroków od owego wzniesienia, na którym stał cesarz, kiedy kula armatnia urwała mu lewą rękę; pomimo tej strasznej rany porwał on w prawą cugle i pędził dalej, a kiedy stanął przed cesarzem, ten widząc go skrwawionego:

„Que veut cet officier?“ — zawołał.

„Je demande être pancé“ — odrzekł młodzieniec.

„Larrey!“ — zawołał cesarz — „qu'on pancé cet officier“ i zaraz wezwany zbliżył się do rannego, ależ ten zwrócił się do cesarza:

„Sire! vos generaux aides-de camps Manbrun, et Caulaincourt sont tuits.“

„Manbrun! Caulaincourt!“ — wykrzyknął Napoleon, cofając konia — „et la grande redoute?“ — zapytał skwapliwie.

„Elle est prise, Sire!“ — odrzekł Rostworowski, a Napoleon odpiął krzyż legii honorowej i odwracając się do sztabu:

„Wąsowicz!“ — zawołał — „donnez lui la croix!“ a kiedy ten przypinał mu go, to młodzieniec nękany boleścią, upadł z konia zemdlony. Odniesiono go za front, Larrey zajął się ucięciem ręki, a generałowie ze sztabu cesarza obścapi go i wypytawali o szczegóły zdobycia wielkiej reduty, które im opowiadał.)*

Wiadome jest wszystkim, jak ta niezmierna armia pokonana nie orężem nieprzyjaciela, ale mrozami i głodem, cofała się ku Wilnowi. Z tyłu różnorodnych narodowości, co ją składały, jedni Polacy, wytrzymali na zimno, mniej dbali o wygodę, nie poszli w rozsypkę i zaślaniai odwrót, który po przejściu Berezyny i krwawym boju tam stoczonym, w największym odbywał się nieładzie. Doszedłszy do granic dawnej Polski, zapełniał się ochotnikami ubytek w szeregach naszych tyłu krwawymi bitwami spowodowany. Ofiary prywatne dopomogły do pokrycia koniecznych potrzeb i tak na prędcie zorganizowani, chociaż przerzedzeni krwawą kampanią rosyjską, szli do Niemiec.

We wszystkich bitwach, jakie tam staczał Napoleon, udział brali Polacy; sprzymierzeni pobici pod Lützen i Bautzen, bój ponowili pod murami Drezna, a cesarz tak pewny był

*) Zdarzenie to dosłownie prawie opisane jest w Gazecie Warszawskiej z roku 1812, którą starannie zachowywał Rostworowski.

zwycięstwa, że chcąc przeciąć im odwrót, w wąwozach czeskich w silnej pozycji pod Culmen, postawił Vandamma we trzydzieści tysięcy.

Wśród bitwy dostrzegł Napoleon sztabu obu monarchów; podjechał zaraz do baterii gwardyi, wywołał z niej starego kanoniera i podając mu lunetę:

„Patrzaj w tę stronę!“ -- zawołał — „i powiedz mi, co widzisz.“

Wpatrzył się chwilę wezwany.

„Widzę — mówił — dużo luźnych koni i błyszczące ceraty na stosowanych kapeluszach, to musi być sztab główny.“

„A doniesie tam kula?“ — zapytał cesarz, Chwilę patrzył zagadnięty.

„Doniesie!“ — odrzekł — „uręczam Waszą cesarską Mość.“

„A więc pół bateriami salwę do nich!“ zawołał, odjechał na bok i z okiem wlepionem w cel wskazany, patrzył pilnie.

Po chwili zagrzmiwały działa, a cesarz ujrzał zamieszanie w sztabie, wniósł więc, że ktoś znakomity zabity lub ranny. — Zwycięstwo było zupełne, z największym pośpiechem cofała się armia sprzymierzona, a zwycięzcy zajęli opuszczony ich obóz i z niego przeprowadzono cesarzowi bardzo pięknego charta, który na srebrnej obroży miał wyryty napis:

„J'appartiens au général Moreau“; to było skazówką, że to zwycięzca z pod Hohenlinden zginął. I było tak w istocie. Kula francuska, jakby ręką sprawiedliwości kierowana, przecięła chlubny ten dawniej żywot, w chwili, kiedy zdradą kraju swego skalany został.

Zaraz po skończonej bitwie, na pobożewisku dyktował Napoleon rozkazy; a kiedy skończył tę pracę, zwracając się do otaczających go marszałków:

„Będę spał czterdzieści minut“ — mówił — „gdyby przedtem przeprowadzono obu cesarzy, zbudził mnie!“

Potem usiadł i zaraz zasnął, a obecni z podziwieniem patrzali na to dziwne usposobienie tego wyjątkowego organizmu, któremu hołdowały nawet potrzeby natury.

Zaledwie upłynęło owe czterdzieści minut, zbudził się cesarz.

„Co za nowiny? — zapytał.

„Żadnych niema“ — odrzekli obecni.

„Niema!“ — zawołał powstając — „to więc musiało zająć coś nieprzewidzianego“ — i chodził zamyślony.

Niebawem na spienionym koniu przypadł jakiś oficer, którego obecni poznali jako adjutanta Vandamma.

„Co mi przywozisz?“ — zapytał cesarz.

„Smutną wiadomość, Najjaśniejszy Panie;

korpus nasz pobity, generał Vandamme w niewoli.“

„Vandamme pobity!“ — zawołał, — i jakimże sposobem w obronnej pozycji, jaką zajmował?“

„Jeszcze nas nie doszła była wieść — mówił nowo przybyły, — o odniesionem zwycięstwie przez Waszą Cesarską Mość, kiedyśmy ujrzeli na dolinie szeregi nieprzyjacielskie: generał w przekonaniu, że to korpus Yorka, który pragnie połączyć się z armią walczącą pod Dreznem, nie mógł się oprzeć pokusie pobicia go. Pół mili posunęliśmy się na dolinę, a kiedy przyszło do starcia, generał poznał, że z całą armią sprzymierzonych ma do czynienia. Dał też rozkaz cofania się na dawne stanowisko, ależ te zajął był generał Klenau z Prusakami: byliśmy więc otoczeni. Kilka razy silniejszy nieprzyjaciół odniósł zwycięstwo, a generał dostał się do niewoli.“

Opuszczonymi przez Vandamma wąwozami przeszły spokojnie wojska sprzymierzone, i ściągnawszy wszystkie pojedyncze oddziały swoje, stanęły na polach Lipska. Niebawem postępująca za nimi ukazała się armia francuska, i rozpoczęła się bitwa największa, jaką stoczył Napoleon: bo na trzechmilenowej prawie przestrzeni tysiąc dwieście dział śmierć mიაတၢ, a milion ludzi szło w zapasy. Tu, jak

wszędzie, gdzie losami bitwy kierował potężny geniusz Napoleona, zwycięstwo byłoby po jego stronie, ależ wśród boju przeszło na stronę sprzymierzonych trzydzieści tysięcy Sasów, Hanowerczyki, Westfale i Wyrtemberczyki, słowem, wszyscy niemal sprzymierzeni Napoleona opuścili go, — jedni Polacy pozostali mu wierni. Pomimo tego opróżnienia przez Niemców ważnych pozycji, jakie zajmowali, pomimo to powiększenie zdradzającymi szeregów koalicji, — dwa dni trwał bój zacięty, trzeciego dopiero parta przez sprzymierzonych, cofała się armia francuska przez Lipsk za Elsterę. Część korpusu polskiego pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego i dwa niecałe korpusy Francuzów odwrót zaślaniały. Wśród ciągłego boju wchodził on do miasta, a tam każdy dom, każdy załamek ulicy stanowił punkt oporu. Większa już część ariergardy przeszła była most podminowany, kiedy się wszczęło zamieszanie, następstwo zwykłe śpiesznego odwrotu. Dwaj dowódcy francuscy przewidując smutne skutki tego nieładu, niepewni, czy go powstrzymać zdołają, przypadli do księcia Józefa z żądaniem, żeby objął nad nimi dowództwo; tłumaczył on się, że jest najmłodszym z marszałków, bo przed kilku dniami dopiero otrzymał tę godność; ależ jeden z nich ujął go za rękę:

„C'est egal, Prince!“ — zawołał, — „dans les grandes occasions ce sont les grands hommes qui commentent; donnez vos ordres, nous les remplirons.“ Takie to zdanie o wodzu polskim wyrobiło się między jenerałami francuskimi.

Tak wezwany pospieszył ksiązę do mostu. Polacy, którzy tam byli, usunęli tłoczące się furgony i bagaże, jeden batalion dostał rozkaz strzelania do tych, coby kolei nie pilnowali, i zabito kilku, a to wywarło wpływ zbawienny, bo ustał nieład i w porządku przechodziło wojsko na drugi brzeg Elstery.

Zapewniwszy sobie tym sposobem odwrót, wrócił ksiązę w war bitwy, a z całego sztabu dwóch już tylko adjutantów było przy nim: szef szwadronu Blechant i kapitan Teodor Szydłowski, z którego ust słyszałem opowiadanie ostatnich chwil księcia. Zaledwie się znaleźli w obec nieprzyjaciela, kiedy huk niestychany rozległ się za nimi: bo czy przez nieostrożność, czy przez złe zrozumienie rozkazu, zawcześnie zapalono miny i most cały wyleciał w powietrze. Nie mieli więc pozostali na tej stronie innego środka, jak wpływ przebyć rzekę. Na czele kilkudziesięciu ułanów, jak prosty żołnierz, rąbał ksiązę cisnących się do niego Prusaków, kiedy zabito konia pod nim, ależ podano mu natychmiast

żołnierskiego; niebawem dostał postrzał w rękę, a obaj adjutanci zdolali tylko ścisnąć mu ramię chustką, żeby go krew nie uszła, i zawiesić na temblaku. Byli już nad brzegiem rzeki, kiedy kula karabinowa ugodziła Szydłowskiego w bok i przeszła go na wylot. Ksiązę widząc go lecącego z konia: — „I on jeszcze!“ — zawołał, i ręką od ust go pożegnał; a potem zwracając się do tych, co byli koło niego, miał wymówić te pamiętne słowa, które powtarzał kraj cały, co wryte na pierścionkach poświęconych jego pamięci, nosili wszyscy: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu go tylko oddam.“ Potem spał konia ostrogami i wskoczył w rękę, a Blechant obok niego. W chwili skoku dostał drugi postrzał, zaczął się chwiać na koniu, potem zsunął się z niego i zniknął w nurtach Elstery.

Tak w sile wieku zakończył bohaterski swój zawód. Opłakiwany przez naród cały, stał się po Napoleonie najpopularniejszą postacią dla Francuzów, bo długo po jego śmierci nie było we Francji chaty wieśniaczej, gdzieby obok sztychu przedstawiającego pierwszego konsula pnącego się na górę św. Bernarda, nie było obrazu zgonu księcia Józefa, w chwili, kiedy skacze w Elsterę.

Nad osieroconą armią polską objął do-

wództwo książę Sułkowski, i w nieustannym boju postępowali ku Renowi. Napoleon w tym odwrócie rozwijał czynność niesłychaną i narażał się osobiście. W parę jakoś dni po bitwie lipskiej omal nie wpadł w ręce Kozaków Płatowa i w czworoboku polskim, którym dowodził szef batalionu Skrzynecki, później naczelnym wódz w 1831 roku, szukał schronienia. Wiedzieli Moskale, co za znamienitość otaczali Polacy, łatwo też pojąć, jakie były ich wysilenia o dostanie tej drogocennej zdobyczy; ależ Skrzynecki za każdą nadchodzącą szarżą zatrzymywał się, dobrze utrzymanym rotowym ogniem odpierał nacierających, potem postępował dalej. Otoczony chmurą kozactwa, siedł trzy mile — znacząc trupami moskiewskimi ślady swoje, i do Wittenberga doprowadził drogi zakład powierzony pieczy jego.

Wkrótce potem ułożona między Niemcami zdrada w całości wykonana została: bo pod Hanau Wrede z Bawarami zastąpił drogę Napoleonowi, ależ został pobity na głowę — cofnął się z resztkami w nieładzie.

Smutna to była nadeszła chwila dla cesarza: przerzedzone szeregi wielkiej armii trzeba było uzupełnić rekrutem, dziećmi prawie. Odstępstwo sprzymierzonych podwójną wyrządziło szkodę, bo ten ubytek w szeregach

francuskich powiększał zastępy koalicji; lecz co największe oburzenie wzbudzało, a szczególnie bolesne było cesarzowi, to, że dwóch Francuzów, dwóch jego towarzyszy broni, byli duszą i doradcami koalicji: bo Moreau przybył aż z Ameryki, żeby w szeregach nieprzyjaciół Francji walczyć z rodakami swymi, a Bernadotte (w owym czasie król szwedzki) jeszcze w kampanii 1812 roku doradził owo cofanie się w głąb kraju i poświęcenie Moskwy, żeby przedstawić tej niezwalczonej potęgę dwie niepokonane zawady: to jest przestrzeni i klimatu, i on w tej kampanii kierował ruchami sprzymierzonych, zasłonił Berlin, a pod Jüterburg (Jüterbog) pobił marszałka Neyą.

Nigdy geniusz wielkiego zdobywcy nie zajaśniał tak szczytnymi pomysłami, jak w pamiętnej kampanii 1814 roku: było to święte odbłyśki tej bezprzykładnej znamienitości, ale zarazem był to ostatni śpiew łabędzia. Wierni chorągwi swojej Polacy dzielili losy jego i nieraz znakomite oddawali mu usługi, jak pod Arcis-sur-Aube, gdzie Napoleon osobiście był w wielkim niebezpieczeństwie, a szwadron szwoleżerów polskich otoczył go dokoła, i pomimo największych wysiłen kilka razy liczniejszego nieprzyjaciela, który kusił się o tę drogocenną zdobycz, odparł jego natarcia i ocalił cesarza.

Pomimo niesłychanego i rozpaczliwego oporu armii francuskiej cofać się ona musiała przed niezliczonymi zastępami koalicji pod mury Paryża, gdzie bój stanowczy miał być stoczony. Ależ między ludźmi najbliższymi Napoleona będącymi, między jego towarzyszami broni okazało się zwątpienie, niewiara w szczęśliwą gwiazdę jego, wyrobiło się przekonanie, że w bojach, które jeszcze staczać zamierzano, nie chodziło już o Francją, ale o osobę cesarza, i wielu z doradców jego, a na ich czele Fouché i Talleyrand, nie pomni ani obowiązków dla kraju, ani wdzięczności dla wielkiego monarchy, znosiło się z nieprzyjacielem, a to odstępstwo jak zarazę udzielili i dowódcom wojska; i nastąpiło pierwsze poddanie się Marmonta, księcia Raguzy, które zowią la defection d'Essone.

W korpusie Marmonta było kilka pułków polskich, a między nimi jeden Krakusów, 3000 koni liczący, którym dowodziło dwóch pułkowników: Dwernicki i Kazimierz Oborski. Zajmowali oni wyżyny Montmartre, z których widno było gęste szeregi koalicji, między którymi przejeżdżał cesarz Aleksander w towarzystwie cesarza austriackiego i króla pruskiego. Ogień był ustał: bo już poddanie się Marmonta dopełnionem zostało, a wojsko nieświadome tego, wyczekiwało hasła do boju.

Chwilę tak stali, kiedy na skrzydle korpusu ukazał się Marmont i w krótkiej przemowie oznajmił żołnierzom, że cesarz abdykuje na rzecz syna w Fontainebleau, nic więc im nie pozostaje jak zgodzić się z losem i zaniechać bezowocnego boju; a jadąc wzdłuż szeregów powtarzał tę wieść złowrogą, lecz ponure milczenie, a często i objawy największej boleści towarzyszyły temu pochodowi jego. Kiedy stanął przed frontem Krakusów i wypowiedział to niespodziane zdarzenie, Dwernicki powtórzył je żołnierzom, i niezmierny okrzyk: „Zginiemy raczej, a nie poddamy się!” wydał pułk cały. Słyszając ten objaw poświęcenia tak zgodny z własnym jego usposobieniem, zwrócił się on do Marmonta.

— „Książę!” — zawołał, — „słuchać twoich rozkazów jak wydasz hasło do boju, jest naszym obowiązkiem; ależ do złożenia broni tylko wola cesarza skłonić nas może. Oświadczam więc, że idę z pułkiem do Fontainebleau.”

„Jako?” — zawołał zdziwiony Marmont, — „chcesz się przebić przez te masy?” — i wskazał ręką na dolinę.

„Tak, Mości Książę!” — odrzekł stanowczo Dwernicki, — „przebiję się, albo zginę!” „A na te wyrazy Krakusy, którym oficerowie tłómaczyli rozmowę dowódcy ich z marszałkiem:

„Do Fontainebleau! do Fontainebleau! prowadź nas, pułkowniku!” krzyknęli.

Zdziwiony, a może i zawstydzony tą pewnością Polaków Marmont, słowa nie wyrzekłszy odjechał od nich, i zaraz na rozkaz Dwernickiego sformował się pułk cały, zabrzmiały trąby i zaczęli spuszczać się na dolinę.

Ten ruch zaczepny, tak różny od spokojnej postawy reszty korpusu Marmonta, zwrócił na siebie uwagę przejeżdżających monarchów, to też zaraz przybiegł generał jakiś od cesarza Aleksandra i pytał Dwernickiego o przyczynę tego pochodu.

„Powiedz pan cesarzowi,” — odrzekł on, — „że to Polacy jadą do Fontainebleau, żeby z ust cesarza Napoleona odebrać rozkazy!”

W mgnieniu oka odniósł tę odpowiedź wysłany, i zaraz adjutanci rozbiegli się w różnych kierunkach: a kiedy Dwernicki miał już uderzyć na stojących na przedzie Prusaków, z wielkiem jego podziwieniem rozstąpiły się szeregi sprzymierzonych, a tym szpalerem wywartym klusem szli dzielni Krakusy do Fontainebleau.

Stanęli przed zamkiem w chwili, kiedy Napoleon przemawiał do uszykowanej w dziedzińcu gwardyi, a potem żegnając tych starych towarzyszy broni, uścisnął w objęciu dowódcę ich, generała Petit. Ukazanie się Dwerni-

ckiego zwróciło uwagę cesarza, a kiedy ten opowiedział powód przybycia swego, i ułatwienie, jakiego doznał w przejściu z rozkazu cesarza rosyjskiego, natenczas Napoleon w kilku serdecznych wyrazach wypowiedział, jak miłym mu jest ten objaw wierności Polaków, a w końcu dodał: „Idź, pułkowniku, do cesarza Aleksandra, on cię ocenić będzie umiał!” Potem wsiadł do powozu, i wśród największych oznak żalu, wśród płaczu nawet starych wiarusów swoich opuścił Fontainebleau.

Czyn Dwernickiego silnie zrobił wrażenie na umyśle cesarza Aleksandra, toteż go przyjął uprzejmie i polecił względem wielkiego księcia Konstantego, którego potem wodzem naczelnym armii polskiej mianował. Wierny temu zleceniu Konstanty dał mu pułk 2. ułanów, — a choć surowo karał usterki w służbie i nieregularność w administracyi pułków, — dla jednego Dwernickiego był pobłażliwy. *)

W roku 1815 ogłoszone Królestwo Polskie dostało rząd odrębny z krajowców złożony, który z wielkimi trudnościami miał do walczenia, nim pomyślny skutek pocziwych usiłowań osiągnięty został; wojsko tylko od

*) W czasie corocznego zjazdu dywizyi pod Łęczną Dwernicki stawał kwaterą we wsi do mnie należącej, byłem więc świadkiem tych względów w. księcia dla niego.

samego początku miało organizacją, która w rozwinięciu stworzyła nieliczną wprawdzie, bo tylko trzydzieści tysięcy liczącą armią, ale ta była podziwem cudzoziemców. Rząd starał się usilnie zrobić rozdział między wojskiem a resztą narodu, i dlatego, kiedy kwestye wewnętrznych stosunków kraju poddano obradom sejmu, to wszystko, co dotyczyło wojska — z pod kontroli jego wyjęte było. Ależ bezowocnymi były te usiłowania władzy, i wojsko czuło się być dziećmi tej ziemi, którą bronić miało.

Od początku kreacyi Królestwa istniało w wojsku sprzysiężenie, którego założeniem było odbudowanie Polski w dawnych jej granicach. Związek ten bardzo rozgałęziony, długo uchodził baczного oka policyi, i dopiero, kiedy w skutek zdrady Mayborody rząd rosyjski wpadł na trop spisku uknowanego w Moskwie i Petersburgu, który wybuchnął po śmierci cesarza Aleksandra, pilne baczenie zaczęto dawać na postęпки niektórych wojskowych naszych.

Już dawniej spiskowi moskiewscy uznali konieczną potrzebę zniesienia się z Polakami, zawiązali też stosunki z wielu wpływowymi obywatelami zabranych krajów i za ich poradą postanowili porozumieć się z wojskiem; do tej misyi zaś wybrali Bestużewa.

Najczynniejszym w zabiegach sprzysiężonych polskich, jeżeli nie naczelnikiem, był Krzyżanowski, pułkownik z gwardyi szaserów. Bestużewa tedy misya miała na celu zetknięcie się z nim.

Krzyżanowski zawiadomiony został o tem i jednocześnie dowiedział się, że policya tajna ma zlecenie śledzić każdy krok Bestużewa i mieć pilne oko na osoby, z którymi będzie miał stosunki w ezasie pobytu swego w Warszawie; zbliżenie się ich nie mogło ująć baczności agentów policyi.

Na dzień naznaczony przybył Bestużew i parę pierwszych dni spędził w towarzystwie oficerów gwardyi rosyjskiej, którzy w Warszawie konsystowali, i przemyśliwał, jakby bez zwrócenia uwagi można się zapoznać z Krzyżanowskim, którego nigdy nie widział; ten zaś na paradzie, jaka codzień bywała na Saskim placu, dobrze mu się przypatrzył.

Trzeciego dnia Bestużew w towarzystwie dwóch oficerów od konnopolców jadł obiad w restauracyi, kiedy wszedł Krzyżanowski. Jakkolwiek żadnych nie było stosunków koleżeństwa między oficerami gwardyi rosyjskiej a polskimi, jednak jedni, jak drudzy, konsystując w jednym mieście, znali się; to też za zbliżeniem się Krzyżanowskiego do stolika, przy którym siedzieli trzej biesiadnicy, powstałi

dwaj konnopolce i witając go, zamienili kilka wyrazów, a Bestużew nie wiedząc, kto to jest, siedział i żadnego udziału w rozmowie nie brał. Krzyżanowski wsparł się ręką na stole i stojąc tuż obok Bestużewa, tyłem do niego był obrocony; a kiedy ściągał rękę, żeby ją podać rozmawiającym z nim, przewrócił się kieliszek i wino oblało Bestużewa, który naturalnym bardzo w takim razie ruchem zerwał się z siedzenia. A Krzyżanowski, miasto kilku słów przeproszenia, spojrzał obojętnie na oblanego i podając ręce tym, z którymi rozmawiał, chciał już odejść, kiedy go powstrzymał Bestużew i zrobił uwagę, że mu się należy tłumaczenie za tę niezręczność, jeżeli nie chce, żeby to za rozmyślne uchybienie uważał.

„Widno, że mnie pan nie znasz,“ — odrzekł Krzyżanowski, — „kiedy żądasz odemnie tłumaczenia.“

„No, kiedy tak,“ — zawołał Bestużew, — „to może satysfakcyi pułkownik mi nie odmówisz!“

„Chętnie ją dam!“ odpowiedział — „i czeka pańskich sekundantów!“ Potem ukloniwszy się, wyszedł do przyległego pokoju.

Ostupieli obaj towarzysze Bestużewa na tę rozmyślną niegrzeczność ze strony człowieka, którego znali za pełnego uprzejmości

i najlepszych form towarzyskich; ale któż opisze zdziwienie Bestużewa, jak się dowiedział, że ten brutalny napastnik, to ów Krzyżanowski, z którym się zetknąć było jedynym celem jego podróży... Rzecz jednak była za daleko posunięta, obraza dopełniona w obec kilku osób, co jadły w tymże pokoju, — koniecznością więc było przyjąć wszystkie następstwa tego położenia. Bestużew więc wziął za sekundanta podpułkownika Łunina z huzarów Grodzieńskich, bardzo czynnego członka spisku moskiewskiego i wielkiej załości człowieka, jednemu, któremu zwierzył się misyi swojej Bestużew. Ułożył on z sekundantem Krzyżanowskiego kondycyę pojedynku, który miał się odbyć na drugi dzień rano na Bielanych.

Pierwszy na plac przyjechał Bestużew z Łuninem, po chwili przybył Krzyżanowski ze swoim sekundantem, który trzymał w ręku pistolety w chustkę obwiniete. Z uśmiechem na twarzy szedł Krzyżanowski do swego przeciwnika.

„Nie takeśmy się spotkać mieli — nadzieję, wszak prawda?“ zapytał i wyciągnął rękę do przeciwnika; a Bestużew, który nie przypuszczał, że Krzyżanowskiemu znany jest powód jego przybycia, zdziwiony tem zapytaniem:

„Nie rozumiem pułkownika!“ — odrzekł, — a ten ujął dłoń jego:

„Słuchaj, przyjacielu!“ — mówił, — „znany mi cel twojej podróży; a że na ciebie, jak na mnie zwrócone są oczy policyj, to zbliżenie się nasze nie uszłoby bacznego jej oka. Po zejściu naszym (za które cię serdecznie przepraszam), i zadosyć uczynieniu, o którym mówić będzie cała Warszawa, — któż się domyśli, żeś dla widzenia się ze mną przybył tutaj?!...“

„A teraz“ — dodał, biorąc pistolet z rąk sekundanta i podając go Bestużewowi, — „strzelaj śmiało i rań mnie!“

„Nigdy!... nigdy!...“ zawołał rozrzucony młodzieniec.

„Nie chcesz? no to ja temu zaradzę!“ Zasunął prawy rękaw sukni, przyłożył do ręki pistolet, strzelił — a kiedy krew buchnęła z rany:

„A teraz zjedzą dyabła siepacze Roznieckiego,“ — zawołał — „czy wpadną na myśl prawdziwego powodu twojej podróży!“ — i wyciągnął zdrową rękę do młodzieńca, który ją ze wzruszeniem uściśnął.

Krzyżanowski podał się za chorego i nie wychodził z mieszkania, a częste odwiedziny Bestużewa u rannego przeciwnika były naturalnym wynikiem przyzwoitości i niczyjej nie zwracają uwagi.

Takiego to hartu byli ludzie, co należeli do sprysiężenia, które wybuchło w 1825 roku. Ten wypadek przytoczyłem, żeby dać wyobrażenie o duchu, jaki ożywał ówczesne wojsko polskie. Uczucie honoru do najwyższego stopnia posunięte u nich było, a obrazę takowego, nie mogąc spodziewać się zadosyć uczynienia, często życiem przepłacali.

Któż nie zna zejścia Wielkiego Księcia z generałem Chłopickim; komuż nie wiadomy tragiczny koniec Wilczka, który obrażony przez Konstantego, życie sobie odebrał; albo Szkaradowskiego, co na Saskim placu przebił się szpadą. Prości nawet żołnierze skazani na kije wieszali się w alejach do Belwederu wiodących, gdzie mieszkał Wielki Książę.

Wszystkie przymioty cechujące najlepszego żołnierza posiadała ta nieduża armia polska: najlepszy stosunek koleżeński istniał między oficerami, dobrze pojęta subordynacja wyrobiła poszanowanie dla starszyny, wzorowy porządek, czystość do pedanterji doprowadzona, zbawiennie wpływała na utrzymanie rynsztunku i koni; żołnierz nie hojnie, ale regularnie płatny, miał oszczędności, a komory pułkowe obfitowały w znaczne zapasy umundurowania.

W takich kondycjach zastał rok 1830 wojsko polskie, o którego podziale wspomnę

nieto. Było: dwie dywizye piesze, a każdą składało cztery pułki liniowe i dwa strzeleckie o dwóch batalionach; dwa pułki stanowiły brygadę. Jedną dywizją dowodził Żółtowski, drugą Lzydor Krasieński. Do każdej brygady przyłączona była bateria artylerii pieszej o dwunastu działach. I kawaleria składała się z dwóch dywizji, także jedna ułanów, którą dowodził generał Weissenhof, druga strzelców konnych, szaserami zwanych, pod dowództwem generała Klickiego. Do każdej przydzielona była jedna bateria lekko-konna. Gwardyą składał pułk grenadyerów, którym dowodził generał Żymirski, pułk strzelców konnych pod wodzą pułkownika Zielonki, i bateria artylerii konnej pułkownika Chorzeńskiego; do tego jeszcze był batalion saperów, pół baterii rakietników, piesza i konna szkoła podchorążych, oddział weteranów, nieco artylerii wałowej w Modlinie i Zamościu, inżynieria, kwatermistrzostwo, w końcu żandarmeria.

Zaraz w pierwszych dniach grudnia powołano wszystkich urlopowanych i utworzono z nich trzecie bataliony w piechocie, a piąte i szóste szwadrony w kawalerii; z weteranów uformowano pułk pod nazwą weteranów czynnych; żandarmów zebrano także w pułk, który dostał miano karabinierów i powiększono

znacznie ilość dział. Jednocześnie nakazano formacją nowych pułków, i każde z ośmiu województw wystawiło dwa pułki piesze i dwa konne; miasto Warszawa pułk piąty strzelców pieszych i szósty ułanów, i te zwano „Dzieci Warszawskie“; ordynat Zamojski formował piąty ułanów; Poznańskie wystawiło pułk także. Później nieco przybyła legia Wołyńska, oddział Różyckiego, dalej legia Galicyjska, Nadwiślańska zwana, w końcu cztery bataliony wolnych strzelców, były przy tem drobniejsze oddziały kosztem prywatnych formowane.

Największy zapal ożywił w owym czasie wszystkie warstwy społeczeństwa, nawet lud wiejski, co tak nieprzyjaźnie występował potem przeciwko ruchom objawiającym się w latach 1846 i 1848, a szczególnie w 1863, w czasie powstania owego z wielką ochotą szedł w szeregi, a na poparcie tego zacytuję parę wydarzeń, których byłem świadkiem.

Zaraz w pierwszych dniach grudnia powołano do broni całą niemal ludność do boju zdolną, i nazwano to gwardyą ruchomą. Dwóch regimentarzy stało na czele tego pospolitego ruszenia. Zawiślańskim był Soltyk, przedwiślańskim Małachowski. Po województwach dowodzili wysłużeni generałowie, po powiatach dowódcy powiatowi, jednym z takich ja byłem w powiecie Chełmskim, gdzie przeważała lu-

dność wiejska unickiego obrządku. Stosownie do rozkazu, jaki odebrałem, zgromadziłem ich w Chełmie dla poświęcenia sztandaru, obrzęd, który dopełnił czcigodny biskup Szumborski. Wychodziliśmy z katedry, kiedy nadjechał adjutant generała Szeptyckiego, dowodzącego powstaniem w województwie, i przywiózł mi rozkaz wystania 250 ludzi do Zamościa, dla wzmocnienia tamtejszego garnizonu. Zaraz tedy, co ochotniejszych, wybrałem żadaną liczbę, na kilkunastu zydlach strzyżono im głowy, rozdano furazerki żołnierskie, które przywiózł z sobą adjutant, oddawca rozkazu, przeznaczyłem oficera i czterech podoficerów do nich, i nakarmionych, napojonych, z muzyką bazylikańską odprowadzaliśmy za miasto. Jakaś wieść dziwna rozeszła się była po całym powiecie, że poświęcenie sztandaru było tylko pretekstem z mojej strony, i że zaraz z Chełma poprowadzę ich do boju: dwa razy też więcej przyszło do miasta kobiet, jak było powstańców, a że wiemy, jak skłonna jest do płaczu pleć żeńska po wsiach, to też cały ten tłum zawodząc i szlochając towarzyszył odchodzącym, a ci wśród śpiewek, śmiechów i płasów, żartując z płaczu kobiet, z dobrą fantazyą szli dalej. Piątego dnia wrócił wysłany z nimi oficer i podoficerowie, i wręczyli mi dowód od generała Krysińskiego, dowódcy Zamościa na

odebraną partya rekrutów; doszli wszyscy, ani jednego nie brakowało.

W pierwszych dniach lutego idąc z Lublina do Warszawy, nie daleko za Wisłą — wśród zawiei śniegowej — usłyszeliśmy śpiewy, śmiechy i granie na skrzypkach. Kiedyśmy się zrównali z tą wesołą gromadą, ujrzeliśmy kilkudziesiąt młodych parobków, którzy świątecznie postrojeni — z wielką fantazyą szli drogą pomimo przykrego bardzo czasu. Zdziwieni tem, pytaliśmy ich, co są za jedni? „Rekruty!“ — odrzekli, — „idziemy do pułku, do Kozenic!“ i śpiewając mijali nas... Ani jednego żołnierza, nikogo nawet surdutowego nie było pomiędzy nimi.

Jeszcze jeden przykład.

Po skończonej wojnie, w późnej jesieni wróciłem do domu. Był to majątek nieludny w porównaniu do przestrzeni, trudno też było gospodarzom znaleźć parobków.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, pora, w której godzi się czeladź, — kiedy miejscowy wójt gminy doniósł mi, że ani jeden z parobków, co wrócili z wojska, nie chce stawać na służbę, a było takich siedemnastu, czy ośmnastu.

Wiedząc, jakiby to uszczerbek zrobiło w gospodarstwie, mając przytem to przekonanie, że ci ludzie na stratę by narażeni byli,

zarobkując dziennie, kazałem ich do siebie przywołać.

Kiedy mnie ujrzeni, miasto chłopskiego: „Niech będzie pochwalony!” — używanym w wojsku polskim okrzykiem: „Zdrowia życzymy!” powitali mnie i stanęli w żołnierskiej postawie. Na przedstawienia moje, dlaczego nie stają na służbę u gospodarzy, odpowiadali ogólnikami, z jakimś zakłopotaniem spoglądając ciągle na zastęp wójta, który był przy tej rozmowie, a ja z łatwością pojąłem, że obecność jego wstrzymuje ich w powiedzeniu całej prawdy. Dałem mu też jakieś zlecenie, dla spełnienia którego oddalił się. Po jego odejściu wystąpił jeden z parobków, i zbliżając się do mnie:

„Teraz ja powiem panu całą rzecz;“ — mówił, — „ludzie powiadają, że to nie koniec jeszcze z Moskalami, i że nie długo będziemy się bić znowu z nimi; jakbyśmy stanęli teraz na służbie, a kazali iść znowu do pułku, to by zawód był wielki dla gospodarzy.“

Wzruszony tą ich gotowością, z bolem serca musiałem im powiedzieć, że o nowym boju niema co myśleć, a oni w milczeniu ze spuszczonei oczyma słuchali mnie, a kiedy skończył: —

„Jużciż!“ — ozwał się ten, co do mnie przemawiał, — „pan to lepiej powinien wie-

dzieć niż my... Ha! woła Boska, — dodał, — pójdziemy w służbę, proszę pana!“ i do Nowego Roku wszyscy przyjęli obowiązki.

W trakcie tego opowiadania sposobność mieć będę przytoczyć jeszcze wypadki, dowodzące dobrego usposobienia wiejskiej ludności.

Dnia 8. lutego na sześciu punktach wkroczyli Moskale do Królestwa w sile 200.000, a armia polska koncentrowała się około Warszawy.

Wysłaliśmy z Lublina 9.: było nas dwa pułki piechoty, nowo sformowane, 15. i 16.; batalion trzeci trzeciego liniowego i pułk kawalerii pod dowództwem Kazimierza Oborskiego — później rozebrany; pierwszy zaś pułk jazdy Lubelskiej, którym dowodził pułkownik Jaraczewski, kilka dni wprzód wyszedł był z Lublina.

Gdyby Moskale dobrze poinformowani byli, mogła była ich kawaleria przeciąć nam drogę za Wisłą, którąśmy pod Puławami po lodzie przebyli, i to niepokoiło generała Henryka Kamińskiego, który nas prowadził, kiedy między Kozienicami a Ryczywołem spotkaliśmy 18 szwadronów rezerwowych dziewięciu pułków i ułanów i szaserów, które szły pod rozkazy generała Dwernickiego, żeby z nim na Wołyn wkroczyć. Im dane było pierwszym bój stoczyć, a że oni nie spotkali nieprzyja-

ciela po drodze, bezpieczni tedy doszliśmy do Warszawy.

Od początku powstania nie byłem w niej, to też z wielką ciekawością przypatrywałem się nowemu dla mnie widokowi, jaki przedstawiało miasto. Od Królikarni począwszy, na całej przestrzeni jak okiem zajrzeć można było sypano baterie; na niektórych stały już ogromne wałowe działa, w murach, ogrody i letnie mieszkania okalających, były powybijane gęste otwory na broń ręczną, w niedużych odstępach stały placówki kawalerii w nieznanych mi mundurach, należały one do nowouformowanych pułków: wszędzie ruch wojenny, przeciągające oddziały wszelkiej broni i głuchy turkot furgonów, wózów amunicyjnych i armat. Wśród tego ruchu wjechaliśmy do miasta i stanęli w hotelu Gierlacha na Krakowskiem Przedmieściu.

Zajęty byłem ulokowaniem koni, kiedy niezmierne okrzyki wywołały mnie na ulicę. Przez cały Nowy-Świat widno było las chorągiewek granatowych z żółtem bujający w powietrzu, — to 1. pułk Mazurów postępował. Na czele jechał pułkownik, po prawej jego ręce, na tęgim koniu po oficersku okulbaczonym, postępował Bernardyn w kapturze na głowę nasuniętym, trzymał w ręku krzyż, u boku miał szablę z felcechem. Po lewej

zaś stronie dowódcy pułku na białym koniu jechała ślicznej urody kobieta w amazonce koloru i kroju pułku: bo na piersiach miała rabaty granatowe z żółtą wypustką i takimże kołnierzem, na głowie zaś niską czapeczkę ułańską żółtem pikowaną, z pod której spływały gęste loki jasno-blond włosów; była to żona pułkownika. Kiedy dochodzili do Świętego Krzyża, w oficynie namiestnikowskiego pałacu, co ulicy dotyka, rozwarły się drzwi szklane na balkon wiodące, i ukazał się na nim książę Michał Radziwiłł, wódz naczelny z generałem Chłopickim, za nimi widno było kilku generałów i oficerów sztabu. Dowódzca Mazurów podjechał wraz z żoną pod balkon, oddał ukłon wojskowy stojącym na nim i stał tak długo, póki nie przeszedł pułk cały. Od strony Nowego-Świata rozległ się znany krakowiak „Albożmy to jacy tacy, chłopcy Krakowiacy!“ chórem śpiewany, bo to 1. pułk Krakusów nadchodził.

Komuż nie znana fantazyja krakowskiego ludu i jego gotowość do tańca i bitki, toteż szczególną wesołość i swobodę widno było na wszystkich twarzach, a ubiór żołnierza bardzo malowniczo wyglądał: mieli na sobie krótkie krakuski białe, plecionką białą z czerwonym obszywane, na drobne guziczki spięte na piersiach, z każdej strony tulejki na łańdunki,

zakończone srebrnymi zatyczkami, na głowach pasowe niskie czapeczki z czarnym barankiem i pawimi piórami, z lewego ramienia spływała opończa czarna pasowem podszyta, kaptur i kołnierz w różne wzory wyszywane. Dziarska postać żołnierza, wesółą pieśń, jaką śpiewali, zrobiły wielkie wrażenie na publiczności; toteż niezmierne okrzyki witały dzielnych Krakusów.

Za nimi szedł drugi pułk krakowski, Krakusami Paszyca zwany; ci mieli czarne krakuski a białe opończe. Potem następowali Kaliszanie, za nimi jazda Sandomirska, Płocka, Augustowska i kilka innych, a pochodowi towarzyszyły rozgłosne pieśni. Dopiero kiedy dochodzili do Św. Krzyża, na komendę: „Za broń!“ cisza się zrobiła i w milczeniu przeciągali przed wodzem naczelnym. Pochód tych młodych żołnierzy zamykał pułk karabinierów z żandarmów, jakem to wyżej powiedział, sformowany. Między tymi nie słysząc było śpiewek, przeciwnie cichość największa panowała, którą przerywało tylko głuchoe stąpanie koni po bruku, szcęk pałaszy i dźwięk trąb, które poważnego odgrywały marsza. Wszystko to byli ludzie dojrzałego wieku, wielu siwizna już pokrywała, a ubiór ich i uzbrojenie w harmonii były z tą powagą starego żołnierza: szafirowe bowiem mundury,

prócz kołnierza czerwonego, żadnych ozdób nie miały; za to niemal u każdego na lewym rękawie munduru gęsto naszywane żółte szewrony dowodziły długoletniej służby, a u wielu błyszczące na piersiach krzyże polskie, albo legii honorowej, odznaczały starych wiarusów Napoleona. Jakaś powaga i pewność siebie malowała się na tych ogorzałych twarzach, toteż w czasie wojny wzorem byli porządku, karności i odwagi.

Nieraz ja słyszałem ludzi nieświadomych rzeczy, odpowiadających na zarzuty czynione późniejszym powstaniom braku organizacyi, że łatwą to było rzeczą w 1831 roku, bo dobrze uorganizowana armia dopełniła tego, i czas był po temu. Chcąc zbić to fałszywe zapatrywanie się, opowiem, jaki był skład pułku dziesiątego ułanów, którego formacyi świadkiem byłem.

Sześć szwadronów po ośmnaście rot w plutonie z podoficerami, oficerami i trębaczami, tysiąc koni wynosiło. W tej liczbie dowódca pułku i trzech sztabsoficierowie, byli to starzy wojskowi z Księstwa Warszawskiego, dawno na wsi osiedli; czwarty był ze służby rosyjskiej, co robił kampanią turecką. Pomiedzy oficerami trzech, a najwięcej czterech było z regularnych pułków, zresztą młodzież szlachecka, która się musiała sama uczyć musztry,

stanowiła korpus oficerów do 50 głów wynoszący. Taki stosunek był niemal w każdym pułku jazdy.

Powstanie, jak wiadomo, wybuchło w nocy z 29. na 30. listopada. Do 8. lutego, czyli dnia, w którym całe wojsko ruszyło na linią bojową, było wszystkiego dziewięć tygodni, kilka dni zeszło, nim się zorganizowały władze tak cywilne, jak wojskowe; kilka dni znowu, nim rozesłane rozkazy formacji podochodziły rąk ludzi do tego powołanych. Od 15. tedy dopiero grudnia zaczęto ściągać i ludzi i konie. Każden, co ma jakie takie pojęcie o formacji kawaleryi, pojmie łatwo, co trzeba było trudu i mozołu do obsiadania i oswojenia z bronią i strzałami takiej ilości koni, szczególnie kiedy tą pracą zajmował się rekrut żadnej w tem wprawy nie mający; a cóż jeszcze powiedzieć o ludziach: to też dopiero po Nowym Roku siedziało to wszystko na koniach. Nie zostało więc i czterech tygodni do wyuczenia żołnierza prostego odłamywania się; ależ dobre chęci oficerów zastępowały ten niedostatek czasu: bo w marszach, jakie się odbywały, musztrowali ich ciągle. Z takimi to zasobami organizacji, w takim to krótkim czasie stanęło na linii bojowej nowo sformowanych 30 batalionów piechoty i 60 szwadronów jazdy. W parę miesięcy potem pierwsze z odwagą starego

żołnierza na kilka kroków przypuszczali szarżę i szły na bagnety, drugie rozbiły stare pułki rosyjskie albo brały działa.

Pierwsze spotkanie z nieprzyjacielem miało miejsce pod Stoczkiem; tam dwa szwadrony rezerwowe 2. pułku ułanów rozbiły pułk dragonów moskiewskich i zabrały działa, a nieprzyjaciel spiesznie cofał się ku Lublinowi. Szedł w ślad za nim generał Dwernicki i dopędził go w Kurowie, gdzie zdawało się, że bitwę chce przyjąć. Piechota i artyleria nasza była w mieście, tylko kawalerią uszykowano na polu, a na jej czele dużo wysunięty naprzód stał nowy odrębny szwadron „Krakusami Kościuszki“ zwany, kosztem Adolfa Łąckiego, obywatela z Sandomirskiego uformowany. Naprzeciwko tego szwadronu stały na szosie cztery działa rosyjskie ze stosowną asekuracją; dalej widno było kolumny piechoty i kawaleryą, była to komenda generała Kawera. Patriotyczna ofiara Łąckiego wynagrodzona została stopniem kapitana, ależ on nie mając żadnego doświadczenia wojskowego, nie chciał dowództwa szwadronu i do sztabu generała Dwernickiego przyłączony został.

Takie było położenie szwadronu, kiedy nadjechał Łącki i dowiedział się, że dowódca pojechał do miasta po rozkazy. Oficerowie

byli to wszystko sąsiedzi zażyli z Łąckim, wesóło też rozmawiali stojąc przed frontem, kiedy padł strzał armatni ze strony rosyjskiej, kula odbiła się na szosie i przeniosła szwadron, potem druga, trzecia i czwarta, równie nieszkodliwie przeszły, a Łącki widząc, że się bój rozpoczyna, chciał już posyłać po dowódcę szwadronu, kiedy oficerowie — wszystko młodzież ochocza:

„Co mamy czekać?“ — ozwali się, — „uderzmy na nich i zabierzmy im działa! Prowadź nas, kapitanie!“ wołali na Łąckiego. Jakkolwiek niedoświadczony, nie mógł się oprzeć naleganiom kolegów, — dobył szabli: „Za mną, wiara!“ krzyknął, — i w całym pędzie koni ruszył naprzód. Wystąpił przeciwko nim szwadron moskiewski, ale rozbili go Krakusy, wpadli na działa, które już zaprzęgali artylerzyści, skłuli ich i zabrali armaty. Dwernicki usłyszawszy strzały, wysłał adiutantów dla dowiedzenia się o zamiarach nieprzyjaciela, ale nim ci wrócili, wchodził upojony zwycięstwem Łącki do Kurowa, prowadząc cztery uprężone działa z jaszczkami i całym przyborem i kilkudziesięciu niewolnika. Tak to śmiałe natarcie kawalerii częstokroć niespodziewane korzyści przynosi i demoralizuje nieprzyjaciela; to też Kawer zrażony tem niepowodzeniem, cofał się z pośpiechem do Lublina.

Wkrótce nastąpić miały kroki wojenne na większą skalę. Nim o nich mówić będę, wspomnę nieco o głównodowodzącym. Od początku kreacji Królestwa Polskiego, imię generała Chłopickiego świeciło aureolą zasłużonej sławy, której nabył w wojnach Napoleona, szczególnie przy zdobyciu Saragossy, a opór jego stawiany brutalnym wybrykom Wielkiego Księcia, wyrobił mu niezmierną popularność.

Na końcu 1814 roku ustanowiono komitet z generałów złożony, który się zajął organizacją wojska. Drażliwą kwestją kolorów narodowych rozstrzygnął cesarz Aleksander na korzyść Polaków, ależ Wielki Książę, który ile możności chciał zaasymilować wojsko polskie z rosyjskiem, żądał od generałów, żeby przynajmniej przyjęli na kołnierzach haft rosyjski, jakim są liście dębowe. Pierwszy się oparł temu generał Chłopicki, dając za powód, że im, jako zwyciężonym, laury nie przystoją; ale kiedy Wielki Książę nie chciał ustąpić z żądania swego, to generał Chłopicki pewny jednomyślności kolegów, wręcz mu oświadczył, że raczej wszyscy wezmą dymisy, a nie przyjmą tej obcej dla nich odznaki. I tę kwestyą zrezolwował cesarz na korzyść Polaków, a to odniesione zwycięstwo wzbudziło niechęć Wielkiego Księcia dla głównego opo-nenta, jakim był Chłopicki.

Przekonanie o własnej zasłudze, dobrze zrozumiane poszanowanie samego siebie, tak niezgodne ze służalczą uniżonością, do jakiej nawykły był Wielki Książę, drażniło go niezmiernie; a nieraz głośno wypowiedziana przez jenerała nieaprobata dzikich wybryków Wielkiego Księcia coraz nieprzyjaźniej wpływała na stosunek jego z Chłopickim.

Wiadomo jest, że Wielki Książę wymagał od jenerałów tej samej akurattości w najdrobniejszych szczegółach służby, do jakiej starał się przyzwyczajać żołnierzy. To też raz w czasie parady na Saskim Placu, widząc Chłopickiego idącego na czele dywizyi z tą swobodą i opuszczeniem starego wojaka, tak różnem od sztywnej postawy ówczesnego żołnierza, rozgniewany tem wielki książę:

„Vous ne savez pas marcher, général!” zawołał.

„C'est possible, Monseigneur,” odrzekł Chłopicki, — „et pourtant de ce pas, je suis venu de Madrid à Moscou.”

Potem jakaś nieformalność w ubiorze jenerała była powodem zajścia z Wielkim Księciem, w skutek którego wziął Chłopicki dymisyą, i pomimo usilnych nalegań cesarza Aleksandra nie wrócił do służby.

Te wydarzenia rozgłos wielki miały w całym kraju i powiększyły jeszcze cześć i na-

dzieje, jakie naród pokładał w zdobywcy Saragossy. Toteż kiedy wybuchło powstanie trzydziestego roku, rząd tymczasowy oddał mu dowództwo wojska, wkrótce potem wziął dyktaturę, a kiedy ją złożył, sejm wodzem naczelnym mianował księcia Michała Radziwiłła; a ten oddając winny hołd talentom jenerała Chłopickiego, nic bez jego porady nie przedsiębrał: i on właściwie dowodził w spotkaniach, jakie miały miejsce 19. i 20. lutego, a potem w pamiętnej bitwie na równinach Grochowa 25. tegoż miesiąca stoczonej.

Stotysięczna przeszła armia rosyjska pod wodzą Dybicza stanęła w dniu tym do boju; Polaków ledwie 40.000 ludzi udział w nim brało: bo z szesnastu pułków piechoty nowoformowanych, w których pierwszy tylko szereg miał broń palną, a dwa inne w kosy na sztorc osadzone uzbrojone były, jeden tylko w dniu tym bił się; przytem cała kawaleria, prócz 2. pułku ułanów, nieczynną była. Cały tedy impet tej stotysięcznej armii przyjął 13 pułków starej piechoty i artyleria. Pomimo tej niestosowności sił zwycięstwo byłoby zupełne, gdyby rozkazy jenerała Chłopickiego wykonane zostały. Na lewem skrzydle naszym pod Białoleką odparła dywizya jenerała Krukowieckiego cały korpus grenadyerów Szachowskiego; a ten raz zepchnięty z tej pozycji,

zmuszony obchodzić błota, nie był w stanie w tym dniu połączyć się z resztą armii. Kilka razy zdobywana owa pamiętna olszynka, klucz pozycji, utrzymywało stanowczo wojsko polskie, a Dybicz widząc przez to zagrożone skrzydło swoje, ruszył dwie dywizje kawalerii, które uformowane szwadronami szły do ataku. Na widok zbliżającej się tej masy konnicy, z naszej strony puszczono race kongrewskie, które pominęły pułk kirasyerów księcia Alberta, co szedł na przodzie, i wpadły na idące za nim; a pękając wśród szeregów, zmieszały je i zatrzymały w pochodzie. Kirasyery zaś nie wiedząc, co się za nimi stało, pewni, że wsparci będą, szli naprzód. *) Przechodzili koło batalionu 8-go liniowego, którym dowodził major Karski, wielkiej odwagi człowiek. Na dolinie, lodem pokrytej, sformował czworobok i przyjął ich karabinowym ogniem, a na zdemoralizowanych tymi strzałami uderzył pułkownik Kicki z drugim ułanów i straszną im klęskę zadał.

Wstrzymana racami szarża kawalerii, zepchnięty z placu boju korpus Szachowskiego i opanowanie olszynki spowodowało zamieszanie między Moskalami: toteż wszystko rzuciło się z szosy ku lewemu skrzydłu, a tam

*) Szczegóły tego opowiadał książę Adam Woroniecki, który służył w konnopolcach, i pod którym konia wtenczas zabito.

działa i wozy amunicyjne lgnęły w rozmoklej odwilżą ziemi. Chłopicki, widząc ten popłoch, pewny zwycięstwa, posłał rozkaz jenerałowi Łubińskiemu, żeby z całą kawalerią, która była pod jego rozkazami, uderzył na nieprzyjaciela.

Łatwo pojąć, jaki byłby rezultat tego natarcia stu niemal szwadronów na wypoczętych koniach, co zmasowane stały koło żelaznego słupa, na zdemoralizowanego już nieprzyjaciela. Zapewne część ich byłaby ulgnęła w rowach, którymi przestrzeń, którą przebiegać mieli, jest poprzerynana (i tem tłumaczył jen. Łubieński niewykonanie tego rozkazu), ależ to, co by doszło, niewątpliwie byłoby pchnęło całą tę masę na Wisłę, na której lód już był kruchy, a na nim łokieć blisko wody stało.

Nieszczęście chciało, żeby jednocześnie zginął trzeci już koń pod jen. Chłopickim, a granat, co zabił konia, pękając, ranił samego jenerała w nogi. Tym fatalistycznym wypadkiem wojsko pozbawione dowództwa, stało chwilę bezczynne na placu boju, a potem weszło w mury Warszawy. Tym sposobem bitwa Grochowska, prócz strasznego krwi rozlewu, nie miała żadnego rezultatu, ależ w żołnierzu polskim wyrobiła to przekonanie,

że nad silniejszym liczebnie nieprzyjacielem korzyści odnosić jest w stanie.

Po odebranej ranie Chłopicki wyjechał do Krakowa. Książę Radziwiłł złożył naczelné dowództwo, a sejm oddał buławę jen. Skrzyneckiemu.

Reorganizacja wojska, zapelnienie ubytku w szeregach bitwą Grochowską spowodowanego, było szczególnem staraniem nowego wodza naczelnego, który w wielkiej tajemnicy układał plan dalszej kampanii, i tak zeszedł cały marzec, a przez ten czas nic nie zdradziło zamiarów jen. Skrzyneckiego.

W wielkim tygodniu, zda mi się w środę, na wydane w sekrecie rozkazy zbierało się wojsko ponad Wisłą, a nikt w mieście, nawet członkowie rządu o tym ruchu nie wiedzieli. Dopiero w nocy przyszedł generał do księcia Czartoryskiego, który zdziwiony temi późnemi odwiedzinami, pytał, czy co nadzwyczajnego nie zaszło, a generał klaniając mu się:

„Przyszedłem“ — rzekł, — „prosić księcia jutro na śniadanie do Miłosny!“ i dopiero rozpowiadał atak, jaki zamierzył.

W nocy przeszło całe wojsko na drugą stronę Wisły i uszykowało się pod okopami Pragi, a skoro rozwidniać poczęło, uderzono na Moskali.

Pod karczmą Wawrem bój był zacięty;

zdołoby okopany obóz i ciągle w ślad idąc za nieprzyjacielem, rozbijając jego czworoboki, biorąc działa i niewolników, postępowało wojsko nasze. Pod Dębem zupełne było zwycięstwo, a niezmierna ilość niewolnika bezprzykładną rzeczą w historii wojen, jakie Moskwa nawet z Napoleonem staczała.

W tej bitwie zaszło jedno z tych dziwnych wydarzeń, w jakie obfitują annale wojskowe.

Na szosie stał pułk karabinierów, o którym już wspominałem, a dowodził nim pułkownik, późniejszy generał Szneide. Poza nimi, na boku, rozwinięty był drugi szaserów. Naprzeciw karabinierów odprzodkowane stało sześć dział moskiewskich, poza nimi w asekuracji jakiś pułk dragoński z białemi obszlęgami, a na tejsze prawie linii, ale w znacznem oddaleniu, pułk ułanów z żółtymi obszlęgami, ułańsko-litewski zwany, którego dowództwo świeżo otrzymał niejaki Szyndler, dawny dowódzca szwadronu gwardyi konnopolców, który przez piętnaście lat istnienia Królestwa stał ciągle w Warszawie i znał dokładnie cały skład armii polskiej, wiedział też dobrze, że tam ciężkiej kawaleryi nie było. Widząc zdaleka czarne hełmy w mosiądz okute z włosianym grzebieniem na wierzchu, wziął ich za kirysierów moskiewskich, którzy zupełnie takie same mieli; a że w tem miejscu grunt

jest poprzerynany gęstemi zaroślami, mógł też dojrzeć ponad krzakami tylko głowy jeźdźców, i to go w błąd wprowadziło.

Niebawem nadbiegł adjutant wodza naczelnego z rozkazem do Szeidego, żeby uderzył na działa przed nim stojące. A ten wniósł, że idąc prosto, na wielkie straty byłby narażony, wziął się też w prawo i obchodząc zarośla dążył na skrzydło baterii, na którą miał szarżować. Byli oni w znacznej już odległości, kiedy z drugiego szaserów odłamał się dywizyon i szedł ku szosie, żeby wesprzeć karabinierów, gdyby ci cofać się zmuszeni byli. Szyndler widząc ten ruch konnych strzelców, (o których wiedział, że to Polacy,) posunął się z pułkiem, i jak karabiniery obchodząc zarośla, które go często zakrywały, i on dążył do szosy. Tymczasem karabiniery znalazłszy się prawie na wysokości dział moskiewskich z największym impetem uderzyli na nie, bez starcia pierzchnęli dragoni, i wszystkie sześć dział, które na przedłużnicach były, wraz z przyborem i kanonierami dostały się w ręce Polaków, a między niewolnikami był generał od artylerii, nazwiskiem Lewandowski; wsadzono go zaraz na dział, i armaty przodem, za niemi karabiniery szli szosą, szasery zaś widząc zdobyte działa zwrócili się na dawne stanowisko.

Ułani Szyndlera zakryci zaroślami ani zdobycia dział ani odwrotu szaserów nie widzieli i wązkimi drożynami pomiędzy krzakami postępowali ku gościńcowi. Jednakowy krój mundurów obu wojsk, ciemna barwa sukna, tych samych kolorów kołnierze i rabaty, i takiegoż kształtu kaszkiety, nieraz były powodem pomyłki, która tym razem wybitnie bardzo wykazała się.

Działa zdobyte dochodziły już do miejsca, z którego ruszyli karabiniery, kiedy z krzaków zaczęli wysuwać się ułani, a nie widząc szaserów, a przeciwnie szosą idące działa swoje, a za niemi pułk, który za kirasierów mieli, szli swobodnie, a Polacy znowu byli przekonani, że to jeden z dwóch pułków Mazurów, którzy takie same czapki ułańskie i takżeż żółte kołnierze mieli. Nie wiem jak długo byłoby trwało to zobopólne złudzenie, gdyby jeden z oficerów od karabinierów, świeżo z pierwszego ułanów na dowódcę szwadronu awansowany, dobrze znający Szyndlera, widząc go przed pułkiem, który miał za Mazurów, pewny że się dostał do niewoli, podjechał do niego i z rodzajem interesowania:

„Co tu pułkownik porabiasz? zapytał.

Szyndler wpatrzył się w niego zdziwiony, a po chwili poznał i twarz dobrze mu zna-

na i błąd, w jaki popadł, zwrócił się też do swoich:

„Ułany!“ — krzyknął, — „piki na pere-wis, kali skarej Lachy!“ i zaraz okrzyk „Stroi-sia!“ przez oficerów wydany, rozległ się w szeregach.

To hasło do boju zastało karabinierów dowolnie idących, toteż rzucili się oni na pole, żeby mieć miejsce sformowania się, zostawując na drodze zdobyte działa. A ułany jako następstwo pierwszej pomyłki wpadli w drugą: kiedyż to są Polacy, pomyśleli, to muszą być i ich działa. Wpadli też na nie, i pomimo wołania kanonierów, że są Moskale, kłuli ich i ściągnęli na ziemię Lewandowskiego.

Głośnie komenda, potem okrzyki natarcia doszły do uszu szaserów. Zwrócił się też zaraz ów dywizyon, co szedł w pomoc karabinierom, i wyciągniętym pędził galopem; a kiedy z zarośli wysunął się na otwarte miejsce, uderzył z boku na ułanów. Tymczasem sformowali się karabiniery, wpadli na nich z drugiej strony, i wszczęła się rzeź straszna.

W tem starciu Szyndler spotkał się z jakimś wachmistrzem od szaserów i natarł na niego; ależ ten odbił cięcie pułkownika i zranił mu rękę, a potem pchnął go krzywym

pałaszem swoim w piersi tak silnie, że aż plecami wyszedł koniec szabli.*)

Rzadko się zdarza po bitwie między kawalerją widzieć taką ilość zabitych, jaka leżała w tem miejscu: bo literalnie, z małym wyjątkiem co ująć zdołało, wyrabiali karabiniery i szasery pułk cały. Stąd po skończonej wojnie, kiedy go na nowo formowano, żeby zatrzeć pamięć tej klęski, „Nassauskim“ go od nazwiska właściciela nazwano.

W parę lat po wojnie dziwnym trafem spotkanie to opowiadane przez jednego z aktorów tego krwawego dramatu, odświeżyło go w mojej pamięci, a jego następstwo pozostało w niej jako obraz szlachetnej strony żołnierskiego zawodu.

O milę od Chełma leży wieś Czerniejów. Była ona w owym czasie własnością człowieka, który, jak wszystka młodzież ówczesna, robił kampanią 1831 roku. Miły, wesoły, umysłowo wykształcony, wiecie był przez wszystkich ceniony, to też dom jego bardzo był uczęszczany. Zimową porą po wieczorze, który dawano w okolicy, przybyliśmy tam w kilku i wypocząwszy nieco po bezsennej

*) W nocy dnia tego jechałem kurierem do Cegłowa, gdzie była główna kwatera, i koło placówki 3-go pułku ułanów, co stała na pobojuwisku, zatrzymałem się i przy świetle ognia, co tam był rozniecony, widziałem ciało zabitego Szyndlera, a potem z rozkazu jen. Skarżyńskiego oddałem wdowie jego zegarek po nim, który generał od szasera, co go zabił, odkupił.

nocy, po dobrym obiedzie przy kawie i fajeczce toczyła się wesoła rozmowa, do której wydarzenia wieczoru niewyczerpany przedstawiały przedmiot.

Wśród tej pogadanki oznajmił nam gospodarz, że niebawem przybędzie jeszcze gość jeden, a tym jest major u niego konsystujący. Zapowiedziana obecność nieznanego człowieka a do tego Moskala, niemiłe na wszystkich zrobiła wrażenie, i ze szczerością zażyłym stosunkiem z gospodarzem usprawiedliwioną nie taili tego przed nim.

Ależ gospodarz odrzekł, że ów major jest to Polak, w dzieciństwie oddany do jakiegoś zakładu wojskowego rosyjskiego, potrzebą zagniony jest służyć w wojsku; nie zapomniał jednak prawych zasad, jakie w nim w domu rodzicielskim zaszczerpiono, o czym przez kilkomiesięczny pobyt jego tutaj miał nieraz sposobność dowodnie przekonać się. To zapewnienie gospodarza uspokoiło obawy nasze.

Wieczorem przybył zapowiedziany, a gospodarz zapoznał go z nami. Nazywał się Ziółkowski i był majorem w owym „ułańskolitewskim“ pułku, nie dawno „Nassauskim“ przezwanym, którym dowodził pułkownik Weiss, były adjutant w. ks. Konstantego.

Przy kolacyi rozmawialiśmy o owej pamiętej szarzy karabinierów pod Dębem, a Ziół-

kowski, który był w tem spotkaniu, opowiadał najdrobniejsze jego szczegóły i ową pomyłkę Szynclera, który wziął polskich żandarmów za kirasierów, przekonanie, które z nim podzielał pułk cały.

„W tem spotkaniu ranny byłem,“ mówił Ziółkowski, „i długiego trzeba było czasu, zanim wyzdrowiałem, a kiedy nieraz nękany cierpieniem narzekałem na położenie moje, czyż mogłem się spodziewać, że w rok potem ta rana właśnie będzie dla mnie powodem wielkiej moralnej pociechy.“

To zakończenie wzbudziło naszą ciekawość, prosiłszy go też o szczegóły tego wydarzenia, na co chętnie przystał i po kolacyi przy herbacie zaczął opowiadanie swoje, którego z wielkiem zajęciem słuchaliśmy.

Wyleczywszy się z rany, umyślił odwiedzić rodzinę w Krakowskim zamieszkałą, której nie znał, kiedy uporczywa febra zmusiła go w jesieni dopiero przedsięwziąć tę podróż. Zły stan dróg w tej spóźnionej porze, a przytem osłabienie, wynik długiej niemocy, były powodem, że wolno podróżował wybierając noclegi i popasy w miejscach, gdzie mógł wygodę znaleźć. Był już gdzieś za Radomem, kiedy słota zmusiła go (choć było dość wcześnie jeszcze) szukać na noc przytułku; zajechał też do karczmy w pierwszej wsi,

jaka na drodze była, ależ tam ani stancyj gościnnej, ani nic do zjedzenia nie znalazł. Chętny, ale niezamożny karczmarz nie mogąc zaspokoić koniecznych potrzeb podróżnego, dał mu radę żeby zjechał do dworu, zapewniając, że tutejszy dziedzic jest człowiek bardzo gościnny i przyjmie go uprzejmie. Twierdzenie karczmarza było tak przekonywające, a brak wygody tak dokuczliwy, że po krótkim namyśle zdecydował się — i ruszył do dworu. Kiedy stanął przed gankiem, wyszedł na jego spotkanie gospodarz domu, już nie młody człowiek, który, kiedy mu opowiedział położenie swoje, z wielką uprzejmością zaprosił go do siebie i zaraz przedstawił go żonie, a ta go przyjęła z widocznym uczuciem politowania. Oznajmił obojgu cel swojej podróży, i pokazało się, że owi krewni, do których jechał, byli im dobrze znani, a informacye, jakie mu o nich dali, kazały mu się spodziewać serdecznego przyjęcia. Wkrótce oznajmiono, że kolacya gotowa, a Ziółkowski uważał, że na stole cztery nakrycia ustawiono, chociaż ich troje tylko było; a kiedy zasiedli, a nikt nie zajmował próżnego miejsca, zwrócił się do gospodyni:

„Państwo zapewne“ rzekł, „oczekują ko-goś!“ i wskazał na niezajęty stół.

„Tak jest, panie!“ odrzekła zapytana, „ocze-

kuję syna mego, który pojechał na polowanie, i turbuję się, że dotąd nie wraca.“ Mąż starał się uspokoić obawy żony, a nie długo potem usłyszano turkot powozu, służący zaś oznajmił, że pan Adolf przyjechał.

Jakoż wkrótce ukazał się dorodny młodzieniec, z czułością witała go matka, a ojciec zapoznawszy go z gościem swoim, wypytwał o powodzenie na polowaniu. Przygody myśliwskie, to niewyczerpany przedmiot do rozmowy, toteż wesoły gospodarz domu opowiadał wydarzenia, jakich był nieraz świadkiem na łowach, potem mówił o dawnych wypadkach wojennych, a Ziółkowski z tej rozmowy dowiedział się, że opowiadający służył za czasów Księstwa Warszawskiego w pułku huzarów Tulińskiego, słynnym z odwagi, a razem z wesołego usposobienia i dziwnych konceptów korpusu oficerów.

Przez ciąg tej rozmowy uważał Ziółkowski, że pan Adolf pilnie mu się przypatrywał, — a kiedy przerwa nastąpiła:

„Chciej mi pan powiedzieć“ zapytał, „jak się zowie pułk, w którym pan służyysz?“

„Nassauski!“ odrzekł Ziółkowski.

„Nassauski,“ powtórzył młodzieniec, „nie znam wcale.“

„Bośmy niedawno tę nazwę dostali.“

„A dawniej,“ pytał pan Adolf, „jakże się zwał?“

„Ułańsko-litewski!“ odrzekł zapytany.

„O! ten, to znam dobrze!“ zawołał.

„Zapewne na Podolu,“ mówił Ziółkowski, „gdzieśmy długo konsystowali?“

„Na Podolu nigdy nie byłem,“ odrzekł z uśmiechem młodzieniec, „ale niedaleko Mińska poznaliśmy się: bo ja służyłem w drugim szaserów.“

„Krwawe to było poznanie,“ mówił Ziółkowski, „i obfite w dziwne wypadki.“ I dopiero obaj aktorowie tego dramatu opowiadali to zobopólne złudzenie, jak jedni wzięli karabinierów za kirasierów, a drudzy ułańów moskiewskich za polskich Mazurów. Opis ten z prostotą żołnierską skreślony, nadzwyczajnie zajmował starego huzara Tulińskiego, a i uczucie rodzicielskie mile połączane było. słysząc, jaki udział syn jego miał w tem spotkaniu, wypytywał też obu o najdrobniejsze szczegóły, a potem zwracając się do syna:

„A tyż, Adolfie!“ zapytał, „dużoś ich tam z konia zsadził, powiedz prawdę: bo przecież nie na tom cię od dzieciństwa szablą robić uczył, abys w spotkaniu był jak malowany.“

„Wiadomo ojcu!“ odrzekł ze skromnością młodzieniec, „że w takim starciu kawalerji nikt beczynnym być nie może: bo albo naciera, albo bronić się jest zmuszony, a że nasi byli górą, częściej się też nacierało. Ze

wszystkich bitew, w jakich byłem, ta mi najmilsze zostawiła wspomnienie, bom w niej miał sposobność uratować życie zacnemu młodzieńcowi.“

„I hojnieś za to,“ ozwał się ojciec, „nagrodzony został: bo ta usługa zjednała ci przyjaźń ocalonego, a wdzięczność jego rodziny. — „Opowiedz to majorowi“ dodał, — a kiedy Ziółkowski do żądania ojca dołączył prośbę swoją, to p. Adolf zaczął:

„W samym początku powstania przybył do nas sąsiad o trzy mile stąd mieszkający, wraz z synem, młodziuchnym chłopcem, który taką ochotę okazywał wstąpienia do wojska, że ojciec widział niepodobieństwo utrzymania go w domu. Dowiedziawszy się, że ja także zaciągam się do wojska, przybył tutaj, żeby mnie, jako starszemu wiekiem, polecić swojego Adasia; a kiedym na to chętnie przystał, wymógł na nas obu przyrzeczenie, że w żadnym wypadku nie rozłączymy się.

„Po czułem pożegnaniu wyjechalśmy tedy do Warszawy, a tam stosunek koleżeństwa i przyjaźni ojca mego z generałem Skarżyńskim, dowódcą drugiego pułku szaserów, spowodowały mnie do udania się do niego, i w parę dni potem oba z Adasiem byliśmy już w mundurach. Ja od dzieciństwa wprawiony przez ojca do szabli i konia, wkrótce zostałem ofice-

rem, a Adaś był kadetem w moim plutonie, i całą kampanią odbywaliśmy razem, a chociaż później chciano Adasia awansować do jazdy Sandomirskiej, nie przyjął on tego, nie chcąc się zemną rozłączać, i dopiero przy końcu wojny w naszym pułku oficerem został.

„Wiadome państwu są szczegóły korzyści, jakieśmy odnosili w pochodzie naszym ku Siedlcom, kiedy niedaleko Mińska zatrzymał się nieprzyjaciel i nastąpiła owa szarża karabinierów, wzięcie dział, a potem uderzenie ułanów na nieprzygotowany pułk Szneidego. Na gwar natarciem spowodowany ruszyliśmy galopem, i z boku wpadliśmy na ułanów; a kiedy wkrótce sformowani karabinierzy uderzyli z drugiej strony, wszczęła się gęsta rąbanina. Pierwszy raz i ja i Adaś byliśmy w szarży, trzymając się razem, — kiedy parci przez karabinierów ułani rozdzielili nas. Niespokojny oglądałem się za nim i ujrzałem go o jakie kilkadziesiąt kroków, jak ścierał się z ułanem, odbił mu lancę i ranił widno: bo wypadła mu broń z ręki, ależ nadbiegał z tyłu oficer z podniesionym do góry pałaszem, i byłby go nieochybnie zabił, a przynajmniej ciężko ranił, — kiedy ja widząc to niebezpieczeństwo Adasia, poskoczyłem mu na pomoc, dopadłem owego oficera i w chwili, kiedy ten miał zadać raz młodzieńcowi, ciąłem go w głowę, i zaraz

spadła mu czapka — a on zabity zsunął się z konia.“

Przez ciąg opowiadania pana Adolfa ze szczególnem zajęciem słuchał Ziółkowski, a kiedy je zakończył śmiercią owego oficera, uchwycił go za rękę:

„Nie zabiłeś go,“ zawołał, „bo to ja nim jestem,“ i pochyliwszy głowę na stół, usunął kołnierz munduru i chustkę, i ukazał ogromną bliznę przez kark i głowę.

Na to niespodziewane rozwiązanie zerwał się z siedzenia młodzieniec i patrzył podziwieniem zdjęty na majora, który z uśmiechem spoglądał na niego; po chwili wyciągnął ramiona i uścisk serdeczny był najwymowniejszym wyrazem uczucia, jakie ich owładnęło. Ta scena rozrzewniła matkę pana Adolfa, oko nawet starego huzara łzą zwilżone było.

„Tylko w żołnierskim zawodzie,“ mówił wzruszony, „takie spotkanie zrobić, takiej pociechy doznać można!“ i przystąpiwszy do obu młodzieńców, serdecznie uściśkał Ziółkowskiego, a potem biorąc syna za rękę:

„Adolfie“, zawołał, „kiedyżes go omal nie pozbawił życia, to szczerą przyjaźnią powinienś mu to wynagrodzić!“

„Do śmierci!“ odrzekł młodzieniec i uściśnął rękę przyjaciela.

„Żono!“ zawołał ojciec, „wina starego,

żeby oblać ten sojusz szczęśliwy!“ — a ta śpiesznie wybiegła spełnić to zlecenie.

Pili tedy, a im gęściej wypróżniały się kielichy, tem czulszą była rozmowa i serdeczniejsze wynurzenia, a kiedy już dobrze podchmielili sobie, to pan Adolf ujął za rękę majora:

„Chodź“ zawołał, „coś ci pokażę;“ i prowadził go do mieszkania swego. Gdy tam stanęli, przystąpił do łóżka, wsunął rękę pod materac i wyciągnąwszy ukrytą tam szablę:

„Słuchaj, przyjacielu!“ zawołał, „nam broni mieć nie wolno, ależ ja rozstać się nie mogłem z wierną moją towarzyszką... tą szablą ranilem cię, weźże ją odemnie na pamiątkę!“

Serdecznie dziękował obdarowany za dar mu zrobiony, uściśli się oba przyjaciele i potem wrócili do reszty towarzystwa.

Na całą noc posłano po Adasia, który przybył wraz z ojcem, nadjechało kilku bliźszych sąsiadów, a tak w miłym towarzystwie zeszło Ziółkowskiemu parę dni w domu rodziców pana Adolfa; wyjechał nareszcie w zamierzoną podróż, ale nie sam: bo mu towarzyszył przyjaciel. Wprowadzony w dom krewnych przez człowieka, z którego rodzicami łączył ich dawny stosunek zażyłości, mile był przyjęty; tam się dowiedział, że ma prawo do spadku jakiegoś, który w depozycie był zło-

żony. Pojechał też z przyjacielem do Kielc, powierzył sprawę swoją adwokatowi, którego mu wskazał pan Adolf, a ten przejrawszy cały interes, zapewnił o pomyślnym skutku jego dochodzenia. Wrócił tedy z tej podróży z nabytkiem przyjaciela i niezależności. Odtąd przez parę lat co święta jeździł do pana Adolfa, a ten znowu odwiedzał go w porze letniej.

Później dowiedziałem się, że wziął dymisję, ożenił się i osiadł na wsi w sąsiedztwie przyjaciela.

* * *

Po spotkaniu, którego epizod tu przytoczyłem, w ciągłych utarczkach postępowało wojsko polskie w ślad za nieprzyjacielem. Pod Domanicami stała dywizya kawalerji pułkami w kolumnie ustawiona, a na jej spotkanie szedł pułk 2. ułanów: jeden szwadron został w rezerwie, trzy uderzyły na pułk huzarów na czele stojący z taką gwałtownością, że rozbici wpadli na stojący za nimi, ci znowu na następny, zmieszali ich i całą dywizyą w nieforemną kupę zbitą pędziły trzy polskie szwadrony.

Późniejsza bitwa pod Iganiami należy do najświetniejszych czynów tej pamiętnej kampanii i mogła być pociągnąć za sobą niesłychane następstwa, gdyby generał Stryński

był nadciągnął z kawalerią, jak tego miał wyraźny rozkaz. Nie wdając się w szczegółowy opis tej bitwy, wspomnę tylko o spotkaniu na bagnety, jakie tam miało miejsce.

Dwa pułki jęgrów moskiewskich nr. 13 i 14 stały uszykowane niedaleko małej rzeczki, która ich dzieliła od Polaków; brygada ta miała nazwę „Lwy Warneńskie,“ oni bowiem w kampanii w roku 1828 pod dowództwem Mężykowa pierwsi weszli do Warny, stąd i nazwa ich i napis na kaszkietach: „za adliczie“ (za odznaczenie), u muzyki trąby srebrne, a na sztandarach wstęga Andrzeja zawieszona. Stali gdzieś w głębi Rosyi, i dopiero na parę dni przed bitwą Igańską na furach przywieziono ich do armii, nie byli też jeszcze w spotkaniu z Polakami. W początku bitwy jakiś pułk z korpusu Pahlana party silnie, ustępował w nieładzie i w tym odwrocie przechodził koło owej brygady strzeleckiej, która uchodzących śmiechem i obelżywymi żartami powitała. Ależ dowódzca tego pułku, stary żołnierz, dotknięty tem pośmiewiskiem: „Wy myślicie, że to z głupimi Turkami sprawa!“ zawołał, „spróbujcie się z nimi, a pewien jestem, że was nauczą rozumu!“ Przechwałkami i śmiechem odpowiedzieli owi zdobywcy Warny na te słowa pułkownika.

W pół godziny potem odebrała owa bry-

gada strzelecka rozkaz iść na naprzód, a ruch ten mógł zagrozić skrzydłu polskiemu; spostrzegł to generał Skrzynecki, to też wysłał generałów Prądyńskiego i Chrzanowskiego, żeby z tem, co znajdą pod ręką, uderzyli na postępujących. Był tam pułk 5. liniowy z trzech batalionów złożony, a że to był sam stary żołnierz, nie wahali się też uderzyć z nim na dwa razy liczniejszego nieprzyjaciela, i zaraz Prądyński, Chrzanowski i brygadyer Krasicki zsiadli z koni, i pieszo z karabinami w rękę, każdy na czele batalionu, wolno szli naprzód. Niebawem Moskale zaczęli przechodzić rzeczkę, a kiedy pierwszy ich pułk był już na tej stronie, to nasi na komendę: „Spuść broń, biegiem!“ bez wystrzału uderzyli na nich. Moskale dali ognia, kilkadziesiąt ludzi legło, a kiedy pomimo tej straty w całym biegu dopadali nasi do frontu strzelców, zachwiała się naczelną ściana, i jak zwykle bywa w podobnym razie, wyższość moralna odniosła zwycięstwo. Wyrobiniony nasz żołnierz, po większej części fehmistrze, w jednej chwili skłuli wszystko i nie dając czasu drugiemu pułkowi sformować się dokładnie, uderzyli na nich. Część poległa od bagnetów, a reszta brnąca po wodzie, rotowym ogniem strasznie rażona była. Działo się to w wielkim tygodniu, toteż radośnie obchodzono w Warszawie

święto Zmartwychwstania; za orszakiem senatu, izby poselskiej i rządu, co szli do katedry św. Jana, niesiono zdobyte sztandary, za nimi szły działa zbryzgane krwią zrabanych na nich kanonierów, w końcu gęste zastępy niewolników; a natura, jakby w zmowie z tą radością Polaków, nie odmówiła uśmiechu swego: bo najpiękniejsza pogoda przyświecała temu obchodowi narodowemu.

Czterdzieści niemal lat upływa od tej radośnej chwili, a przecież jakby wydarzenie wczorajsze obecne ono pamięci mojej. Cała Warszawa w dniu tym była na ulicy, otwarte wszystkie okna jakby kwiaty różnobarwne zajęły wystrojone kobiety, i na znak radości powiewały chustkami. Niezmierne okrzyki zebranych tłumów rozlegały się w powietrzu, muzyki odgrywały hymny narodowe, a huk dział i wystrzały ręcznej broni, jakby akord zgodny, wtórowały tym wojennym pieniom. Przybyli z obozu na tę uroczystość wojskowi rozpowiadali zebranym wypadki bitew dopiero co stoczonych, rozrzewnione tym opisem matki wskazując dzieciom na owe działa, sztandary, niewolników: „Patrzcie i naśladujcie kiedyś ojców waszych!” wołały. Wszystko, co żyło, oddawało się radości, nieznajomi nawet ściskali się, a całe miasto zdało się być jedną

wielką rodziną. *) O! czemuż tym dzieciom w owym czasie, a potem ich synom, nie dane było doznać tych chwil rozkosznych, poić się dumą narodową, obchodzić takie święto zwycięstwa i sławy! I oni chwytały za broń, pewni, że walczą za byt narodowy, a byli tylko narzędziem w ręku swoich, co napojeni żółcią, karmili ich goryczą; a przejęci wiarą polityczną obcych, wszystko zburzyć pragną, a nie zbudować nie zdolni.

W tym pochodzie na Siedlce nieraz wojsko nasze cofało się nieco, chcąc zająć korzystną pozycję; i tak było pod Kałuszynem. Okolica ta jest piaszczysta, a pola w wielu miejscach gęsto choiną zarośnięte; o małe ćwierć mili od miasta ciągnie się las skośnie do Kałuszyna położony, przez niego idzie szosa do Mingos. Z końca lasu bliżej miasta będącego wyjechał Dybicz z ogromnym sztabem swoim i sotnią Kozaków, co stanowiła eskortę, i ujrzał około szosy maszerujący pluton nowego jakiegoś pułku, który zdążył do swoich pod miastem uszykowanych. Mały ten oddziałik bardziej był oddalony od Kałuszyna jak sztab Dybicza i jego eskorta, łatwo też Kozacy drogę mu przeciąć mogli. Pomimo

*) Nadmieniam, że po napisaniu tego ustępu spostrzegłem pomyłkę, jaką zrobiłem: obchód bowiem jaki opisałem, był po zwycięstwie pod Dobrem i Dębem, bitwa zaś Igańska później.

to niekorzystne położenie klusem szedł ów pluton, a oficer nim dowodzący, młody bardzo chłopiec, z tyłu jechał. Dybicz, zapewne w chęci dania oficerom swego sztabu sposobności odznaczenia się:

„Zabierzcie mi ich, panowie!“ zawołał, wskazując na idących.

Wiadomo jest, że Niemcy służący w wojsku rosyjskiem najpochohniejsi są do zbierania łatwych laurów, toteż wysunęło się dwóch braci Mengdenów, dwóch Korfów i Aleksander K., adjutant hrabiego Polla, szefa sztabu głównego,*) wzięli ową sotnię Kozaków i galopem ruszyli z nią. Najlepiej wyrobiony żołnierz w długim biegu nie utrzyma szyku, a cóż dopiero Kozaki! to też jak ogon komety rozciągnęli się na polu, a kiedy przodkujący dochodzili ściganych, to młody oficer zatrzymał pluton, trzema na prawo zaszedł do frontu i uderzył w tę nieforemną kupę. Kilku Kozaków padło zaraz, a reszta zmięszana uchodzić poczęła. Dowódzca zaś plutonu zwrócił go i klusem dażył do swoich. Na wołanie oficerów zatrzymali się Kozacy i powtórnie gnali za uchodzącymi, ależ i tu ten sam był rezultat, co przy pierwszym natarciu: kilku znowu zсадzili z koni Polacy i uchodzili jak

*) Nie nazywam go: bo żyje, mieszka na wsi w Królestwie, i on mi opowiadał to wydarzenie.

wprzód. To niepowodzenie, w oczach Dybicza zaszło, do rozpaczy doprowadziło oficerów przewodzących Kozakom: toteż uczciwszy ich szeregiem tych energicznych frazesów, w które obfituje mowa rosyjska, po trzeci raz ruszyli z nimi. Chcąc ich zachęcić, wszyscy pięciu szli naprzód i dopadali uchodzący pluton, który był już niedaleko krzaków. Tym razem nie zwrócił go z tyłu jadący dowódzca, a jeden z dwóch Korfów uchwycił go za pelerynę płaszcza i chciał z konia ściągnąć, ależ ten w jednej chwili odpiął klamrę, na miejscu zwinął konia i ciął go po twarzy, a potem zwracając się do swoich: „Marsz! marsz!“ krzyknął i pędził na róg zarośli, a Kozacy gnali tuż za nim. Skoro się tam znaleźli nasi, na komendę: „Stój, równaj się!“ osadzili konie, a w tej chwili ponad krzakami zabłysły groty lanc, zamigotały chorągiewki, i szwadron, który ze spuszczoną bronią a pochylony na koniach, czekał nadejścia Kozaków, z okrzykiem „hurra!“ wypadł z zarośli. Na to niespodziewane natarcie niepodobna było ostać się Moskalom, — w ręcości koni została im cała nadzieja ujęcia: bo to, co dojechali nasi, skłuły lance; a ów adjutant Polla (jak sam opowiadał,) umykał, co koń wypadnie ścigany przez Krakusa, który strzelił do niego dwa razy, ale chybił; a kiedy konie biegnąc,

w jednym odstępnie się trzymały, cisnął lancą za nim i ta koło uszu ściganego przeleciała.

„Dzieciom zakażę,“ mówił, „żeby nigdy na ochotnika nie wyrwali się!“

Ten mały epizod jest nowym dowodem, że w młodych pułkach wyrabiała się już wytrawność, starego cechująca żołnierza.

W opisie bitew staczanych w tej pamiętnej kampanii, trudno wystawić w naturalnem świetle udział, jaki miały młode pułki nasze; ależ w drobnych spotkaniach dowodnie wykazać można korzyści, jakie odnosiły nad regularnym żołnierzem rosyjskim te nowo uformowane zastępy. Nie mnie jednemu znane te szczegóły, żyją jeszcze przedstawiciele tej chlubnej (choć niekorzystnej dla kraju) epoki, — ich też świadectwa wzywam na poparcie opowiadania mego.

Zarzucano, pamiętam, generałowi Skrzyneckiemu wahanie się, brak stanowczego działania i niewyzyskanie korzyści, jakie zdobycie Siedlec przynieść mogło. Trzeba było wprawdzie wydać na pastwę płomieni spore miasto, pozbawić chleba i dachu kilkotysięczną ludność jego, ależ wtenczas dostawały się w ręce Polaków, albo ginęły w ogniu zasoby całej armii moskiewskiej, i przeszło dwadzieścia tysięcy rannych.

Ludzie, bliżej wodza naczelnego będący,

utrzymywali, że on decyzji rządu podał tę smutną konieczność, i że ten odmówił sankcji swojej; bądź co bądź, zatrzymało się zwycięskie wojsko, i do połowy maja działania wojenne na małych podjazdowych utarczkach ograniczały się.

W okolicy Makowiec idzie pod lasem gościniec do Stanisławowa prowadzący, ten pod kątem prostym zakręca się w las i przeryna go w całej długości. Tą drogą wracając z rekonesansu szedł pluton jazdy Płockiej, a dowodził nim szlachcic z pod Prasnysza, nazwiskiem Gorgoni Trzciniński, odznaczający się wielką energią i odwagą. Dochodził on z oddziałem swoim do miejsca, gdzie zwracała się droga, kiedy na samym zakręcie ukazał się pluton dragonów z lasu wychodzący. Trzciniński widząc, że jest na równe siły z nimi, z trójek sformował szóstki i uderzył na nich. Dragoni, to był prócz Kozaków najlichszy żołnierz moskiewski, to też pierzchnęli i zwrócili się na drogę w las wiodącą. Parł ich Trzciniński, a kiedy się znalazł na owym zakręcie, ujrzał las w całej długości dragonami zavalony: bo to pułk cały maszerował, a tego szpicą był pluton, który gonił. Uciekający dragoni sami rozbili idących za sobą, ci znowu następnych, a dalej będący, w przekonaniu, że znaczna siła uderzyła na nich, zwrócili

się, — i cały pułk umykał przed tą garstką Polaków.

Korzystał z tego popłochu Trzeciński i nie dając im czasu do upamiętania się, parł ich; a kiedy ujrzał, że czoło pułku dochodzi do końca lasu, zwrócił się. W powrocie zbierał konie i niewolnika, którego miał dwa razy więcej jak swoich żołnierzy, i z tą zdobyczą dążył do obozu.

Na drugi dzień jen. Umiński i kilku jenerałów przybyło z powodu tego niesłychanego czynu dla poznania sprawcy, który ranny dwa razy pałaszem, nie mógł się stawić na ich wezwanie.

Po stoczonej bitwie pod Iganiami rozłożył się nieprzyjaciół w okolicy Siedlec, a wojsko nasze stało tak blisko niego, że forpocztę i rekonesanse ścierały się często. Główna armia Dybicza stała w tych stronach w obozie pod Suchą, Augustowskie zaś i Płockie województwa zajęte były przez korpus gwardyi moskiewskiej, którą dowodził wielki książę Michał.

Jenerał Skrzynecki umyślił zrobić marsz flankowy i uderzyć na gwardyę, i w tym celu zostawił przed nieprzyjacielem korpus jenerała Umińskiego, który miał zasłaniać Warszawę i obserwować ruchy armii Dybicza, a sam zresztą przeszedł Bóg pod Serockiem

i dążył ku Łomży, gdzie była główna kwatera Wielkiego Księcia.

W tym pochodzie pod dowództwem jenerała Łubieńskiego korpus, który składała dywizya piesza jen. Henryka Kamińskiego, i konna, której dowodził Józef Kamiński, z odpowiednią ilością dział szła na przodzie i ponad granicą Litwy około Nura zajęła pozycyę.

Za zbliżeniem się wojska naszego ustępowała gwardya, ciągle jednak ścierała się tylna ich straż z awangardą naszą. W tym marszu przechodziliśmy około wsi Przetycz zwanej, i niedaleko była druga, nazwiskiem Długosiodła; przed nami ciągnął się piechotą rosyjską obsadzony las, który zdobyć trzeba było: bo to była droga do Łomży wiodąca. Toteż szła naprzód dywizya Małachowskiego, poprzedzona łańcuchem tyralierów, polami maszerowała kawalerya, a drogą koło wsi jechał wódz naczelny z całym sztabem i jako eskorta szwadron pierwszego Krakusów. Z prawej tedy naszej strony widzieliśmy postępującą kawaleryę, z lewej zaś, o parę set kroków ode drogi były duże zabudowania folwarczne, a w nich kilkoro wrót starannie zamkniętych.

Z okiem wlepionem na posuwających się ku laskowi tyralierów, dojechaliśmy na wysokość owych zabudowań, kiedy w cichości

rozwarły się drzwi i naraz z tych wrót, z okienek i z pod dachu batalion cały dał do nas ognia, a potem wybiegli strzelający z obejścia, stawali poza płotami i rotowymi strzałami razili nas. Była to zasadzka, którą na sztab główny zrobił najdzielniejszy pułk gwardyjski „Finlandzkie strzelcy“ zwany, ze Szwedów złożony; jedyny, co w sztuce krótkie i długie obocieczne bagnety był uzbrojony. Pomimo tych strzałów, które zabiły kilkanaście koni i kilku oficerów raniły, zatrzymał się wódz naczelny i z tą krwią zimną, co była wybitną cechą jego charakteru, rozmawiał najspokojniej z generałem Rybińskim, którego brązowe oblicze najmniejszego nie zdradzało wzruszenia. Jak tylko padły pierwsze strzały, Tomasz Potocki, kapitan artylerii i wodza naczelnego adjutant, który w dniu tym był na służbie, zwrócił się do szwadronu eskortowego i z dowódcą takowego na czele ruszył śpiesznie. Przechodząc koło sztabu, wzniosł on szablę w górę: „Za mną, wiara!“ zawołał, i w tej chwili kula ugodziła go koło ucha i wyszła policzkiem, a dowódca szwadronu Bystrzowski, pod ogniem karabinowym, obiegł płot, uderzył na stojących za nim i kłuł, co dopadli Krakusy. Spostrzegła kawaleria polem idąca niebezpieczeństwo wodza naczelnego, toteż, co koń wyskoczy pędził pierwszy pułk ułanów.

W tej chwili jen. Skrzynecki spojrzął za się i ujrzał Stanisława Wolskiego, który z ósmego liniowego (pułku dawnego jego dowództwa), przeszedł na adjutanta do jen. Rybińskiego: „Panie Wolski!“ zawołał, „pan jeszcze krzyża nie masz.“ „Zaraz go mieć będę!“ odrzekł — kłaniając się, i zwracając konia ruszył naprzeciw pędzących ułanów. Szwadronem, co szedł na czele, dowodził Aleksander Stempel, oficer z gwardii Napoleona, niesłychanej odwagi i fantazyi człowiek; kiedy się zrównał z nim Wolski: „Kapitanie“ rzekł, „pozwól mi z sobą szarżować.“ „Chętnie, kolego!“ odrzekł Stempel, i nie wstrzymując biegu dopadli oni do płotu, osadzili konie: „Pół szwadron z konia!“ krzyknął Stempel, i w mgnieniu oka ułani byli spieszeni, uchwycili płot i wyrwali go z ziemi; potem dosiedli koni, i sformowani w szóstki pędzili między opłotkami.

Byli już o jakie pięćdziesiąt kroków od frontu Finlandczyków, kiedy ci dali ognia, i zaraz cała pierwsza szóstka i podoficer, ludzie i konie padły zabite na miejscu. Stempel miał ze trzydzieści dziur w fałdach burki i kaszkiecie, a Wolskiego uderzyła kula w osadę od pistoletu, który miał w kartuzie, ucięła ją i przeszła go na wylot. „Ginę, koledzy!“

krzyknął, i zsunął się z konia, a ułani kłuli rozbitych strzelców. *)

Tymczasem w lasku, co leżał przed nami, wrzał bój zacięty: baterya rosyjska z jednej, nasza z drugiej strony przez przeciętą szeroką linią, którą szła szosa, strzelały do siebie; pod kulami ich padały z łoskotem sosny, a rozsypane po obu stronach drogi dwa bataliony moskiewskiego pułku gwardyi, i naszych dwa bataliony strzelców wolnych, ciągly utrzymywały ogień. Po jakimś czasie Moskale spostrzegłszy, że strzelcy nie mają bagnatów, uderzyli na nich na białą broń i wyparowali ich; ależ zaraz nadbiegł pułk weteranów czynnych, bez wystrzału poszedł na bagnety i ze znaczną stratą zmusił ich opuścić las. Po tej rozprawie nieprzyjaciół cofnął się śpiesznie.

Parę godzin było jeszcze do zachodu słońca, kiedy ustała bitwa. Żołnierz strudzony całodziennym marszem i bojem, zabierał się do jada i wypoczynku pod owym lasem, który zdobyli nasi, na łączce stanął batalion strzelców wolnych.

W tej okolicy kraj jest nadzwyczaj równy, najmniejszego pagórka nie napotkasz; w oddali tylko czerniła się wieś spora, w niej była kwatery Wielkiego Księcia, w około zaś Moskale

*) W parę godzin potem umarł Wolski w małym kościółku do Przetyczy należącym.

stawiali obozem. Z obawy napadu wielką oni ostrożność rozwijali: toteż prócz zwykłych zabezpieczeń, w niewielkiej odległości od wsi wzniesli drewnianą strażnicę, niby znak mierzniczy, na wierzchu tej stał żołnierz, który śledził poruszenia Polaków, a jeszcze bliżej o jakie tysiąc kroków od lasu rozstawili wełody; a że w wojsku rosyjskiem służbę obozową robią Kozaki, w gwardyi tedy spełniał ten obowiązek pułk ich gwardyjski, „Ałamańskim“ zwany.

Strzelcy wolni pod względem stroju różnili się od reszty piechoty. Byli to w większej części myśliwi z profesyi, toteż strzały ich były nadzwyczaj celne. Nawykli do trudów, ogorzali, nosili brody krótko podstrzyżone; ubrani w krótkie wołoszki ciemno-zielone z jasną wypustką, miasto dragonów na ramionach, mieli podwójny łańcuch czarno szmaltowany, na głowach niskie kwadratowe kaszkiety z płomienistą kitką, a spodnie od biodra do dołu na guziki spięte. Ubrojeni w kalibrowe dubeltówki, opasani kartuszą z ładunkami, w którą pistolety wetknięte były, mieli u boku krótkie obosieczne kordelasy; bębny zaś i trąbki sygnałowe zastępowały u nich trąby myśliwskie.

Widząc postępujący taki oddział myślałbyś, że to jakaś łowiecka wyprawa, bo za nimi

szły posforowane ogary, a w koło szeregów biegały wyżył. Cztery ich było bataliony: jeden z nich od nazwiska dowódcy „Strzelcami Kuszla,” drugi „Grothusa” zwano, trzeci dla borsuczych kołpaków, które mieli, „Świńskie głowy” przewzano, czwarty był Sandomirski.

Batalionem, który stał na owej łączce pod lasem, dowodził Kuszal, jeden z najcelniejszych strzelców, jakich napotkać można było, i dziwne tego dawał dowody: bo w znacznej odległości kule na nożu rozcinał, w czapkę wyrzuconą do góry jedną ręką bez przyłożenia się trafiał; albo dwa gołębie za łapki sznurkiem związane puszczał w górę, a kiedy się wzniosły, kulą łączący ich sznurek przecinał. Pomimo tej niesłychanej zręczności znalazł się taki, któremu Kuszal sprostać nie mógł, a tym był młody szesnastoletni chłopiec, Czech rodem; był on dojeżdżaczem u niego, a kiedy wybuchło powstanie, wraz z panem swoim zaciągnął się do wojska. Strzały jego w wielkiej odległości zawsze trafne, we wszystkich wzbudzały podziwienie, a zabobonni za charakternika go mieli; stąd od zaprzędanego dyabłu mistrza Fausta, Faustynkiem go przewzano. Strzelcy celni najczęściej w tyraliery rozpuszczani bywali; w takim razie za Faustynkiem stawało ich dwóch i ci m

broń nabijali, a on strzelał ciągle. Szczególnie byli oni postrachem kozaków na forpocztach stojących, którzy ich ptasznikami zwali; długo nie wiedzieli oni, że ci dubeltówki mają, to też po pierwszym wystrzale rzucali się na nich, a ci z drugiej lufki dawali ognia rzadko nadaremnie. Później ostrożniejsi byli, i póki taki strzelec nie wypalił obu nabojów, żaden kozak natrzeć na niego nie śmiał. Ależ pomimo tej oględności potrafił ich oszukiwać przemyślny Faustynek; bo kiedy chciał sprzątnąć jakiego kozaka i podsuwał się do niego, to w wielkiej odległości strzelał z jednej lufki, potem zręcznie wyrwał pistolet z kartuszy i palił znowu, wtedy kozak nie chcąc mu dać czasu nabicia broni, pędził do niego; ścigany uciekał niby, a jak kozak zbliżył się na strzał, odwracał się i z drugiej lufki zsa-
dzał go z konia.

Naprzeciw owej łączki, którą zajęli strzelcy, na polu widne były poustawiane szychty kamienia do naprawy szosy przygotowane, a koło jednej z takich kręcił się Ałamaniec w ponsonym swoim mundurze; pikę miał czerwono malowaną i jańczarkę na plecach, a siedział na białym koniu. Te jasne kolory jaskrawo odbijały promienie chylącego się do zachodu słońca, i jakby jaki ognisty meteor, świeciły przed oczami patrzących.

„Ach! żeby można sprzątnąć tego huncwota,” zawołał jeden z oficerów, „dałbym coś za to.”

„Zapewne!” odrzekł drugi, „jabym i dukata nie żałował, ale cóż mu zrobisz w tej odległości?” a pierwszy przyznał, że to były pía desideria.

Postyszał te żądania Faustynek, i postępując do mówiących:

„Niech się panowie oficerowie złożą na mnie, a ja go zmiotę jak dubelta!” mówił z uśmiechem.

„Ale jakimże sposobem? powiedz!” mówili, „przecież w czystym polu podejść ci się nie da.”

„Już ja sobie poradzę!” mówił chłopiec z rodzajem pewnością, a ta jego propozycja doszła do uszu pułkownika.

Nie chciał on z początku zezwolić na to.

„Nim ty kozaka,” mówił, „kozak ciebie sprzątnąć może, bo ty wiesz przecie, jak ich broń daleko niesie.”

Pomimo tych uwag chłopak trwał przy swoim; oficerowie znowu rachowali na szczęśliwą gwiazdę jego, a Kuszel ulegając ogólnym naleganiom, zezwolił w końcu; i zaraz oficer, co to dukata ofiarował, zdjął kaszkiet:

„Panowie!” zawołał, „na wyprawę Faustyńka składka;” i rzucił holendra, a że nikt

się nie wymówił, paręset złotych miało być zyskiem zwycięzcy.

Słyszając, jak sowita czekała go nagroda, uśmiechał się chłopak, starannie opatrzył broń, nabił ją, potem zarzucił strzelbę na ramię, i skłoniwszy się oficerom szedł prosto na ową szychtę, koło której stał kozak. Ujrawszy idącego ku niemu strzelca, zaczął on ujeżdżać na prawo z okiem wlepionem w niego; a kiedy Faustynek dochodził do kupy kamieni, kozak widząc się w takiej odległości, że kula prawdopodobnie dosięgnąć go nie mogła, stanął i pilnie śledził każdy ruch przeciwnika. Faustynek usiadł na szychcie, obejrzał broń, potem się złożył, dał ognia; a nim się dym rozszedł, wyciągnął pistolet i wypalił. Po pierwszym strzale zachwiał się kozak, bo mu kula widno koło uszu świsnęła. Chwilę popatrzał na chłopca, który powstał i gotował się broń znowu nabijać. Widząc to kozak, zdjął z pleców jańczarkę, spart ją na siodle, a kiedy strzelił, chłopcu broń z ręki wypadła, uchwycił się za pierś, potem zatoczył się, upadł, i jakby ostatnie wysilenie nogami rzucił kilka razy.

Na ten widok okrzyk boleści wydał cały batalion, a kozak dosiadł konia i pochyłony na siodle pędził, żeby obdrzeć zabitego.

Był już o jakie pięćdziesiąt kroków od niego, kiedy ten raptownie zerwał się na nogi,

błysnęła dubeltówka w jego rękę, strzelił i zaraz padł na ziemię kozak, a koń stanął i wachał powalonego jeźdźcę. W kilku skokach był Faustynek koło leżącego, wskoczył na konia, i biorąc się za boki: Ha! ha! ha! zaśmiał się głośno. Cały batalion jakby jeden człowiek chórem powtórzył śmiech Faustynka, a wesoly ten okrzyk odbijało echo dąbrowy. Łatwo pojąc, z jaką radością przyjęli strzelcy wracającego na kozackim koniu kolegę.

Kuszel awansował go na podoficera i do krzyża przedstawił. Jakoż na drugi dzień przybył adjutant wodza naczelnego i przed frontem batalionu przypiął mu go na piersiach; a uszczęśliwiony chłopiec, ozdobiony i obdarzony, stał się ulubieńcem całego oddziału.

W tylu będąc spotkaniach, zawsze w najcięższym ogniu, nigdy nie tknięty nawet, ufał on w szczęście swoje i narażał się niesłuchanie.

W kilka dni po tym wypadku byliśmy pod wsią Jakacyą; jest tam grobla długa, na niej most, który zrzucili byli Moskale, a naprawić go było trudno, bo za groblą stała bateria rosyjska, która ją ostrzeliwała. Batalionowi Kuszla dano więc rozkaz spędzenia jej. I zaraz zrzucili oni obuwie, rozpięli nogawice rajtuzów, zarzucili je na ramiona, i brnąc po błocie weszli w łoży, przebyli rzeczkę i znowu zakryci łożami podsunęli się pod baterią.

Kwadrans zaledwie trwał ogień, kiedy umilkły działa: bo wszystkie konie i ludzi z małym wyjątkiem wybili strzelcy, nie było więc ani komu, ani czem dział uprowadzić.

Zaraz potem rzucili się sapersy do stawiania mostu, a strzelcy wracali na dawne stanowisko. Żadnej oni straty nie ponieśli, brakowało tylko Faustynka: bo ten, jak mówili koledzy jego, z umysłu pozostał w tyle. Zdziwiony tem Kuszel kazał jednemu ze strzelców wleźć na wierzbę, stamtąd bowiem ponad łożami widzieć można było, co się dzieje z zuchwałym chłopcem.

Patrzący z drzewa ujrzał zbliżającego się ku miejscu, gdzie stała bateria, jakiegoś sztabsoficera od kwatermistrzostwa, obok niego był oficer od huzarów, za nimi trzech żołnierzy; przed łożami zaś na suchej już łące, za krzakiem siedział zaczajony Faustynek. Jadący stanęli nad łąką, a on sztabsoficer przez lunetę patrzył na położenie armii polskiej, kiedy rozległ się wystrzał, przypatrzący się padł z konia, oficer zaś i trzech huzary poskoczyli do krzaka, nad którym dym się unosił.

„Uciekaj na błoto!“ wołał siedzący na drzewie, ależ zuchwały chłopak zerwał się na nogi, złożył się, strzelił i oficer przez łeb koniowi upadł, a trzech huzary dobiegali do krzaka:

„Uciekaj w łozy!“ ozwał się znowu głos z drzewa, ale napróżno było to wołanie; zaufany w pewność swego strzału, wyciągnął on pistolet, o kilkanaście kroków palnął do huzara, i tego trafił, potem z drugiego mierzył do następnego, a kiedy ściągnął cyngiel, błysło tylko na panewce, pistolet nie wypadł!... a huzary w tej chwili dopadli i zarabali bezbronnego. *)

Po przejściu grobli żołnierskim pogrzebem uczczono zwłoki dzielnego strzelca, a tży wiernych towarzyszy skropiły mogiłę Faustynka.

Jedliśmy obiad w owej Jakacyi, kiedy zajechała bryczka pocztowa: w niej siedział Wincenty Kruszewski, kapitan 4. pułku ułanów, i jakiś pułkownik, adjutant w. księcia Michała, który jechał z Petersburga i na jakiejś poczcie wpadł w ręce Kruszewskiemu. Tymi samymi końmi, które miały służyć pułkownikowi, wioził go Kruszewski do głównej kwatery, kiedy ujrzał idący szwadron ułanów moskiewskich; i zmieniło się zupełnie ich położenie: nie pułkownik Kruszewskiego, ale ten pułkownika był jeńcem; toteż z tryumfującą miną:

„A co teraz?“ zapytał Moskal.

*) Pan Ignacy hr. K..., były adjutant jen. Umińskiego, znał dobrze Faustynka i widział, jak z wiatraka z dwóch dubeltówek trzech zabił Kozaków.

„Zaraz ci dam odpowiedź!“ odrzekł dzielny ułan, i dobył pistoletu: „Słuchaj!“ zawołał, „jeżeli słowem, najmniejszym poruszeniem zdradzisz położenie moje, dam ci najświętsze słowo honoru, że jak psa cię zabiję!“ i wsunął mu rękę pod połę surduta, a lufę odwiedzonego pistoletu przyłożył mu do boku.

Wkrótce zrównali się ze szwadronem, który na widok sztabs-oficera wziął za broń, a pułkownik, który czuł cisnący go pistolet Kruszewskiego, uklonił się, ale słowa nie wyrzekł i jechał dalej. Prócz ekspedycyi miał on z sobą skrzynkę krzyżów, które cesarz dla gwardyi posyłał.

Z pod Rudek, gdzie Faustynek sprzątnął owego Ałamańca, za ustępującymi gwardyami bijąc się ciągle z ich tylną strażą, szliśmy ku Tykocinowi. Wszędzie po drodze leżały zdechłe ich konie niestłuchanie pozdymane, które w braku owsa żytem nakarmili, a pomimo to ani jednego nie spotkaliśmy marodera, bo Kozacy jadący z tyłu kolumny, nahajkami zmuszali spieszonych jeźdźców do powrotu w szeregi.

W Tykocinie, zasłonięci Narwią, zatrzymali się Moskale; nie zdołali oni zniszczyć mostów, tylko obsadzili je piechotą; ależ zaraz 1. pułk strzelców pod wodzą pułkownika Langerman, świeżo z Francyi przybyłego,

uderzył na środkowy. Przy samym wstępie na most zabito pod nim konia, a on z tą fantazją francuską zerwał munsztuk, zarzucił go na rękę, a potem dobywając szpady: „en avant! na baniety!” zawołał i wpadł pierwszy na most, za nim pułk cały. To było jedyne słowo polskie, które umiał.

Wszystko co było na moście, skłuli strzelcy, uciekających strzałami razili, a kiedy się znaleźli na drugim jego końcu, Langerman uchwycił sztandar z rąk chorążego, wetknął go w ziemię, a podnosząc furażerkę w górę, „Vive la Pologne!” zawołał, a pułk cały powtórzył ten okrzyk.

Tuż koło mostu stali na koniach książę Adam Czartoryski i Henryk Lubomirski, oba towarzysze Kościuszki, obaj ozdobieni przez Naczelnika krzyżem zasługi wojskowej, patrzyli z radością i powagą starców na te zapasy młodego pokolenia. Tymczasem strzelcy sformowali się przed mostem, część ich obsadziła bliższe domy i obejścia, a Langerman na świeżym koniu pędził do wodza naczelnego po moście uślanym trupami.

Jeszcze mi w oczach stoi to ospowate, słońcem afrykańskim ogorzałe oblicze, te czarne ogniste oczy błyszczące zapalem, — osadził on konia przed Skrzyneckim, salutował go, a potem wznosząc rękę w górę:

„O! quels soldats, quels soldats!” zawołał wzruszony, „la vieille garde n'était pas plus solide.”

Uściskał go za rękę Skrzynecki.

„Ils sont braves, j'en conviens,” odrzekł, „aussi. Colonel, ne vous risquez pas tant, ils feront leur devoir.”

„He! mon général,” odrzekł stary wiarus Napoleona, „croyez-vous donc que je suis venu ici pour faire le galant? ma foix! on est trop vieux pour cela; je suis venu pour mourir avec vous.”

Wszyscy z uwielbieniem patrzyliśmy na tę gotowość do poświęcenia dla sprawy, która przez sympatią tylko obchodzić go mogła.

W tej chwili na spienionym koniu nadbiegł adjutant jakiś i doniósł, że korpus Łubieńskiego pod Nurem będący, otacza cała armia Dybicza, i o tym czasie ruch ten musi już być wykonany.

Ta wieść zmieniła plany wodza naczelnego, trzeba było iść w pomoc zagrożonym i bronić Warszawy, która tym flankowym ruchem naszym odsłonięta była. Posłano też zaraz rozkazy zaniechania boju: co było na tamtej stronie Narwi, przeszło nazad, zapalono mosty, żołnierzom dano trzy godziny wypoczynku, poczem mieliśmy iść ku Ostrołęce. Rozbiegliśmy się z rozkazami w różne strony, i mnie

dano zlecenie do generała Małachowskiego, pośpieszyłem więc do jakiegoś folwarczku, co leżał tuż koło placu boju, i tam byłem świadkiem przykrego wydarzenia, które równie mogło być wynikiem wielkiego hartu duszy, jak dzięki jakiejś pogardy śmierci i cynicznego lekceważenia tak swego jak cudzego życia.

Na klocu przed domem siedział stary generał*), jadł coś i rozmawiał ze mną, kiedy nadszedł major od kwatermistrzostwa Klemensowski, obok niego kadet jakiś z Poznańczyków, dalej podoficer od piechoty z krzyżem legii honorowej, w płaszczu i furażerze bez broni i pakunków, za nim dwóch żołnierzy z karabinami.

„Co to takiego?” pytał generał, — a Klemensowski opowiadał, że lasem jechał ten oto kadet, a przed nim o kilkadziesiąt kroków szedł furgon, na którym siedział ów podoficer i żołnierz; musiała, jak twierdził, zająć między nimi jakaś zwada, bo widział, jak się zerwali, a po chwili ów podoficer pchnął żołnierza w piersi bagnetem i na miejscu zabił.

Kiedy skończył Klemensowski, generał skinął na obwinionego, — przystąpił on z dobrą fantazją.

„Czy prawda, żeś zabił owego żołnierza?” pytał generał.

*) Stanisław Małachowski, dowodził dywizją za Napoleona.

„Zabiłem!” odrzekł silnym głosem.

„Za co?” pytał znowu generał.

„Bo mnie okradł, kiedym spał!”

„Jakiż masz dowód na to?”

Na całą odpowiedź rozpiął płaszcz, i przy pasku, którym był opasany, ukazał zawieszony kawałek zielonego woreczka, którego większa część ucięta była.

„Trzeba było go aresztować i odprowadzić do jego kompanii,” ozwał się generał.

„Prawda, JW. jenerale,” odrzekł obwiniony, „ależ on nietylko nie chciał się przyznać do kradzieży, ale mi się jeszcze hardo stawiał, wtedy taka mnie porwała pasya, że go przebił; zresztą stało się!” dodał, i miasto żalu za popełnione morderstwo, wyraz jakiejś dzikiej zawziętości malował się na twarzy jego.

Przystąpił zaraz Hornowski, audytor dywizyi, wziął z sobą obwinionego i świadka dla zrobienia wywodu słownego, a majora Kozłowskiego i dwóch niższych oficerów przeznaczył generał na sędziów. Byłem obecny temu protokolowi; kiedy audytor pytał obwinionego, czy był kiedy pod sądem:

„Trzy razy!” odrzekł z rodzajem brawady; a my spojrzeliśmy po sobie: ustalona była bowiem opinia w wojsku, że pomimo zarzutu przesadnej surowości, jaką robiono w. księciu Konstantemu, wszyscy bez wyjątku prawie

sądzeni za jego dowództwa, byli to wyrzutki społeczeństwa. Po skończonym protokole zajęli miejsce sędziowie, a ów kadet przechodząc koło obwinionego:

„Wybacz mi,” rzekł, „musiałem powiedzieć, czego byłem świadkiem, bo mi to sumienie nakazywało.”

„Ce n'est rien, camarade!” zawołał obwiniony po francusku, „zapiszę ci za to kwatere na tamtym świecie!” dodał z ironią i nie pomylił się, w kilka dni bowiem ów kadet zginął pod Raygradem.

Wiadomo, jak krótko trwają sądy wojenne, niebawem też wyszedł Hornowski z wyrokiem, poszedł do generała, który zawsze na kłocu owym siedział. Tym razem stało koło niego sześciu żołnierzy z bronią do nogi.

Odczytano obwinionemu wyrok śmierci, — chciano mu oczy zawiązać, na co nie przystał, — a kiedy wystąpili żołnierze, rozwarł płaszcz a furażerkę podniósł w górę, i zaraz na komendę: „Pal!” huknęły wystrzały, a on czterema kulami ugodzony, padł nieżywy.

Patrzyliśmy z podziwieniem na tę straszłą pogardę śmierci, i przyszła nam na pamięć owa pieśń Berangera, gdzie stary kaprał z ową żołnierską rezygnacją opowiada powód swego wyroku na śmierć:

Un morveux d'officier m'outrage,
Je lui passe... il vient d'en périr,
On me condamne, c'est l'usage;
Le vieux caporal doit mourir.

* * *

O tym flankowym pochodzie armii naszej przez trzy dni nie wiedział nic Dybicz, czwartego dopiero ruszył na pomoc gwardyom, a ruch ten uszedł znowu uwagi jen. Umińskiego, który nie uwiadomił o nim wodza naczelnego.

Moskale szli między Grannym a Sterdynią, i zaczęli otaczać stojący pod Nurem korpus Łubieńskiego, który spodziewał się wprawdzie tego ruchu, ale pewien był, że zawiadomiony zawczasu przez Umińskiego, będzie miał czas połączyć się z główną armią.

Tymczasem wracające zewsząd rekonesanse doniosły, że napotkały nieprzyjaciela, jedna tylko droga do Czyżewa wolna była. Po tej wieści nie mógł wątpić Łubieński, że jest otoczony, kazał też zaraz kawaleryj jedyną wolną drogą cofać się w tym kierunku, z piechotą zaś, która zdążyłaby już nie mogła, pozostał.

Mówiłem wyżej, że ową dywizją dowodził jen. Henryk Kamieński, wielkiej zdatności, odwagi i poświęcenia człowiek. Wychowany

we Francyi, w szkole wojskowej w Prytanée, awansował stamtąd na oficera do kwatremistrzostwa, wkrótce potem poszedł na adjutanta do Oudinota, który go bardzo cenił; a kiedy w Hiszpanii formowano szwoleżerów gwardyi, wszedł do tego pułku jako szef szwadronu. Robił on całą kampanię hiszpańską, potem przybył z pułkiem do Paryża, gdzie występowali jako eskorta w czasie ślubu cesarza Napoleona z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką. Zły bardzo stosunek istniał między nim a jen. Wincentym Krasińskim, dowódcą szwoleżerów, a najmniejszy wypadek mógł być powodem krwawego zajścia: bo Kamiński, żołnierz w całym znaczeniu tego wyrazu, nie wiele cenił Krasińskiego, który nigdy się nie kształcił na wojskowego, od razu został sztabs-oficerem, a potem szczególnym względem cesarza Napoleona (przy niezaprzeczonej odwadze) winien był w bardzo młodym wieku świetną karierę swoją. Wiemy, jak łatwo przy takim usposobieniu dwóch nieprzyjaznych sobie ludzi, tlejąca iskra niechęci w płomień wybucha; i tym razem tak było. Jakieś w żarcie wymówione słowo, jakiś dowcip może złośliwy, rozbierany i komentowany przez usłużnych, na których nigdy nie zbywa, był powodem, że Kamiński wyzwał Krasińskiego na pojedynek. Zawiadomiony o tem

cesarz, zakazał spotkania ze względów dyscyplinarnych, a Kamiński (jeden z najzawziętszych ludzi, jakich zaznałem) nie wahał się poświęcić świetnej przyszłości, jaka go czekała, — podał się natychmiast do dymisyi, rąbał się z Krasińskim, ranił go mocno w głowę, zastrzegł sobie powtórne zadosyćuczynienie, potem opuścił Paryż i wrócił do kraju. *)

Wkrótce ożenił się on i miał osiąść na wsi, kiedy nadeszła kampania 1812 roku. Nalegania kolegów, zamiłowanie w stanie wojskowym, a szczególnie świetne dla kraju nadzieje spowodowały Kamińskiego, że wstąpił powtórnie do wojska i objął dowództwo 10. pułku piechoty.

Był on z początku w korpusie Macdonalda, później dostał przeznaczenie do Gdańska, gdzie generał Rapp dowodził kilkadziesiąt-tysięcznym garnizonem z różnych narodowości złożonym.

W czasie długiego oblężenia tej wielkiej twierdzy odznaczał się Kamiński i wielką odwagą i trafnym sądem w ocenianiu wypadków, to też do każdej narady był wzywany. Na ogromnej przestrzeni fortyfikacyi, co stanowią obronę Gdańska, jest kilka odrębnych fortów; jeden z nich nad samem mo-

*) W rok potem strzelali się: Krasińskiemu kula żebro złamała.

rzem położony, zowie się Weichselmünde; zdobycie takowego na Moskalach, którzy go zajmowali, zaproponował Rapp na radzie wojennej, a wielu dzieliło zdanie dowódcy. Wystąpił przeciw temu projektowi Kamiński, nie z powodu niemożności samego zdobycia, ale z przyczyny niepodobieństwa utrzymania się w miejscu wystawionem na ogień floty nieprzyjacielskiej, która uzbrojona w dalekonośne działa, mogła bezkarnie miotać pociski w twierdzę nad samem morzem położoną.

Rapp, niekontent z tej opozycji, chcąc dać tej dyskusji zwrot niekorzystny dla Kamińskiego:

„To, co pułkownikowi,“ rzekł, „niepodobnem się zdaje, tego dokaże brygada Francuzów.“

„Ani wątpię!“ odrzekł cierpko, „bo ja bym ją zdobył z jednym pułkiem moim, ale utrzymać się tam, cały garnizon, powtarzam, nie jest w stanie.“

„Następstwa,“ mówił z szyderym uśmiechem jenerał, „do mnie należą, zdobycie zaś fortu, kiedyś pan tak pewny siebie, polecam mi!“ i na tem zakończył naradę, kontent, że Francuzi na ten morderczy szturm narażeni nie będą, i że niepowodzenie upokorzy za rozumienie Kamińskiego.

Na drugi dzień o świcie ruszył pułk 10.

za nim szedł 5. liniowy, którym dowodził książę Michał Radziwiłł. Przez kilka godzin trwał bój zacięty, nareszcie chociaż zdecydowani, wdarli się na wały Polacy, a mała załoga poddała się; zajął zdobyte miejsce garnizon z Francuzów i Polaków złożony, dowództwo nad nim miał Francuz. Ależ we dwa dni potem podpłynęło mnóstwo kanonierek szwedzkich, i taką masę bomb i granatów rzuciły w warownię, że dowódzca widząc niepodobieństwo utrzymania się, opuścił twierdzę. *)

Samo zdobycie fortu, jak i przewidziana niemożność pozostania w nim, podniosły Kamińskiego w oczach całego garnizonu i wzbudziły zawiść Rappa; prześladowaniem tedy zmusił on go niejako do dania mu jakiejś cierpkiej odpowiedzi, którą za brak subordynacji poczytał; chciał go też oddać pod sąd i rozstrzelać, ależ oficerowie polscy i wielu Bawarów i Westfalczyków, co składali garnizon, widząc w tem czystą grę obrażonej miłości własnej Rappa, postanowili bronić go od zemsty jenerała, i codzień po kilkuset noc spędzało w domu jego z obawy, żeby go nie porwali Francuzi; a że to się działo już przy

*) Przed kilku miesiącami umarł w Królestwie Wł. Rulikowski, oficer z artylerji wałowej, który był przy zdobyciu, a potem bombardowaniu tego fortu.

końcu oblężenia, zawarta wkrótce kapitulacya uwolniła go od zemsty mściwego dowódcy.

Kilkanaście lat istnienia Królestwa spędził Kamiński na wsi i pomimo usilnych nalegań Wielkiego Księcia, który mu ofiarował pułk gwardyi strzelców konnych, nie chciał on wstąpić do wojska. Oddawał on się ciągle naukom wojskowym i miał tak kosztowny zbiór map, że w roku 1827 część ich nabyła rada administracyjna z 50.000 złotych. Dopiero kiedy wybuchło powstanie 1830 roku, z młodzieńczym zapałem wstąpił znowu w szeregi narodowe.

Wychowany w Paryżu, zachował on wiele francuskiego: mówił najczęściej tym językiem, a w żywych jego ruchach, w całym układzie, przebijało coś Francuzom właściwego. Wesoły, żartobliwy poza obrębem służby, był wymagający przed frontem; obok najlepszych form towarzyskich, w rozmowie jego była jakaś swoboda żołnierska, która nie obrażając przyzwoitości, wywoływała niemniej rumieniec na twarz kobiety. Słowem był to typ tych wojskowych z czasów cesarstwa, co odważą na polu bitwy, a w salonie pełnym powabu układem zwracali wszystkich uwagę na siebie.

Takich to zalet człowiek dowodził dywizją pod Nurem będącą. Składała ją pięć pułków: 3. i 6. liniowy po trzy bataliony,

pułk weteranów czynnych, 14. kaliski i 16. lubelski, z nowo formowanych, razem dwa-naście batalionów. W przewidzeniu, że w tym pochodzie kawalerya nieprzyjacielska główną odgrywać będzie rolę, kazał Kamiński uformować czworoboki i ustawił je w eszelony, a na przodzie stała baterya piesza. Kiedy zajęty był tem urządzeniem bojowego szyku, dano znać, że jedzie parlamentarz rosyjski, a był nim generał-kwaternistrz armii, hr. Berg, dzisiejszy namiestnik w Królestwie. Wyjechał na spotkanie go Łubieński.

W wyrazach pełnych przyzwoitości skreślił Berg położenie korpusu, zapewniał, że w około są otoczeni, proponował, gdyby jaka wątpliwość w tym względzie zachodziła, wysłanie rekonesansu; a kiedy Łubieński, któremu dobrze znane było smutne położenie jego, nie przeczył, to Berg w konkluzyi zaklinał go w imię ludzkości, żeby zaniechał próżnego krwi rozlewu i broń złożył. Nie dał mu stanowczej odpowiedzi Łubieński, składając się koniecznością zniesienia się z dowódcą piechoty, i już miał posyłać po niego, kiedy nadjechał Kamiński ze sztabem.

Po przywitaniu powtórzył Berg opis smutnego ich położenia i zakończył koniecznością poddania się, — co słysząc Kamiński, wyjął zęgarek:

„Jeszcze mamy trzy godziny dnia,” rzekł, „zobaczmy!”

„Ależ jenerale!” mówił Berg, „wskazże mi miejsce, którędy przejść możesz, otoczony wokoło przez sześć razy liczniejsze siły nasze!”

„Nie przeczę temu!” odrzekł zagadnięty, „ależ na każdym punkcie sześciu na jednego nie napotkam.”

„Cóż więc zamyślasz jenerał?” pytał Berg. „Bagnetem otworzyć sobie drogę!” odrzekł. „Pozwól sobie jenerał powiedzieć,” mówił, „że tę odpowiedź jego dyktuje nie zimna rozważa, ale uniesienie.”

„Być może,” odrzekł Kamiński, „ale kto broni takiej sprawy jak nasza, ten ginie a nie poddaje się.”

„Czy to ostatnie słowo?” zapytał.

„Ostatnie!” odrzekł Kamiński.

„A więc żegnam panów!” mówił Berg i zaraz zwrócił konia, odskoczył kilkadziesiąt kroków, potem machnął chustką:

„Żary!” krzyknął, a cała bateria salwą strzeliła do jenerałów.

Ruszyła się zaraz piechota; wysunięty dużo naprzód szedł drugi batalion 3. liniowego, którym dowodził major Kuhn, dzielny bardzo oficer; postępowała ku niemu dywizja kirasyerów pułkami rozwinięta, — a na ten widok trzymał się Kuhn gotowy przyjąć szarżę. Ba-

talion jego z kolumny do ataku sformowany, mały z daleka przedstawiał kwadrat; w środku wsparty na karabinie, górował głową, olbrzymiej i rycerskiej postawy dowódzca. *)

Tymczasem nadchodzili kirasyery, a widząc batalion z bronią do nogi stojący, pewni, że się poddaje, otaczać go poczęli. Czekał tego dzielny major, a kiedy widział, że dochodzą do siebie dwa końce tego łuku, „na ramię broń!” krzyknął, a na ten widok puścili się galopem Moskale; ależ zaraz gęsty rotowy ogień powitał ich gradem kul, w kilku minutach wał z koni i trupów otoczył batalion, pozostali zaś w nieładzie uchodzili. „Dobosze naprzód!” zawołał dowódzca, i przy biciu w bębny, wychodził jakby z okopu zwycięzki zastęp, a zaledwie uszli sto kroków, drugi pułk kirasyerów uderzył na nich. Ależ i ten nie był szczęśliwszy od pierwszego, poniósłszy wielką stratę umykał w nieładzie, potem trzeci i czwarty tenże sam los spotkał, a Moskale nie widząc możliwości rozbicia tego dzielnego zastępu, na młodym nowosformowanym pułku chcieli powetować swojej klęski. Spostrzegł Kamiński nadchodzącą szarżę.

„Którę to pułk?” zapytał, wskazując na zagrożony czworobok.

*) Żyje on jeszcze; do trzynastu ran, jakie odebrał w 1831 roku, dostał ich siedemnaście w 1863 roku w czasie napadu Moskali na dom hr. Poletyfy w Wojsławicach.

„Czternasty kaliski,“ odrzeczono mu.

„Ha! te draby nie dotrzymają“ zawołał, i co koń wypaść może, pędził do owego batalionu.

Od czasu bitwy pod Grochowem, gdzie pierchnął konny pułk kaliski, nie cierpiał ich Kamieński, i zawsze les Calichiens nazywał, stąd obawa jego, żeby i piechota ich nie dała się rozbić.

Kiedy dobiegł do batalionu, kazał im się rozstąpić i wjechał w kare; przemówił do żołnierzy, upewniał ich, że jeżeli utrzymają porządek, żadne niebezpieczeństwo im nie grozi, czego dowodem trzeci liniowy; dodał, że do nich należy poprzeć honor województwa skompromitowany przez kawalerję pod Grochowem. Na tę przemowę żołnierze okrzykiem odpowiedzieli, a on zaś zszedł z konia.

„Wiarusy!“ zawołał wesoło, „przypuścimy ich blisko, i rotowym przyjmiemy ogniem; słuchać mojej komendy! a ktoby bez niej broń zerwał, tego przebiję na miejscu,“ dodał i wyciągnął szpadę.

Tymczasem zbliżali się tyraliery tego batalionu, ustępując przed nadchodzącą kawalerją, a towarzysze ich instynktowo widno zrozumieli potrzebę ściśnięcia się, bo z obawy jakiego nieporządku nie puścili ich między siebie, a ci pokładli się w około czworoboku; pierw-

szy szereg wziął kosi trzeciego, przykląkł i utworzył z nich rogatkę, dwa inne broń do nogi trzymały.

Tymczasem Moskale otaczali batalion, na komendę „tnij“ złożył się pierwszy szereg; „w konie mierzyć, nie w ludzi!“ zawołał Kamieński, a kiedy o czterdzieści kroków byli Moskale, „ognia“, zawołał, huknęły wystrzały.

Ugodzone konie waliły się o ziemię, a jeźdźcy z tego rozpędu padali przed samym frontem batalionu; na ten widok zerwał się na nogi pierwszy szereg i siekł ich kosami; jedyny to był podobno wypadek, gdzie broń ta użyta była. Po tem odparciu zadowolenie Kamieńskiego i radość Kaliszan były nie do opisania, na pochwały oddawane im przez generała huczniemi też odpowiadali okrzykami.

Zrażeni tem niepowodzeniem, nie posyłali więcej Moskale kawalerji, piechota ich tylko wolno posuwać się zaczęła, przebić się więc przez nią było koniecznością.

Do wysuniętego na przodzie batalionu trzeciego liniowego przybył Kamieński, prowadząc za sobą dwa działa lekko-konne porucznika Masłowskiego, i postawił je z tyłu kolumny, potem wszystkie bataliony ruszyły naprzód. O jakie paręset kroków od nieprzyjaciela wysunęły się działa, dały ognia,

a w przerwę, jaką zrobiły kartacze, uderzył batalion Kuhna na bagnety, za nim inne, i złamali całą linię moskiewską; ależ za nią ujrzeni drugą. Nie chcąc dać czasu nieprzyjacielowi upamiętania się, zaprzodkowano działa, i na komendę „spuść broń” biegiem zdążyli; i znowu działa zrobiły lukę, a natarcia na bagnety nie wytrzymali Moskale. Już się nasi mieli za oswobodzonych, kiedy trzecia linia piechoty ukazała się. Nie było innego środka jak jeszcze raz powtórzyć manewr, który się dwa razy już udał, toteż działa kłusem, a piechota biegiem spieszyła; ależ Moskale wiedzieli już widno, jakim sposobem złamano dwie pierwsze ich linie, rozstąpili się też i sześć dział kartaczami nabitych dało ognia. Kilkadziesiąt ludzi padło od tego strzału, a kartacze obsypały generała; jeden ranił konia, drugi zerwał mu szlifę, trzeci trafił go z boku w piersi, ale szczęściem przedarł tylko suknie i mapę, którą w kilkoro złożoną miał pod mundurem, na ciele zaś była tylko krysa, jakby nożem zrobiona. Nie zważał on na to i nie zsiadł nawet z konia, póki nie przełamano tej ostatniej zapory; poczem prowadząc wszystkie działa swoje i ich przybory, postępowała dzielna dywizya ku Ostrołęce, żeby połączyć się z główną armią, która zajmowała szosę.

W ślad za ustępującym korpusem Łubieńskiego posuwała się armia Dybicza i ciągle ścierała się przednia straż jego z tylną naszą, a 25. maja w nocy jasnej jak dzień, tak silnie nacierali Moskale, że musiano na kilkadziesiąt kroków od nich rozwijać się i batalionowym ogniem wstrzymywać ich pochód. Wśród ciągłego boju zbliżano się do Narwi.

Przyjęcie bitwy pod Ostrołęką jest to błąd, jaki zarzucają generałowi Skrzyneckiemu, bo przejściem Narwi i spalaniem mostu mógł jej uniknąć. Prócz głównego mostu postawiono wprawdzie dwa inne, z których jeden na pontonach, ależ takie jakieś było przekonanie, czy zaślepienie, że bitwa nie nastąpi, że w większej części armii naszej, która była na tej stronie rzeki, kawalerya konie pasła, a żołnierze kąpali się w rzece. Tymczasem zastaniający odwrót wchodzili do miasta i bronili wstępu nieprzyjacielowi, którego granaty roznieciły pożar. Jeden z pierwszych zajął się kościół i klasztor Kapucynów czy Bernardynów, a kiedy był cały w ogniu, wyszli z niego księża unosząc najświętszy Sakrament. Wśród huków dział i padających granatów, co już dochodziły do mostu, szli przez niego zakonnicy z palącego się klasztoru; najstarszy wiekiem w komży i stule niósł puszkę z komunikantami, bogatą okrytą zastoną, poprzedzał go zakonnik krzyż noszący,

a za nim parami szli księża i śpiewali pieśń nabożną, której smutne tony były w harmonii z tym obrazem zniszczenia, co otaczał śpiewających; jednego z nich zabił pękający granat, a pomimo tego nie przyspieszyli oni kroku, i pienia na chwilę nie ustały.

To uporczywe kuszenie się nieprzyjaciela o zajęcie Ostrołęki, jasnym było dowodem, że tu nie chodzi o zdobycie miasta, którego posiadanie żadnej nie przedstawiało korzyści, ale raczej o przebycie Narwi; to też spieszenie przechodziło wszystko, co było na tamtej stronie, owymi trzema mostami, z których łyżwowy pękł pod naciskiem ludzi, i dużo się z nich utopiło. Niepodobieństwem już było zniszczyć głównego mostu, który z wyższego brzegu, na którym stoi Ostrołęka, przechodząc na niższy, gdzie stała armia nasza, górował nad nim; zdążono tylko zerwać kilka sążni pokładu i zniszczyć część mostu do szosy dotykającą, a w przerwie, jaka się zrobiła, stanął batalion jakiegoś nowego pułku.

Trzeba przyznać, że z wielką odwagą (wprawdzie wódką podniecono) grenadyery Szachowskiego szli na most, pomimo strzałów armatnich, które ich zmiatały, pomimo ognia karabinowego piechoty rozstawionej na brzegu, pchali się oni na bagnety batalionu w przerwie stojącego, który uległ literalnie

pod ciężarem ludzi. Raz na tej stronie szykowali się oni poza błotkami, których tam jest wiele, a kawalerya nasza, co szła do szarży, lgnęła w nich; jeden pułk 2. ułanów stracił połowę swoich oficerów, w ich liczbie majorowie Kowalski i Ołtarzewski, wielkiej odwagi ludzie. Z pięciu dywizji piechoty, co składały armią polską, pod Ostrołęką trzy ich było, to jest Rybińskiego, Małachowskiego i Kamieńskiego, czwarta pod Umińskim zaślaniała Warszawę, piąta z Giełgutem była w Łomży. Po bitwach staczanych z gwardyami aż do Tykocina, po przebicciu się pod Nurem i odwrócie wśród ciągłego boju, żadna z nich więcej jak 9000 ludzi pod bronią nie liczyła, dodawszy do tego artylerią i kawaleryą. Wszystkich walczących pod Ostrołęką Polaków nie wiele więcej jak 30.000 było, a armia Dybicza sześćdziesiąt z górą wynosiła.

Po dostaniu się na stronę Narwi Moskale ułożyli most i jak wezbrany potok płynęły ich bataliony; wszystkie trzy dywizye uderzały na nich na bagnety, a choć za każdym razem ze stratą ich odparły, niemniej nie mogły wpełznąć w rzekę tej masy podsycanej coraz to przybywającymi posiłkami. Dzień był tak jasny i cichy, że nie rozchodziły się dymy, ale jak gęsta zasłona zawisły nad pobojo-wiskiem, zbliżka też tylko walczący dobrze się

widzieć mogli. Piąta dywizya znużona bojem, wypoczywała nieco, kiedy po naradzie z wódzem naczelnym przybył Kamiński. Na rozkaz jego rozwinęła się ona, a generał przemówił do żołnierzy, wzywał ich do wytrwałości, oznajmił, że ich poprowadzi na nieprzyjaciela, i surowo zalecał, żeby żaden nie strzelił bez jego komendy, potem zsiadł z konia i wziął karabin, za jego przykładem generałowie brygadni, pułkownicy, sztabs-oficerowie i adjutanci pobrali także karabiny, i Kamiński ze sztabem na przedzie, a wszyscy na swoich miejscach szli naprzeciw dymem zakrytych Moskali, którzy rotowym sypali ogniem. Wkrótce usłyszano u nich werbel, ogień ustał, a kiedy dym nieco podniósł się w górę, ujrzano masę piechoty; w ogromną kolumnę sformowanych przodem stało sześć batalionów rozwiniętych, i ci broń nabijali. Na ten widok zwrócił się Kamiński do żołnierzy.

„Wiara,“ zawołał, „żeby mi żaden nie strzelał, oni raz tylko dadzą ognia, a my z nabita bronią na bagnety na nich uderzymy.“ I nie omyliła go rachuba, bo Moskałe niebawem batalionami strzelili i z okrzykiem hurra! posunęli się naprzód. W tej chwili Kamiński cofnął się w szeregi, cała dywizya wydała okrzyk natarcia, i z nastawionymi bagnetami biegli naprzeciw Moskali. Już byli niedaleko

siebie, kiedy chwiać się poczęły naczelne ściany nieprzyjacielskie, potem zwróciły się pierwsze ich szeregi, zmieszały się z naddiegającymi z tyłu, zatrzymała się cała ta masa, nasi już byli od nich o trzydzieści kroków.

„Dywizya stój,“ krzyknął Kamiński, „batalionami ognia“: na raz prawie wszystkie okryły się dymem, a blizkie ich strzały w plecy zwracających się wymierzone, całe powaliły szeregi, poczem uderzyli w tę zbitą masę. Raz zmieszani nie mogli się oni odwrócić, a bagnety nasze straszne im zadawały rany, bo dla ulżenia sobie przy przejściu mostu zrzucili Moskałe tornistry, nic więc pleców nie zabezpieczało. Wolno ustępował nieprzyjaciół znacząc trupami ślady swoje, i tak przechodzili nie wielki rów, poza odsypem którego Moskałe układli lekko rannych swoich, a kiedy nasi doszli do owego miejsca, i pierwsze szeregi minęły go, to ostatni bez komendy zwrócił się i wystrzelał wszystkich rannych, a było ich parę tysięcy. Nareszcie w krwawym tym pochodzie doszli Moskałe do szosy, w tem miejscu wysoko wysypanej, zatrzymali się, a zasłonięci tym wałem, gęstym ogniem wstrzymali dalszy pochód naszych i zmusili ich do odwrotu.

Na całej linii wrzał bój zacięty, ponawiane szarże kawaleryi bezskutecznemi czyniły błota,

w których grzęzły konie przed frontem nieprzyjacielskim; w jednej z takich ugodzony kulą armatnią zginął generał Ludwik Kicki, jeden z najświetniejszych oficerów armii naszej. Wszystkie dywizje po kilka razy szły na bagnety, artyleria ciągłym ogniem biła w kolumny nieprzyjacielskie, generałowie jak prości żołnierze walczyli w szeregach, wszyscy z największą odwagą i poświęceniem szli w ogień, a te zapasy wywołały ową uwagę hrabiego Tolla, najdzielniejszego z generałów rosyjskich:

„Il n'y a que les Slaves qui se battent comme cela.“

Na parę godzin przed zachodem słońca raz jeszcze prowadził Kamiński dywizję swoją w ogień, na małym wzniesieniu zsiadł on z konia, i przemawiał do idących na przedzie weteranów, z których wielu znało go jeszcze z wojen Napoleona, kiedy kula armatnia urwała mu obie nogi, zabiła sztabsoficera i siedmiu żołnierzy, a na ten widok zatrzymała się kolumna.

„Generał zginął!“ krzyknęli, a Kamiński podniósł się nieco: „naprzód wiara!“ zawołał „generał Zawadzki wami dowodzić będzie“ i upadł zemdlony.

Na noszach z karabinów okrytych płaszczami nieśli go żołnierze, a z całego sztabu

jeden szedł koło niego Edward Jaroszyński, ośmastoletni chłopiec, reszta zabita albo ranna była. Zbiegli się lekarze, ale wszyscy uznali, że ratunek był niepodobny, jakoż w parę godzin potem najprzypadkiem rozmawiając z otaczającymi go skonął. W jednym grobie złożono zwłoki jego i pułkownika Gajewskiego, dowódcy 16. pułku piechoty, obok Kickiego i Ołtarzewskiego, i usypano mogiłę, a na niej krzyż z napisem.

Do nocy trwała bitwa, a przy jej końcu bateria artylerii konnej gwardyi, której dowodził Bem, wśród tyralierów moskiewskich odprzodkowała działa i salwą dała ognia na most czerniący się od ludzi, których zmiotła; a tym strzałem jakby wywołany uragan, kilkadziesiąt pozycyjnych armat moskiewskich, za Narwią na wzgórzu ustawionych, strasznym odpowiedziały grzmotem, a rzucone przez nie granaty, jak meteory ogniste pręły powietrze, potem z trzaskiem pękały na dolinie. Takie było zakończenie tej morderczej bitwy, która prócz strasznego krwi rozlewu żadnych następstw nie miała, bo armia polska przebywszy noc na pobojuwisku, ustępowała ku Warszawie, a moskiewska takie straty poniosła, że ścigać cofających się nie była w stanie.

*) Posiadam obraz pędzla Januarego Suchodolskiego, naocznego świadka bitwy ostrołęckiej, przedstawiający ten mogiłnik.

Kiedy pod Ostrołęką wrzał bój zawzięty niespodziewanem przejściem Narwi przez Moskali spowodowany, o pięć mil stamtąd w Łomży stał korpus Giełguta, składający się z 2. i 4. pułku strzelców pieszych, którymi dowodził Valentin d'Hauterive, pułkownik kwatremistrzowstwa, z brygady generała Rolanda, i z dwóch pułków nowych 18. i 19., nad którymi miał dowództwo generał Szymanowski, dawny adjutant cesarza Aleksandra. Z kawalerii był pułk jazdy płockiej, kaliskiej i szwadron 3. ułanów kapitana Janowicza, przytem dwie baterie piesze, pułkownika Piętki i Adamskiego. W kilku mniejszych spotkaniach pobite gwardye spieszenie się cofały i odbiegły w Łomży wszystkich zasobów, jakie z Prus im dostawiono, i bagaży, które podziwienie w nas wzbudzały. Kiedy bowiem wychodzili z Petersburga do Polski, z wyższego zapewne rozkazu zapewniano ich, że powstanie nasze niedołężne usiłowanie garstki buntowników, które łatwo uśmierzy armia Dybicza, ich zaś założeniem miało być, wejść w tryumfie do Warszawy, i zając ją w imieniu cesarza.*)

Kto był w styczności z Moskalami, ten mi przyzna, że czem była Kapua dla wojsk

*) O tem upewnieniu opowiadali do niewoli wzięci oficerowie gwardyi.

Anibala, tem jest Warszawa dla Moskali, toteż jakby na jakie gody wybierali się panicy moskiewskie, co służą w gwardyi, na ową wyprawę do Polski i nie miłego doznali rozczarowania, kiedy miasto rozkoszy, które sobie obiecywali, spotkały ich bagnety i lance polskie. Na dowód, jak zbytłowne były przybory ich w czasie wojny w 31 roku, parę przykładów przytoczę. Jakiś pułk nowy zdobył bagaże generała Timona, dowódcy brygady gwardyi, i przyprowadzono je do kwatery generała Ambrożego Skarzyńskiego; był to kocz szczęściem wiackimi uprzęzony końmi i furgon, a w nich walizy starannej bardzo roboty, zawierały srebrny serwis stołowy i do herbaty, misternie wyrabiany, naczynia kuchenne z białej angielskiej cyny, przybory toalety, mnóstwo pachnidła, kosmetyków, a co nas w zadumienie wprowadziło, to było dwanaście szlafroków jedwabnych lub aksamitnych, w dziwne wzory wyszywanych.

Łomża (jakem wyżej powiedział) była główną kwaterą w. księcia Michała, który gwardyą dowodził. W przekonaniu zapewne, że długo w niej konsystować będą, otoczyli Moskałe miasto porządkiem bardzo ziemnemi robotami, poza któremi zdało się, że opór nam stawia, ależ nie wiem dlaczego, za zbliżeniem się naszym opuścili miasto tak spie-

sznie, że nagromadzone magazyny, mnóstwo zbytkowych rzeczy dla wygody oficerów i wszystkie ich bagaże dostały się w ręce nasze. Wśród radosnych okrzyków mieszkańców sporego tego miasta, które od początku kampanii nie widziało polskiego żołnierza, weszliśmy w jego mury, i zaraz wskazano mi kwatere w domu niejakiego pana Luty, byłego burmistrza, którego Moskale z tej posady usunęli; przyjął on mnie nadzwyczaj serdecznie i zaprowadził do bardzo ładnego pokoju, z wygodnem łóżkiem, gdzie ujrzałem pod piecem juki moje i dwa małe sukienne mantelzaki z pod siodeł, co były na wierzchołach koniach.

„Oto kwatery pańska,“ rzekł mi, „niech pan porucznik każe znieść rzeczy swoje.“

„Oto są“ odrzekłem, wskazując na juki. Popatrzył na mnie zdziwiony.

„Jakto? to już wszystko?“ — zapytał.

„A cóż mi więcej potrzeba“ odrzekłem.

„Małem się widzieć panowie obchodzicie,“ mówił, „nie tak jak Moskale; w tym samym pokoju stał adjutant księcia Szczerbatowa, ten miał kocz i trzy kibitki i wskazał na stojącą w dziedzińcu kolasę, a obok niej powózki naturalnie.

„A cóż on w nich woził?“ pytałem.

„O! różne przybory, a między innemi widziałem, jak znoszono kilkanaście głów cukru.“ Kiedy więc oficer, który nie mógł mieć wyższej rangi jak kapitana, miał takie bagaże, łatwo pojąć, jaki był tabor całego tego korpusu, wszystko to zostało w Łomży. W kilka godzin potem jechałem z pułkownikiem od kwatermistrzostwa Kossem, szefem sztabu Giełguta, dla obejrzenia okopów w okolicy Łomży będących i poznaczenia numerami baterii, w których stawała piechota, i napotkaliśmy Artura Orsettego, który dobrze znał Łomżę, w bliskości bowiem miał majątek, na żądanie też pułkownika przyłączył się do nas. W ważkiej jakiejś uliczce ujrzelśmy przed nami jakiegoś majora z kaliskiego pułku z dwoma oficerami, dojeżdżali oni do schludnego bardzo domku, przed którym stał ksiądz, zatrzymał on ich, rozmawiali chwilę, potem ksiądz odszedł do domku, a major z towarzyszami stał przed gankiem. Kiedyśmy się z nimi zrównali, wychodził znowu ksiądz, i tym razem z pomocą sługi niósł skrzynkę jakąś, którą jak mówił, stojący na kwaterze u niego oficerowie moskiewscy zostawili. W jednej chwili któryś z Kaliszan ukreślił kłódkę, odsunął wieko skrzynki i wyciągnął dwa mentyki i dwa dołmany ponsowe z sobolami, gęsto sznurami złotymi naszywane,

u każdego siedm rzędów wypukłych guzików, to mundury lejbgwardyi huzarów.

„Trzymaj sobie, księżu, co ci los dał,” rzekł major.

„Ależ może kto z panów wziąć z tego co zechce,” mówił ksiądz, „boć to przecie zdobycz wojenna” i patrzył na nas.

„Ja,” odrzekłem, „wolę mieć miejsce na parę koszul,” Kaliszanie tegoż zdania byli, Orsetti tylko wziął jeden dołman.

W parę miesięcy potem spotkałem go.

„Pamiętasz owe huzarskie mundury w Łomży,” spytał mnie, „co nas ksiądz częstował nimi?”

„Pamiętam,” odrzekłem.

„Jaki ty waryat, żeś nie wziął żadnego,” zawołał, „wiesz, co mi za mój dał Neubauer?”

„Ile?” spytałem.

„Trzysta pięćdziesiąt dukatów.”

„A toż za co!” zawołałem.

„Za to, że wszystkie guziki były masif złote; jeżeli ksiądz umiał sprzedać, co mu pozostało, to miał fortunkę w ręku.”

Małom widział tak ładnych antypek i burstynów, jakie po parę złotych sprzedawali żołnierze na ulicach Łomży; małom pił tak dobrego wina, jakie sprowadzono z Królewca dla Wielkiego Księcia i sztabu jego, i sklepy uprowidowane były w różnego rodzaju przed-

mioty, bez cła z Prus sprowadzone, w początku bowiem zaraz powstania, straż pograniczna do pułków wcielona została. Tak więc w mieście obfitującym we wszelkie wygody mieliśmy perspektywę spędzenia czas jakiś, a mnie to szczególnie dogodnie było, miałem bowiem uporczywą febrę, a w czwartym strzeleckim był sztabs-lekarz, w którym szczególne zaufanie pokładałem. Ależ nie długo cieszyliśmy się spokojem, bo 2. maja o świcie zbudził mnie Dobrowolski, adjutant generała Giełguta.*)

„Wstawaj co ducha!” zawołał „wychodzimy w marsz.”

„Cóż się stało?” spytałem zdziwiony.

„Przychodź do kwatery generała, tam się dowiesz o wszystkim” i wybiegł spiesźnie.

W jednej chwili byłem na ulicy, a kiedyś się znalazł w mieszkaniu generała, zastałem pełno oficerów służbowych, co przybyli po rozkazy. Otoczyli oni dobrze mi znanego Władysława Rozwadowskiego, adjutanta woźdza naczelnego**), który opowiadał, że zaszła krwawa bitwa pod Ostrołęką, że generałowie Kicki i Kamiński zginęli, i że armia nasza jest w pochodzie ku Warszawie, przywiózł

*) Był oficer gwardyi grenadyerów, który w nocy 29. listopada na czele ludu zdobył arsenał.

**) Dzisiejszy koniuszy dworu jego cesarskiej mości.

opieczętowany rozkaz, który wręczył generałowi, ale co zawierał, nie wiedział. W niespełna godzinę wyruszyliśmy w kierunku Ostrołęki, a uszedłszy z milę lasem, zatrzymaliśmy się w dużej wsi, co była na jego krańcu, i zaraz adjutanci rozbiegli się z rozkazami, które miały na celu przygotowania do nastąpić mającego boju, mnie zaś kazano wrócić się i sprowadzić pozostałe w tyle podwodne konie całego sztabu. Ruszyłem tedy nazad, i kiedym spieszył środkową drogą, ujrzałem na bocznej dróżynie, co wymijała piasek, pędzący jednokonny wózek chłopski, w nim siedział jenerał jakiś, który po imieniu na mnie zawołał; zwróciłem się też ku niemu, i poznałem jenerała Henryka Dembińskiego.

„Co jenerał tu robi?” pytałem zdziwiony.

„Potem się dowiesz,” odrzekł, „a teraz gdzie Giełgut?”

„W tej oto wsi,” odparłem wskazując na prawo.

„Prowadź mnie do niego jak najspieszniej” i ruszyliśmy nazad; z poleceniem mojem posłałem jakiegoś podoficera z trzeciego pułku ułanów, któremu napotkał, i wkrótce stanęliśmy przed zabudowaniami plebanii, gdzie była kwatery Giełguta. Wszystkich zdziwiło przybycie jenerała Dembińskiego; przywiozł on nam rozkaz wrócenia się na Litwę, do-

niósł, że prowadzi pułk Poznańczyków, zda mi się trzy bataliony piechoty i cztery działa lekko-konne; zapowiedział blizkie połączenie się z nami jenerała Chłapowskiego z pierwszym ułanów, i coś piechoty, i pułkownika Obuchowicza, który prowadził kilkuset starych podoficerów i żołnierzy z różnych pułków, i ci mieli stanowić kadry dla pułków, które na Litwie formować miano. Rozkaz był tak wyraźny, że natychmiast zwróciliśmy się ku Litwie, żeby tym śpiesznym ruchem odsadzić się od armii Dybicza, która nas odcinała od Warszawy. O południu spotkaliśmy awangardę oddziału jenerała Dembińskiego; serdeczne było powitanie i połączeni szliśmy ku Rajgrodowi. Z największym współczuciem wszędzie przyjmowano nas: z każdej wsi kościelnej księża z krzyżem i chorągwiami na czele mieszkańców siola wychodzili na nasze spotkanie; z chałup wynoszono chleb, nabiał i różne pożywienie dla żołnierzy; nie było takiej wsi, gdzieby po kilku parobków, oficyalistów albo sług dworskich nie zaciągnęło się do wojska; wszelkie informacye przewodników, fury pod chorych i furaż z wszelką łatwością dostawaliśmy; wszędzie dowody sympatii i chętną pomoc napotykało się; nigdzie nie widział ani słyszał o smutnej konieczności karania szpiegostwa lub zdrady

między chłopami: środki, których w późniejszych ruchach tak często naczelnicy powstania używać zmuszeni byli; słowem powstanie z 31. roku istotnie narodowem nazwać było można; żydzi tylko nieprzychylni nam byli, często też za szpiegostwo wieszano ich. Dobrze poinformowani przez miejscowych ludzi, w nocy podstąpiliśmy pod Rajgród, gdzie znajdował się kilkotysięczny korpusik generała Osten-Sackena, syna feldmarszałka. Kozacy snujący się po okolicy dostrzegli wprawdzie awangardę a raczej szpice awangardy naszej i uwiadomili o tem Sackena, ależ ten tych kilku jeźdźców, których widzieli Kozacy, wziął za partyzantów Puszeta, który się uwijał w tamtych stronach; zastaliśmy jednak Moskali na baczności będących. Na godzinę przed świtem uderzyliśmy na nich, a tak niespodzianą była dla Moskali tak bliska obecność nasza, że przed front batalionu 2. przypadł Sacken, a w przekonaniu, że to swoi, „Katory polk?“ — zapytał, a na to pytanie batalion na komendę dowódcy majora Wierzbiety rotowym odpowiedział ogniem; pomimo to Sacken uszedł cały. Nie wiem, dlaczego kawalerii kazano uderzyć na miasto, i pułk poznański z jednej, a płocki z drugiej strony, wpadli na rogatki. Dostali się wprawdzie do miasta, ależ ze znaczną stratą, bo Poznań-

czyki opłakiwali zgon kilku wiele obiecujących młodzieńców; w płockiej jeździe zaś między innymi zginął, „siedmiu kulami w piersi ugodzony, Henryk Zieliński, dowódzca trzeciego szwadronu,“ ulubieniec pułku, ubóstwiany przez podkomendnych; to też nigdym nie widział takich objawów żalu, takich łez rzewnych, jakie wylewali dzielni towarzysze Zielińskiego, kiedy po skończonym boju skrwawione zwłoki jego nieśli do grobu.

W bitwie tej byłem świadkiem smutnego wydarzenia, które nie wiem czy się powtórzyło przez ciąg całej kampanii, dlatego wspomnę o nim. Szosa z Łomży idąca przechodziła koło małego drewnianego kościółka, pod którym stały dwa pozycyjne działka moskiewskie, i te ostrzeliwały drogę. Spędzić je było koniecznością; toteż generał Valentin dał rozkaz kapitanowi Wotoskiemu, z czwartego pułku strzelców, uderzenia na nie. Ruszył on z kompanią, a kiedy strzelcy wbiegli na szosę, która w tym miejscu wysoko wysypała była, Moskale dali ognia. Pierwsza kula przeszła nad ich głowami, ależ druga rdzennym strzałem ugodziła w kolumnę i literalnie przedziurawiła ją, bo dwudziestu siedmiu ludzi padło, a każdy jedną albo dwie nogi miał urwane. Rozpierzchłą po tym strzale kompanią w jednej chwili zebrał dzielny dowódzca, biegiem wpadł

na działa, zdobył je, a żołnierze mszcząc zgon towarzyszy, wykłuli wszystkich kanonierów. Jedyna to była bitwa, w której ze słabszym liczebnie nieprzyjacielem mieliśmy do czynienia, toteż połowę oddziału swego stracił Sacken, bo kilkuset zabitych, więcej jeszcze rannych było Moskali, tysiąc dwustu wzięliśmy w niewolę i wielkie przybory wojenne, a co najgłówniejsza, droga do Litwy wolna była. *)

Zaraz po bitwie była rada wojenna z generałów, dowódców pułków i baterii złożona, której obecni byli wszyscy oficerowie sztabu. Świeżo odniesione zwycięstwo otwierało nam drogę na Litwę, a odsadzenie się o mil dzieł od armii Dybicza nie dozwalało jej doścignąć nas. O tej pomyślnej zmianie w położeniu naszym zawiadomić wodza naczelnego było koniecznością, i kiedy się wszyscy na to zgodzili, Giełguć zwrócił się do nas młodych.

„Któż z was, panowie, podejmie się,“ pytał, „dostać się do Warszawy?“

Chwila była milczenia, bo każdy wolał bić się, jak pojedynczo narażać się na jakieś dziwne przygody i podejmować się zlecenia, którego spełnienie bardzo wątpliwe było. Ależ moje położenie było wyjątkowe. Byłem adjutantem przy jenerale Henryku Kamieńskim, dowódcy piątej dywizji, który w zaży-

łości był z całą moją rodziną, a na mnie szczególnie łaskaw. Ze Stanisławowa, gdzieśmy stali przed owym ruchem na gwardye, wysłał mnie był jenerał do Warszawy z różnemi zleceniami, które parę dni zająć mi miały, i tam złączył się ze mną Edward Jaroszyński, ów ośmastoletni chłopiec, co jeden żywy i cały pozostał po bitwie ostrołęckiej z całego sztabu Kamieńskiego, i Ignacy Potocki, adjutant Giełguta.

W dniu naznaczonym do powrotu wyruszyliśmy, i od pułkownika Jana Lelewela, gubernatora Pragi, dowiedzieliśmy się o owym pochodzie flankowym, o czem wiadomość tylko co nadeszła, i w Warszawie jeszcze nieznana była; zamiast tedy do Mińska, udaliśmy się do Jabłonny; ku wieczorowi dopędziliśmy sztab główny, i od jenerała Prądzynskiego otrzymaliśmy rozkaz przyłączenia się do niego, dywizya bowiem nasza, będąca w korpusie Łubieńskiego, szła do Nura (jakem to wyżej powiedział) i o kilka mil na boku; stąd tedy znajdowałem się w owych spotkaniach z gwardyami i przy owej zasadzce na wodza naczelnego pod Długosiodłami zrobionej. Byliśmy we wsi Mężyninie, kiedy przybył z pod Nura książę Władysław Sanguszek i przywiózł wiadomość o otoczeniu i przebicium się korpusu Łubieńskiego przez

*) Powstanie Narodu Polskiego przez L. Mirosławskiego.

armię Dybicza, równie jak o pochodzie jego dla połączenia się z główną armią, i zaraz uradzono, że zajmiemy Ostrołękę i Łomżę, żeby być panami szosy. Nie wiedząc, w którym punkcie połączy się dywizja nasza z główną armią, na chybił trafił Jaroszyński, mając kogoś znajomego w sztabie jen. Rybińskiego, poszedł z nim; ja zaś, na usilne namowy Potockiego, łaskawie bardzo przyjęty przez Giełguta, szedłem z nim do Łomży. Jaroszyński w nocy zaraz połączył się z naszym jenerałem, a ten, uwiadomiony o obecności mojej w Łomży, kresami przesłał mi rozkaz pozostania w Łomży na parę dni, żeby zasięgnąć rady lekarskiej na moją uporczywą febrę.

Jeszcze nie minął ten termin, kiedy zaszła bitwa pod Ostrołęką, a ja, do żywego przejęty zgonem Kamińskiego, znalazłszy się w stosunku z jenerałem, którego zaledwie poznałem, i z ludźmi mało mi znanymi, w przykrem bardzo byłem położeniu, z którego wyjść pragnąłem mocno; to też, kiedy Giełgut zapytał: kto się podejmie dostać się do Warszawy, bez namysłu podjąłem się tego zlecenia. Giełgut, nie widząc więcej ochotnych, przeznaczył mi za towarzysza adjutanta swego lg. Ł... i zaraz zajęto się wygotowaniem ekspedycyi, którą nam powierzyć miano. Jenerał zażądał od nas słowa honoru, że

w żadnym razie nie oddamy powierzonego nam pisma; kazał nam trzymać się pruskiej granicy, w ostateczności zaś mieliśmy, zniszczywszy ekspedycję, przejść granicę i oddać się Prusakom. Z kwatermistrzostwa dano nam mapkę bardzo dokładną; wójt gminy puszczy Myszenieckiej, którąśmy przebywać mieli, udzielił nam wszelkich informacy i dał kartkę z pieczęcią gminy do sołtysa wsi Kolno, nazwiskiem Michał Pimerski, o którego najlepszych chęciach upewniał nas, czego dał nieraz dowody, szczególnie przy przechodzie partyzantów pod dowództwem Puszcza. Na kartce był nic nieznaczący rozkaz jakiś. Zdziwieni, spojrzeliśmy po sobie, a to nie uszło uwagi wójta i uśmiechając się:

„Nie turbujcie się, panowie,“ mówił, „będzie on wiedział, o co tu chodzi.“

Przebrawszy się tedy Bóg wie po jakiemu, żeby z daleka nie zwracać uwagi, poprzedzeni przez młodego chłopca wychowanka owego wójta gminy, który do Kolna miał nas prowadzić, my obadwa i dwóch naszych ludzi puściliśmy się w zamierzoną podróż. Niebawem byliśmy nad granicą, którą odznaczały czartaki dla kordonu od cholery wyciągniętego ustawione, i ponad nią postępowaliśmy. Po kilkogodzinny marszu ujrzeliśmy przed nami czerniącą się jak okiem zająrzeć, puszcze

Myszeniecką, która z dziesięć albo dwanaście mil w Królestwie ponad granicą, i tyleż w Prusach wschodnich rozciąga się; na prawo zaś już na pruskiej stronie, bieleły się zabudowania jakieś, a przewodnik mówił nam, że tam były nagromadzone magazyny dla Moskali, których pilnowało kilkunastu Kozaków, i ci zwykle na tej stronie przybywali; aie, posłyszawszy o pochodzie Polaków, przeszli do Prus. Niebawem wjechaliśmy w zarośla, i uszedłszy paręset kroków, usłyszeliśmy parskanie konie i brzęk pentów, a po chwili przewodnik nasz, przodem idący, zwrócił konia ku nam, a ręką na prawo wskazywał. Podjechawszy, ujrzelśmy leżącego pod krzakiem Kozaka, który sparł głowę na kulbace i twardo zasypiał; o kilkanaście kroków leżał drugi, dalej trzeci; może ich i więcej było, a wszyscy upałem znużeni we śnie pograżeni byli.

„To Kozaki, co magazynów pilnują,“ rzekł półgłosem nasz przewodnik, a my widząc ich uśpionych, stępem przebyliśmy zarośla, a dopiero pominawszy je, galopem ruszyliśmy do puszczy, która o małe ćwierć mili stamtąd poczyniała się.

Okolica ta w niczem nie podobna do reszty kraju, w którym leży. Na gruncie piaszczystym, poprzerzynanym mnóstwem rzeczek, po którym

gęsto rozsiane są błotka i zarośle, zaległ ten kilkunastomilowy szmat lasu przeważnie szpilkowego, puszcza Myszeniecką zwany. W głębi lasów leży kilkanaście sporych wsi, przez Kurpiów zamieszkałych, a stolicą tej oazy jest licha miejscina Myszenice, ze starym bardzo kościołem, przez Krzyżaków, jak mówią, stawianym. Niema tam pól żadnych, tylko spore ogrody, na których osadnicy sieją litewskie lny i konopie i te na płótna wyrabiają; do tego trudnią się wyróbką drzewa, handlują korą, węglami; przytem wszystko zawołani strzelcy; sprzedają skórki lisie, kunie i zajęcze, bo puszcza w zwierzynę bardzo obfituje, i to znaczną rubrykę w ich dochodzie stanowi.*) Oddzieleni lasami od reszty świata, żyją oni w zupełnej nieświadomości tego, co się na nim dzieje, i można tam napotkać dorosłych ludzi, którzy, prócz wójta gminy i jego pisarza, nigdy człowieka w surducie nie widzieli, a sąsiedni mieszkańcy puszczy mówili nam, że przed dwudziestu laty znajdowano tam nieraz dzieci niechrzczone. Z tak niskim stopniem cywilizacji nie wiem jakim sposobem wyrobiło się w nich uczucie patriotyczne dla kraju i chętna obrona jego

*) Kobiety w puszczy Myszenieckiej nie zaplatają włosów, ale je rozpuszczone noszą.

swobód; — dużo ich też służyło w batalionach wolnych strzelców.

Po półgodzinnej drodze lasem znaleźliśmy się w Kolnie. Duża ta wieś ma chałupy w różnych odstępach po obu stronach szerokiej, piaszczystej ulicy zbudowane; we środku wsi stoi karczma. Dojechaliśmy do niej, a po drodze ani duszy żywej nie spotkaliśmy; wszystko było na nabożeństwie w Myszeńcu, którego dwie wieże kościoła ponad wznoszącym się nieco w górę lasem czerniły się w oddali. Ukazanie się nasze zdziwiło i szynkarza i jego żonę,*) prócz dwojga dzieci jedyne żyjące istoty, jakieśmy w karczmie zastali; a że o owym karczmarzu, jak o człowieku pewnym, wspominał wójt gminy Myszeńca, śmiało też zapytaliśmy go o sołtysa Pimerskiego.

„Jest w domu,“ odrzekł mi, „zaraz go panom tu sprowadzę“ i wyszedł; a niebawem wrócił z oczekiwanym.

Był to człowiek średniego wieku, miłej powierzchowności, a na twarzy jego malował się jakiś wyraz otwartej szczeroty; po przywitaniu weszliśmy z nim do alkierza, i tam towarzysz mój wręczył mu ową kartkę wójta gminy, przystąpił z nią do okna i przypatrywał się jej pilnie.

*) Nadmieniam, że od roku 1815 nigdzie w Królestwie żydów na karczmach nie było.

„Czy umiecie czytać, wójcie?“ spytałem go.

„Ej! gdzie tam, mój jegomość,“ odrzekł, „ja nie piśmienny.“

„A cóż się tej kartce tak przypatrujecie?“

Uśmiechnął się, i nachylając się ku mnie:

„Szukam znaczku,“ rzekł półgłosem.

„Jakiego znaczku?“ pytałem zdziwiony, a on mi palcem wskazał na pieczęć, na której (czegoś wprzód nie dostrzegł) ujrzałem nakreślony krzyżyk.

„Cóż to ma znaczyć? powiedzcie mi proszę.“

„To znaczy, że panowie sprawiedliwe Polaki, a Pimerski ma być na usługi panów.“

„Mój przyjacielu,“ rzekłem, „widzę, że się dobrze znacie z waszym wójtem gminy.“

„Jak łyse konie, mój jegomość,“ odrzekł uśmiechając się; albo mi to pierszyna: nie jedną ja taką kartkę odebrał, jak tu przechodził pan Puszet; a co on u nas nawerbował parobczaków... i mój chłopiec poszedł z nim. Cóż robić!“ dodał z westchnieniem, „kiedy już na tem stanęło, to trzeba bronić swojej ziemi“ i zadumany głowę opuścił na piersi.

Całe znalezienie się Pimerskiego wzbudziło w nas zaufanie. Bez obawy tedy żądaliśmy, żeby nas przeprowadził przez puszcę poza Omulew, a stamtąd mamy zamiar udać się w okolice Mławy do wsi Cyżyna, gdzie mie-

szkał blizki mój krewny, Bruno Kiciński. Chętnie przystał na to pocciwy sołtys i mówił, że do pomocy trzeba wezwać szynkarza; zawołał go też i opowiedział mu rzecz całą. Nie chciał on się tego podjąć i w miejsce swoje wskazywał jakiegoś innego, na co Pimerski, po namyśle, zgodził się w końcu, i już miał wychodzić za wyszukaniem owego Kurpia, kiedy krzyki niezmierne we wsi obity się o uszy nasze. Wybiegliśmy wszyscy na podsienie, gdzie dziwny nas uderzył widok. Przez wieś ku karczmie biegła z krzykiem przeraźliwym kupa kobiet, — u wszystkich rozpuszczone włosy, które wiatr unosił, dziwnego przerażenia przedstawiały obraz. *) Moskale! Moskale! wołały wylękłe wskazując w stronę Myszeńca, a my patrząc w tym kierunku, na końcu wsi ujrzeliśmy migające groty dzid; a że chorągiewek nie widno było, wnieśliśmy zaraz, że to Kozaki. Przerażona tym widokiem karczmarka, załamując ręce, rzewnie płakała, przelekle dzieci krzyczały, a Pimerski zwracając się do nas.

„Niech panowie,“ zawołał, „umykają co tchu do lasu i w zaroślach na kraju zatrzymają się“ i zaraz poskoczył otworzyć tylne wrota stajni. Nie było czasu rozprawiać; to

*) Kobiety w puszczy Myszenieckiej nie zaplatają włosów, ale je rozpuszczone noszą.

też dosiedliśmy koni, i kiedym zwracał mego, ujrzałem, jak karczmarka padła na kolana przed mężem.

„Ratuj tych panów, Mateuszu!“ wołała ręce składając, „Bóg ci na dzieciach za to błogosławić będzie.“

„Ha!“ zawołałem wzruszony, „jeżeli żyć będę, to o tobie nie zapomnę“ — i zaraz, co koń wypasć może, pędziliśmy do puszczy.

Stosownie do rady Pimerskiego na początku lasu zatrzymaliśmy się, patrząc w stronę Kolna, kiedy z pomiędzy opłotków wypadło dwóch ludzi na koniach, i oni pędzili ku lasowi. Nie widno było połysku broni, za małe były konie na wojskowe — pewni też byliśmy, że to nie Moskale; a kiedy się równali z nami, w jednym poznaliśmy Pimerskiego, w drugim karczmarza, który uległ, widno, naleganiom żony. Wyjechaliśmy naprzeciw nich, a oni, nie wstrzymując biegu, „dalej! dalej!“ wołali i czwałem ruszali w las a my za nimi. Może pół godziny trwał ten bieg, kiedy oba przewodnicy zatrzymali się koło ściętej sosny, zeskoczyli z koni, w jednej chwili z drobnych gałęzi ustali ścieżkę od drogi do miejsca, gdzie się murawa zaczynała; przejechaliśmy wszyscy po niej, — poczem zebrałi gałęzie. Tym sposobem znikł wszelki ślad naszego zboczenia, bo ani znaku kopyt końskich nie było na piasku.

Po ziemi pokrytej szyszkami, jakby po toku, jechaliśmy kłusem, i po jakimś czasie, wśród gęstwiny, którąśmy z ciężkością przebyli, znaleźliśmy się na łączce, gdzie było źródło.

„Tu spocznem,“ rzekł Pimerski, — i zaraz z kobiałki dobył ser owczy i flaszę wódki, jedliśmy więc jak zwykle głodni.

„Skąd się tu u was wzięli Moskale, kiedy o nich słyhać nie było,“ — pytaliśmy Pimerskiego.

„Albo ja wiem!“ — odrzekł — „te kobiety, co tak krzyczały, mówiły, że w Myszeńcu chmara tego.“

Później dopiero dowiedzieliśmy się, że zaraz po bitwie pod Ostrołęką Dybicz w przekonaniu, że Giełgud ponad pruską granicą będzie się starał przejść dla połączenia się z główną armią, wysłał do Myszeńca dywizję piechoty, drugą jazdy, ze stosowną ilością artylerji, dla przecięcia mu drogi i tak wpadliśmy między znaczne siły moskiewskie.

Ujechawszy jeszcze parę mil, stanęliśmy wcześniej na noc, był to bowiem dzień paroksyzmu mojej febry, która co trzeci dzień trapiła mnie wieczorem.

Mała to bardzo była osada, w której noc spędzić mieliśmy, z kilku chałup zaledwie składająca się: w jednej z nich mieszkał

dobry znajomy Pimerskiego, do niegośmy też zajechali. Chętnie bardzo przyjęci, stanęliśmy w stodole, w obórce umieszczono konie nasze.

Parnota była wielka w powietrzu, toteż odmieniwszy bieliznę, bez zwierzchnich sukni wyszliśmy na obejście, gdzie trzy kobiet i kilkoro dzieciak, z naiwnością prawdziwie dziecienną, przypatrywali się koniom i przyborom naszym. Cała ta rodzina byli tkacze, jak większa część mieszkańców puszczy, widząc na nas białą i cienką bieliznę, i kobiety i dzieci obstały nas, i z największą poufałością oglądały płótno i rękami suwały nam po plecach i ramionach. Towarzysz mój zażądał od służącego ognia do lulki, a ten wyjął z kieszeni flaszeczkę z fosforem i zapalną z siarką, nowość w owym czasie, a w tej stronie widno nie znaną, bo kiedy dotknął zapalną płynu, a ta z sykiem zapaliła się, kobiety i dzieci z krzykiem przeraźliwym uciekały do chałupy i z wielką biedą mogliśmy je przekonać, że to nie są czary.

Nazajutrz bez żadnej przygody jechaliśmy dzień cały, i ku wieczorowi byliśmy, jak nam mówili przewodnicy, w bliskości Omulewa.

Rzeka ta szeroka jak Bug, płynie środkiem łąk błotnistych, po największej części niepodobnych do przebycia. Są jednak niektóre miejsca, przemycającym towary znane, gdzie

blota z trudnością, a koryto rzeki w bród przebyć można, jedyny zaś most na kilka mil jest we wsi Krukowie, gdzie łąki zwięzają się. Te szczegóły opowiadał nam Pimerski i dodał, że się nam gdzieś zatrzymać trzeba i dopiero w nocy udamy się do Krukowa, a że Moskałe, jak się pokazuje, są w puszczy, to Mateusz (ów szynkarz) pojedzie na zwiady, czy przejazd na rzece wolny.

Stońce się miało ku zachodowi, kiedyśmy wjechali w rzadki las. Na lewo pomiędzy ogromnymi sosnami bieleły się chałupy jakieś osady, na prawo była nie duża łączka, za nią wśród drzew widać było także mieszkania.

Dojeżdżaliśmy do płotu dzielącego łąkę od lasu, kiedy przełaził przez niego młody jakiś człowiek w spencerze granatowym i takichże spodniach, na nich długie jałowicze buty.

„Jak się macie, Krystykanie!“ — „ozwał się Pimerski — „a gdzie to idziecie?“

„Do szmita“ — odrzekł, — „żeby mi siekiere nastalił.“

Przywitawszy się, zaczęli półgłosem rozmawiać. Po chwili zrównał się z nami Pimerski i oświadczył, iż ponieważ ów nowoprzybyły widział nas, trzeba go więc wziąć z sobą.

„A znacie go dobrze?“ — pytaliśmy.

„O znam“ — odrzekł, „przed rokiem mu dziecko do chrztu trzymałem, on jest z Bud,

od tej wsi — wskazał na prawo — to już na pruskiej stronie.“

„A gdzież tu granica?“ pytaliśmy.

„Ot ten płot“ — rzekł — „ta łączka to już pruska.“

Zgodziliśmy się na zdanie wójta i dojechawszy do kępy leszczyny, poza nią zleźliśmy z koni, Mateusz ruszył do Krukowa, a Pimerski z Krystyanem poszli do wsi, co była przed nami. Niebawem wrócili niosąc coś do zjedzenia i obrok dla koni, a z nimi przyszedł człowiek stary, łysy, widno strażnik nadgraniczny, bo miał na sobie mundur zielony z białym kołnierzem. Pimerski nam mówił, że nikt w puszczy nie zna tak dobrze przejść wszystkich i skrywek jak on, na wszelki tedy wypadek, gdyby nam przyszło ukrywać się w puszczy, póki Moskałe zajmować ją będą, nikt od niego bezpieczniejszego schronienia wynaleźć nam nie jest w stanie.

Wypytywaliśmy nowoprzybyłego o różne szczegóły puszczy dotyczące, a on nas upewniał, że wie miejsca tak skryte, że las cały wyrabac by trzeba, żeby trafić na nie, że zaledwie kilku przemysłnikom znane to ukrycie, — a my wniesliśmy z całego toku opowiadania jego, że pomimo obowiązków strzegącego kontrabandy musiał być współnikiem trudniących się nią, kiedy tak dobrze znał ich kryjówki.

Około 10. godziny powrócił Mateusz i doniósł, że w Krukowie na moście stoi dwie armaty i znaczny oddział huzarów, trzeba więc było myśleć o innym sposobie przebycia rzeki. Po długiej naradzie pomiędzy strażnikiem, Pimerskim i Krystyanem stanęło na tem, że w miejscu zwanem Drag mamy rzekę przechodzić; zaraz Krystyan pobiegł do Bud i wrócił z koniem, a niebawem i strażnik ukazał się konno. W pół godziny stanęliśmy na półku przy samej granicy położonem, przed nami ciągnęły się łąki, środkiem których płynął Omulew, po za nimi światelka widne były we wsi Zambrowie, którą dzierżawił niejaki Nozdrowicz, w Rajgrodzie jeszcze zalecony nam jako Polak dobry i chętny w oddaniu usługi. Trzeba się było przekonać, czy tam nie ma Moskali, dlatego zawsze za radą Pimerskiego, Krystyan zostawił konia i pieszo puścił się, żeby o naszym przybyciu zawiadomić Nozdrowicza.

Noc była bardzo ciemna, ciężkie chmury zakrywały cały widnokrąg i drobny deszczyk padał, a my owinięci w płaszcze leżąc na ziemi, rozmawialiśmy o naszej przeprawie, kiedy nam jakby z ziemi wyrosły ukazał się jakiś człowiek między nami; powstaliśmy śpiesznie, a on strwożony:

„Czy panowie Polacy?“ — zapytał drżącym głosem.

„Polacy“ — odrzekliśmy — „czego chcesz?“

„Ale, bo to ja...“ — mówił — „prowadzę żołnierzy, co zostali za Narwią.“

„Gdzie oni są?“ — spytaliśmy, a on odwrócił się: „bywaj!“ zawołał i przyszło pięciu żołnierzy od piechoty. Powiedzieliśmy im, kto jesteśmy, a ci broń do nogi wzięli i stanęli w postawie żołnierskiej. Opowiedzieli nam, że są z czwartego pułku liniowego, że w chwili kiedy się już paliła Ostrołęka, oni dochodzili tyżwowego mostu. Ależ pękł ten, a batalion (wszystko pływaki) rzucił się w wodę i z małą stratą przepłynął rzekę. *) Kilkudziesięciu zaś ich odcięli Moskale, i ci wpadli do zarośli, tam się czas jakiś bronili, potem zawsze zaroślami, cofnęli się w górę Narwi, przepłynęli ją i dostali się do puszczy Myszenickiej.

„Wieluż was jest?“ — pytaliśmy.

„Czterdziestu przeszło“ — odrzekli.

„A macie ładunki?“

„Po trzydzieści, co były w patrolaszach.“

„Ha! to się dostaniem na tamtą stronę rzeki“ — odrzekłem, i ułożyliśmy, że zabrawszy ich, podsunie się pod most w Krukowie i spędzimy pilnujących go Moskali, bo ci w nocy nie wiedząc, z kim mają do czynienia, niezawodnie nie dotrzymają, szcze-

*) W naszym wojsku uczono żołnierzy pływać, a czwarty pułk liniowy celował w pływaniu, równie jak w fechtowaniu na bagnety.

gólnie artylerya tak drażliwa na karabinowe kule. Ależ krótko trwała ta słodka nadzieja, bo nam odrzekli, że te kilkadziesiąt ludzi po całej puszczy rozpierzchli się i zebrać ich niepodobna było; dawszy im tedy zasiłek, pożegnaliśmy ich.

W kwadrans może po ich odejściu usłyszeliśmy za rzeką wystrzał, potem kilka innych, w końcu rotowy ogień dobrze bardzo utrzymany, który trwał kilka minut. Wątpić nie można było, że się biją w Zembrowie, ale skąd się tam nasi wzięli, tego pojąć nie mogliśmy; i najdziwniejsze przypuszczenia robił Pimerski i strażnik, kiedy leżący na ziemi karczmarz zerwał się nagle:

„Moskale! Moskale!... — zawołał — słychać! jak idą kłusem.“

W jednej chwili byłem na koniu i wszyscy stanęliśmy na samym kraju półka, Pimerski zaś upatrywał, gdzie brzeg mniej strömy. Po chwili na ciemnem tle lasu zabieliły się siwe konie i zaraz okrzyk: „nie ujdiesz!..., nie ujdiesz!...“ rozległ się w powietrzu. Zwróciłem konia ku błotom, ażeby wskoczyć w nie, ależ ten zwinął się chrapiąc i spinając się: i konie moich towarzyszy odmówiły także skoku, a tu huzary dopadają. Ktoś krzyknął ognia! i wszyscy czterej palnęliśmy z pistoletów. Musiał któryś oberwać, bo słychać

było jęk między nimi. Huzary się zwrócili, o kilkadziesiąt kroków stanęli; ale nie dotknęła nas żadna kula, a konie nasze rozognione strzałami, wielkiej nabrały fantazyi i w kilku skokach na głos Pimerskiego, który trzymał za cugle konie Krystyana, stanęliśmy koło niego.

„Tędy! tędy!“ wołał i wskoczył pierwszy, za nim strażnik, potem jeszcze ktoś, nareszcie ja.

Z jak wysoka wpadłem w wodę, nie wiem, ale mi się zdało, że do antypodów lecę.

„Dalej! dalej!... wołał Pimerski, to nie szeroka kołbań!“ — jakoż po kilku rzutach stanęliśmy na łące, gdzie konie nasze po pęciny lgnęły. Strzelili jeszcze do nas huzary, ale równie nieszkodliwie jak pierwszym razem, przebyliśmy jeszcze dwie czy trzy kołbanie i zabieliło się koryto przed nami. Strażnik najlepiej znający miejscowość jechał przodem, za nim my gęsiego. Woda w niektórych miejscach do pasa nam była, mały kawałek spłynęliśmy i w końcu znaleźliśmy się na drugim brzegu i zleźliśmy z koni.

„No, panowie, co teraz robić będziemy — pytał Pimerski — tam się biją — wskazał na Zambrów, z tyłu Moskale, niema dla panów innego środka, tylko oddać się Prusakom.“

Ta propozycja niesłychanie przykre zrobiła nam wrażenie; pytaliśmy też, czyby nie można

pominać Zambrowa i znowu dostać się do lasu, ależ wszyscy trzej przewodnicy utrzymywali, że to niepodobna, że tu się zaczyna kraj bardziej odkryty, lasy nie duże i nie podszyte, słowem wynajdywali różne argumenta, żeby nas skłonić do przejścia granicy, a my z mowy ich wnieśliśmy, że im się już sprzykrzyła ta opieka nad nami, szczególnie ostatnie spotkanie z Moskalami widocznie nie było im do smaku.

Zostawieni samym sobie w okolicy nam nieznaney, z bólem serca zdecydowaliśmy się wejść do Prus. Nie wiedząc, jak długo iść nam trzeba będzie, nim natrafimy na wieś jaką, odpoczywaliśmy nieco, odkładając ku dniowi bolesną konieczność opuszczenia kraju, ależ Pimerski radził nam korzystać z nocy, żeby, jak odnieje, być w głębi kraju: bo gdyby przechodzących granicę spotkał nas patrol pruski, niewątpliwie zmusiłby nas do powrotu. Uznaliśmy słuszność tej rady i zaraz wynagrodziliśmy przewodników; ja zaś dałem karczmarzowi dla żony jego (co tak poczcziwie nalegała na męża) medalik złoty z Matką Boską z takimże łańcuszkiem; w końcu wyjęliśmy powierzoną nam ekspedycją do wodza naczelnego, żeby ją zniszczyć, kiedy jakiś szelest pomiędzy łożyną zwrócił naszą uwagę. W największej cichości nad-

śłuchiwalismy, szelest się coraz to zbliżał, potem usłyszeliśmy kasznięcie, to nas upewniło, że to człowiek idzie; potem Pimerski i karczmarz szli wolno naprzeciw nadchodzącego. Nie długo: „Kto idzie?” półgłosem wyrzeczone, obito się o uszy nasze, i jednocześnie „ach, to ty!” zawołał z radością Pimerski i wracał śpiesznie do nas, a z nim Krystyan.

„Dużo Moskali w Zambrowie?” pytaliśmy.

„Teraz niema żadnego!” odrzekł.

„Ale przecież słyszeliśmy strzały...”

„To nasi bili się z Moskalami!”

„Skądże się nasi tam wzięli?”

„Albo ja wiem? przyjechali na furach, Moskale wpadli na nich, — ale ci zeskoczyli z fur, strzelali do nich, kilku zabili i jednego oficera, Moskale uciekli, — a ci znowu wsiedli na fury i pojechali dalej. Pod samym dworem była ta bitka, a ja patrzałem na nią z za parkana.”

„Toś był we dworze?”

„Byłem, opowiedziałem panu dzierżawcy, że panowie niebawem tam przyjdą, — to on, jak Moskale uciekli, wysłał mnie zaraz, żeby powiedzieć, że czeka na panów.”

Ta wiadomość wpłynęła na zmianę projektów naszych; bądź co bądź postanowiliśmy tentować szczęścia i dotrzeć do Zambrowa,

a wszyscy przewodnicy oświadczyli, że nam towarzyszyć będą; jeden strażnik chciał wracać, ależ Pimerski nie przystał na to: „Kiedyście byli dotąd z nami, to musicie być do końca!” Zaraz potem wsiedliśmy na koń, mniej już grząskiem i łakami dojechaliśmy do parkanu ogród okalającego, w którym furtka na łękę wychodząca otwarta była. Przez ogród wjechaliśmy na dziedziniec budowlami okolony, pod wystawką nędznego dworku stał ktoś wsparty o drzwi wchodowe, za zbliżeniem się naszym wyszedł przed ganek i kiwając ręką: „Cicho! cicho!...” zawołał; a potem podszedłszy do nas:

„Panowie adjutanci od generała Gielguda?” zapytał; a kiedyśmy mu twierdząco odpowiedzieli, „jestem Nozdrowicz!” rzekł uchylając czapkę. „Przepraszam panów, że ich w piekarni przyjmę, ale na drugiej stronie śpi moja żona z dziećmi, a kobiet nie ma co mięszać do takiej sprawy!” Potem patrząc na naszych towarzyszy:

„Któż to z panami?” zapytał; Pimerski zbliżył się, i kłaniając mu się w kolana:

„Stopki całuję wielmożnego Pana!”

„Jak się macie, poczcwi wójcie?” zawołał Nozdrowicz, „wy widzę wszędzie jesteście, gdzie pomagać trzeba!...”

„Tak Bóg przykazał, mój jegomość!” odrzekł z westchnieniem.

„A któż to jeszcze z wami?” pytał, wskazując na Mateusza.

„To nasz szynkarz,” odrzekł wójt, a półgębkiem dodał: „poczcwi człowiek!”

„A tenże?” pytał i wskazał na strażnika; a kiedy się ten zbliżył:

„I pan strażnik tu?!” zawołał; „waćpan widzę zawsze tam gdzie kontrabanda!”... mówił z ironią.

„Každy chce co zarobić, wielmożny panie!” odrzekł zapytany.

„Byle poczcwi, to niema grzechu!” odparł Nozdrowicz, „pamiętaj o tem, mości Jabłoński!” i ręką mu pogroził.

Postąpił w końcu do naszych ludzi:

„Stańcie tu sobie pod drzewami z koźmi, ale ognia mi nie krzesać i stać w cichości.”

Ta ostrożność zdziwiła nas i pytaliśmy o przyczynę.

„Bo Moskale są we wsi!” odrzekł.

„Krystyan nas upewniał, że ich niema!”

„Nie było, kiedy odchodził,” odrzekł, „ale w kwadrans potem nadszedł patrol i stanął tu w czwartej chałupie. Służę panom!” dodał. i wprowadził nas do izby czeladniej; w niej nikogo nie było prócz baby, która spała na stole, na kominie świeciło się trochę żaru dobrze spopielonego. Razem z nami weszli wszyscy czterej przewodnicy, a Nozdrowicz

wziął kozuch na stole leżący, zakrył nim śledyne niewielkie okno, które izbę oświecało, a Krystyanowi kazał go przytrzymywać; potem zapalił świeczkę w latarce i zwracając się do nas:

„Cóż panowie żądają odemnie?“ zapytał.

„Prosilibyśmy o wskazanie nam dalszej drogi i o konie, jeżeli można, bo nasze zmęczone.“

„Ja się w to wdawać nie mogę,“ odrzekł obojętnie; „nużby panów złapali, — parobek by się wygadał, — a ja bym wpadł w biedę.“

Zdziwieni, spojrzeliśmy na siebie, a on podszedł do drzwi bocznych, co prowadziły do spiżarki, i otworzył je; tuż koło nich na zydłu stała baryłka, natoczył wódki w półkwaterek, i zwracając się do nas:

„Może się panowie napiją?“ zapytał; „a wy, wójcie?“ dodał, patrząc na Pimerskiego.

Przemokli, zziębli, chętnieśmy na to przystali; a on podał mi kubek, a drugą ręką ujął za ramię wójta:

„Czy wam dyabeł nasunął myśl brać z sobą tego draba strażnika?!...“ rzekł półgłosem.

„Albo co?“ pytał zagadnięty.

„Ta on na księdza w Krukuwie naprowadził Moskali i porwali go! — nie słyszeliście o tem?...“

„Ach ladaco!“ zawołał Pimerski, „trzeba

go się koniecznie pozbyć!“ potem zamyślił się.

„Niema co czasu tracić!“ mówił, „niech wielmożni panowie przy nim odprowadzą nas, już my z Mateuszem nie damy mu się wrócić, a raz za rzeką niech szczeka co chce!“ Weszliśmy napowrót do piekarni, w niej koło komina grzali się nasi przewodnicy.

„No, moi ludzie,“ rzekłem, „Bóg wam zapłać za waszą pomoc, a teraz wracajcie do siebie, bo wam trzeba w nocy przebyć błota, żeby was kto nie spostrzegł.“

„Prawda, święta prawda!“ rzekł wójt, „nim dzień zacznie, trzeba nam być w puszczy. No! zbierajcie się, panie Jabłoński.“

„Ależ ja takem przemókł,“ odrzekł, „że się wysuszyć muszę. Idźcie, wójcie, idźcie! już ja się sam do domu dostanę.“

„A którydy?“ pytał Pimerski, „w Krukuwie Moskale to was nie puszczą, a błota do jutra nie wyschną przecie... Ej! wy coś bałamucicie, panie strażniku...“

Jakieś pomięszanie okazało się na twarzy zagadniętego w ten sposób, a ja widząc, że tu trzeba skończyć tę scenę, rozpiąłem surdut, ująłem za rękę kindżała czerkieskiego, którym w Łomży od żołnierza kupił, i postępując do niego:

„Słuchaj no ty!“ rzekłem, „tu żartów nie ma, zabieraj się natychmiast!“

„Niech się wielmożny pan nie gniewa,“ ozwał się Pimerski, „pan Jabłoński tak żartuje tylko, on pójdzie z nami!“ a potem skrobiąc się w głowę:

„Ten nóż wielmożnemu panu niepotrzebny,“ mówił, „a mnieby się przydał bardzo!“ i spojrzał na mnie wyraziście, a ja domyśliłem się, że to będzie postrach na strażnika; bez namysłu też podałem mu go. Pocałował mnie w rękę, potem wyciągnął kindżał z pochwy i próbując palcem ostrze:

„Ależ to jak brzytwa!“ mówił, „a szeroki!... żeby człowiek spotkał jakiego draba, toby mu tem łeb ściał od razu!“ i zrobił ruch ręką do gardła strażnikowi, a ten cofnął się, zbladł i wargi mu się trzęsły.

„Nie bójcie się!“ rzekł Pimerski, „uśmiechając się, to na złych ludzi tylko, a wy przecie poczciwi, panie Jabłoński. No! chodźcie z nami!“ dodał, i uderzył go po ramieniu.

Wezwany tym razem nie ociągał się; wyszli na dziedziniec, a my obydwaj z nimi. Pieszko, prowadząc konie w rękę, przebyli ogród, za furtką pożegnali nas i ruszyli; my zaś postaliśmy chwilę, a kiedy chlupotanie wody ucichło, wróciliśmy do dworku.

W piekarni zastaliśmy zupełną zmianę: baby śpiącej nie było, kozuch, co okno zakrywał, drążkami podparty, na stole paliła się

świeca, i ustawione na nim były talerze z wędliną, chleb, ser, masło, dwie butelki wina i szklanki. I przyjęcie ze strony gospodarza zupełnie różniło się od pierwotnego, najmocniej przepraszał nas za swoje obejście z nami, którego powodem była obecność Jabłońskiego, częstował nas z wielką gościnnością i oznajmił nam, że bryczka i konie są gotowe na nasze rozkazy.

„Jeżeli panowie,“ mówił, „do Chorzela nie spotkacie Moskali, i most na Świniusze nie rozebrany, to już łatwiej wam pójdzie; dalej, wynotuję ja panom dwory, do których zajeżdżać macie, a mój parobek odwiezie panów o milę za Chorzale do wsi Krzynowłogi, gdzie mieszka dobry mój przyjaciel Zambrzycki.“

„Z jednym Zambrzyckim,“ rzekłem, „wychowywałem się w Collegium Nobilium.“

„To synowiec,“ odrzekł, „właściciela Krzynowłogi i jego spadkobierca; służy on w Augustowskiej jeździe i już krzyż dostał. Oj! ucieszy się też poczciwy pan Floryan, jak się dowie, żeś pan kolega szkolny jego Seweryna.“

I tak rozmawiając częstował nas, a my go pytali, co znaczyły owe strzały, któreśmy słyszeli będąc za Omulewem. Jeszcze za bytności naszej w Łomży, wszystkich lekko rannych galarami po Narwi odesłano do Warszawy, a dowództwo nad nimi dano ofi-

cerowi z 2. pułku strzelców, nazwiskiem Mękałski, którego znałem w Lublinie, kiedy wraz z Maurycym Mochnackim był w sztabie regimentarza Sołtyka.

„Otóż,“ mówił Nozdrowicz, „jak zaszła bitwa pod Ostrołęką, wylądował on swoją komendę i na furach uchodził z nimi ku Mławie; ależ tu napadło na nich dwa szwadrony huzarów i zaraz kilkudziesięciu naszych co zdrowszych zeskoczyło z wozów, — dali do nich ognia, zabili kilku żołnierzy i oficera, huzary uciekli, a ci na furach ruszyli dalej.“

„Ależ panom czas w drogę,“ mówił, „żeby nim się dzień robi, być za Chorzelami; mała stąd milka, a konie dobre, zaręczam. Skończmy tę butelczynę!“ — i pił za pomyślność naszej podróży, my znowu za zdrowie jego, kiedy drzwi się rozwarły i wbiegła jakaś dziewczyna z rozczochraną głową i z wyrazem przestachu na twarzy:

„Moskale na dziedzińcu!“ zawołała.

„A dużo ich?“ spytał Nozdrowicz.

„Czterech, albo pięciu!“

„No to pogadamy z nimi!“ odrzekł mój towarzyszy i dobyliśmy szabli.

„Na Boga!“ zawołał gospodarz, „skryjcie się panowie w spizarcę, w oknie krata drewniana, za oknem sad i dziedziniec; ja wyjdę do nich!“ — i zaraz wybiegł, a my wnieśli

świecę do spizarki, zaczęliśmy wyłamywać kratę, kiedy w piekarni usłyszeliśmy wykrzyknik i śmiech Nozdrowicza.

„Co to?“ pytaliśmy.

„Ta utrapiona dziewczka“ mówił, „spala w pokoju żony mojej, — wyrzała na ganek i ludzi panów wzięła za Moskali.“

Po tym fałszywym alarmie pożegnawszy serdecznie naszego gospodarza, wsiedliśmy do wózka parą silnych koni uprzążonego; jeden z naszych ludzi przywiązał konia swego do bryczki i wsiadł z nami, drugi prowadził nasze wierzchowe, i tak opuściliśmy Zambrów.

Przejeżdżając przez wieś widzieliśmy leżących zabitych Moskali, potem ponad samą granicą, którą odznaczały ognie czartaków pruskich, wywartym kłusem a często galopem dążyliśmy do Chorzel. Po półgodzinnym takim biegu dojechaliliśmy do lasu, brzegiem którego ciągnęły się gęste zarośla; koło nich zatrzymał nasz parobek konie i odwracając się do nas:

„Tego lasu,“ mówił półgłosem, „zaledwie parę staj jest; tuż za nim są Chorzele; niech panowie tu zaczekają, ja dopadnę do miasta, dowiem się, czy Moskali nie ma i czy jest most na rzece.“

Przystaliśmy na to, a on wjechał w krzaki, odwiązał luźnego konia, wsiadł na niego i ruszył do Chorzel.

Zmęczony dwudniową konną podróżą, położyłem się na wózek; pomimo jednak znużenia nie zasnąłem i z natężonym słuchem patrzałem przed siebie, kiedy lekki wietrzyk, uchylając nieco gałęzie choiny, odkrył mi światło, które, zdało mi się, daleko bliżej nas było jak ognie czartaków pruskich. Zwróciłem na to uwagę mego towarzysza, a ten przekonawszy się, że to nie złudzenie, — powstał, stanął na siedzeniu, a przypatrzywszy się:

„Moskale!“ szepnął mi.

„Daleko?“ spytałem.

„Z półtorasta kroków!“ odrzekł, „czterech śpi, a czterech konie trzyma.“

Udzieliliśmy tę wieść naszym ludziom, zalecając, żeby się cicho zachowali; a chociaż żądny nam był powrót naszego wystawnia do Chorzel, nie mniej obawa była, żeby głośno zagadawszy, nie zdradził obecności naszej.

W tem odezwał się w krzakach poświst wilgi, co nas dziwiło, bo żaden ptak nie odezwał się jeszcze, a wiedzieliśmy, że wilga to nie ranny ptaszek. Świstanie się powtórzyło, a mój służący trącił mnie po ramieniu:

„To nie ptak świszczę,“ mówił, „to człowiek, bo słyhać szelest między krzakami!“ — a że ten dochodził z przeciwnej strony jak stał patrol, nie mogli to więc być Moskale.

Na chybił trafił i ja świstnąłem jak wilga i zaraz szelest się zbliżył; potem rozsunęły się gałęzie i z pomiędzy krzaków wyszedł nasz wystawniec do Chorzel. I on spostrzegł Moskali, a nie mogąc trafić na miejsce, gdzieśmy stali, świstaniem jak wilga oznajmiał obecność swoją.

„Moskali niema,“ rzekł półgłosem „i most cały; niech panowie siadają na konie.“

Zrobiliśmy co radził, a on wziął swoje konie przy pysku, zwolna przeprowadził je na drogę, potem wszyscy ze wzrokiem zwróconym na opodal stojący patrol stępo dojechaliśmy do lasu, a wraz z nim galopem ruszyliśmy i w kilku minutach byliśmy w Chorzelach.

Chociaż dzień zaczynało, wszystko spało w mieście, pies nawet nie zaszczekał, a my stępo jechaliśmy ku karczmie, która frontem stała do rynku, a długa stajnia ciągnęła się ku nam. Zbliżywszy się do niej ujrzeliśmy żyda, który przychylił się i patrzył na nas ciekawie. Bliżka obecność patrolu wzbudziła w nas obawę, żeby żyd nie dał znać o naszym przyjeździe; trzeba więc było koniecznie usunąć go.

Po krótkiej naradzie podjechałem ku niemu:

„Żydie,“ zawołałem, „chodź no!“

Zbliżył się z niedowierzaniem, a kiedy mi się przypatrzył:

„Co wielmożny kapitan chce?“ zapytał.

Puściłem cugle, lewą ręką wyjąłem z kieszeni rubla i pokazując mu go:

„Zmieniaj mi prędko!“ rzekłem.

Tym razem podszedł śmiało, i kiedy wyciągnął rękę po pieniądz, — ja prawą uchwyciłem go za pejsy.

„Gwałtu! co to?...“ zawołał wylekły.

„Cicho, łajdaku!“ krzyknąłem, „bo cię jak psa ubiję!“ żyd zamilkł, a ja zwracając się w tył:

„Wajnerski!“ zawołałem, „dawaj furasztrik“ a kiedy mi go podał, założyłem go na szyję żydowi, cieńszy koniec przeciągnąłem przez kółko, potem zawiązałem go za kulę od siodła: „Marsz!“ krzyknąłem; jako stimulans skropiłem żyda nahajką — i zaraz kłusem ruszyliśmy wszyscy.

Za mostem wysadzoną drogą jechaliśmy śpieszno; żyd się prosił, żeby go puścić, mówił, że mu sił nie staje, — ale widok podniesionej nahajki doskonałą był podniętą; i choć pogubił patynki, choć pończochy porwał w kawałki, biegł ciągle; ależ stanąwszy przed gankiem w Krzynowłodze padł jak nieżywy.

Z największą uprzejmością przyjął nas pan Zambrzycki; dowiedziawszy się, że ja jestem kolegą szkolnym jego synowca, był

mi rad niezmiernie. Powiedział on nam, że Ojzyn, majątek Brunona Kicińskiego, do którego dostać się pragnęliśmy, leży na uboczu; najprostsza zaś droga do Modlina jest na Słupsk, majątek jenerałowej Jaraczewskiej, Krasieńskiej z domu, a ten dzierzawi dawny wojskowy z Księstwa Warszawskiego, kolega jenerała, którego nazwiska nie pamiętam. Do niego tedy obiecał nas odstawić. Po śniadaniu poszliśmy odwiedzić naszego żydka, który po dwóch szklankach herbaty przyszedł do siebie, a dukat dany przez nas sownie wynagrodził mu stratę pantofli i pończoch. Wkrótce potem wyruszyliśmy w drogę i bez żadnej przygody o południu stanęła bryczka nasza przed dużym dworem w Słupsku.

W sieni zastaliśmy kilku ludzi krzątających się i ci nam powiedzieli, że w tej chwili jest obiad, na którym jest dużo gości, ale się już kończy. Jakoż w przyległym pokoju słyszać było gwarną rozmowę.

Nikt nas nie widział zajeżdżających, toteż za ukazaniem się naszym, cichość się zrobiła w tem liczmem zebraniu (bo było ze trzydzieści osób), i jakieś podziwienie malowało się na wszystkich twarzach. Gospodarz powstał do nas i pytał, kogo ma przyjemność powitać? — ależ przy tylu świadkach ani nazwiska ani celu naszej podróży nie chcie-

liśmy objawiać: dlatego towarzysz mój odrzekł krótko, że jesteście podróżni i pytamy, czyby nie można dostać koni do Płońska?

„Konie się może znajdą,“ odrzekł, „przejdziemy na tamtą stronę, to pomówimy o tem.“

Potem odwrócił się do gości swoich, a ci powstali; kobiety przeszły koło nas, potem my z gospodarzem, a kiedyśmy stanęli w bawialnym pokoju, towarzysz mój prosił go o chwilę rozmowy na osobności, a ten nam wskazał przyległy pokój.

Zaraz na wstępie powiedzieliśmy nasze nazwiska: moje nieznane mu było, ależ rodzinę mego towarzysza znał dobrze, serdecznie go też powitał. Potem opowiedzieliśmy zlecenie, z jakim jedziemy do Warszawy, a kiedyśmy mówili o zwycięstwie pod Rajgrodem i obecności korpusu Giełguda na Litwie:

„Jakichże to szczęśliwych wieści,“ mówił, „jesteście panowie zwiastunami: w całym bowiem kraju jest wielka obawa o los tej części armii naszej; pozwólcie panowie, żebym udzielił tę pomyślną wiadomość gościom tu zebranym, — to wszystko albo krewni, albo zażyli przyjaciele moi.“

Nie widzieliśmy potrzeby robić sekretu, chętnie też przystaliśmy na to, i wróciliśmy wszyscy trzej do salonu.

Jak przy obiedzie, — za ukazaniem się

naszem ustała ożywiona bardzo rozmowa, a gospodarz zwracając się do obecnych:

„Szanowni państwo!“ rzekł, „miłych i pożądanых mamy gości: ci panowie są adiutantami jenerała Giełguda!“

Na tę wieść okrzyk radości wydali mężczyźni; — „domyślałyśmy się, że panowie wojskowi...“ — wołały kobiety, i otoczyli nas do koła, a gospodarz zwrócił się do żony, której nas zaprezentował.

Wszyscy niemal ozwali się, że znają rodzinę mego towarzysza, a ja myślałem, że jak gospodarzowi, nikomu nieznane moje nazwisko, kiedy powstała wiekowa bardzo dama, i zbliżając się do mnie:

„Czy pan dobrodziej,“ pytała, „krewny pana strażnika koronnego?“

„Jestem wnuk jego rodzony!“ odrzekłem.

„Jakże ja dobrze znałem oboje dziadostwo pana, wiele ja razy z rodzicami byłam w Łańcuchowie..., bo jestem Jabłonowska z domu.“

„To ja znowu, rzekłem, byłam nieraz w Wólce Rokickiej.“

„To znany panu brat mój?“

„Bardzo dobrze,“ odrzekłem, „i łaskaw na mnie.“

Chciała dalej rozprawiać rozmowna staruszka, ale przerwał jej mowę gospodarz, zwrócił się do gości swoich.

„Muszę państwu powiedzieć, jak pomyślnie wiadomości wiozą ci panowie. Korpus Giełguda nie tylko nie zginął, jak tego była obawa, ale przeciwnie pobił nieprzyjaciela pod Rajgrodem, tysiąc przeszło Moskali padło, drugie tyle dostało się do niewoli i teraz jest już na Litwie, gdzie go doścignąć nie może armia Dybicza, a większe siły moskiewskie chyba pod Wilnem napotka.“ Tych wieści z wielką radością słuchali obecni, mężczyźni wypytywali nas o najdrobniejsze szczegóły bitwy; zawiętej, panie z uniesieniem podziwiali odwagę walczących, a wszyscy obu nas (jako zwastunów tych pomyślnych wiadomości) otaczali szczególnem staraniem. Wniesiono do salonu nakrycia dla nas obu, a gospodyni i wszystkie panie raczyły nas, gospodarz dużym kielichem wniósł zdrowie nasze, potem pił za pomyślność sprawy narodowej, dalej dzielnych jej obrońców i byłoby tego bez końca, bo przedmiotów do toastów nie brakło, ależ wymówiliśmy się konieczną potrzebą spieszego wyjazdu. Jakoż niebawem po czułem bardzo pożegnaniu wsiedliśmy do bryczki, która nas odwieść miała do jakiejś pani majorowej Pisarzewskiej, mieszkającej o parę mil od Płońska. Kiedyśmy weszli do jej domu, ujrzelśmy małą figurę wyprostowaną (jakby kij połknęła); z kwaśną dosyć miną pytała

nas, czego żądamy, a dowiedziawszy się, rzuciła nam wysłać przodem konie nasze do Płońska i zapewniła, że niebawem będzie gotowa bryczka, która nas odwiezie. Jakoż zaraz poprzedzeni przez stajennego, wyruszyli ludzie nasi, a pani majorowa zapewniała nas, że prędzej od nas staną w Płońsku, bo pojedą krótszą jakąś drogą, dla konnych tylko przystępną. Niebawem wniesiono kawę, a kiedyśmy ją pili, pani majorowa opowiadała nam o mężu swoim, który służył w augustowskiej jeździe, o czułem rozstaniu z nią, kiedy wychodził na wojnę, i o jej niepokojach na wieść o każdej stoczonej bitwie, a głos jej cienki jak dzwonek loretański, trochę i gęste libacye u pocziwego dzierżawcy Słupska, tak narkotycznie na mnie działały, że jużem zasypiał, kiedy z za otwartego okna zawołał ktoś, że kozaki jadą. Zerwaliśmy się obadwa a przestraszona majorowa załamując ręce z krzykiem biegała po pokoju. Umykać nie było na czem, bo konie nasze poszły do Płońska, trzeba więc było skryć się.

„Ja idę do stajni,“ zawołał mój kolega, „i będę udawał stajennego.“

„A ja,“ rzekłem, „do kuchni, przypnę fartuchy i będę siekał kotlety;“ i wzięliśmy za czapki, żeby wykonać ten projekt, kiedy zatrzymała mnie majorowa i składając ręce:

„Panie kochany,” zawołała, „ogol pan wąsy.”

„Ale czem?” odrzekłem, „gdzie brzytwa! mydło!”

„Oj! ogol pan, ogol!” wołała, załamując ręce.

„Jabym sobie i głowę ogolił,” odrzekłem, „żeby tylko było czem.”

„Siadaj pan,” mówiła jak w gorączce, „ja panu je ostrzygę przy samej skórce.”

„Dajże mi pani pokój,” zawołałem zniecierpliwiony i ręką ją odsunąłem, kiedy stojący za oknem zawołał, że kozaki skracają na drogę do Ciechanowa. Spojrzeliśmy przez okno, na końcu długiego parkanu, co się ciągnął na prost domu, widzieliśmy kilkunastu kozaków, którzy zamiast na prawo ku wsi, zwracali się na lewo.

Tak minęło i to niebezpieczeństwo, uspokoiła się wystraszona majorowa i ocalały wąsy moje, o całość których jako o bardzo niedawny nabytek, wielce mi chodziło. Dopiliśmy napoczętą kawę, zaszły konie pani majorowej i jakieśmy wnosić mogli, z wielką dla niej pociechą pożegnaliśmy ją. W niespełna półtorej godziny byliśmy na rogatkach Płońska, gdzie trzymała wartę gwardya narodowa z żydów złożona, a jakiś burmistrz czy ławnik pytał nas, kto jesteśmy, a kiedyśmy odrzekli, że oficerowie polscy:

„Czy nie adjutanci generała Giełguda?” zapytał.

„A skądże pan wiesz o tem?” odrzekliśmy zdziwieni.

„Bo tu przybyło jakichś dwóch ludzi z końmi wierzchowymi, którzy dziwne opowiadają rzeczy i mienią się być sługami dwóch adjutantów generała Giełguda do Warszawy jadących.”

„Istna to prawda,” odrzekliśmy, „a gdzież oni są?”

„Zaraz panom pokażę,” mówił „do Judki, czy wiesz?” spytał furmana.

„Wiem, wiem,” odrzekł, a burmistrz wskoczył do bryczki i niebawem stanęliśmy przed sporym murowanym domem. W dużej izbie ze dwadzieścia osób obstało stół, za którym siedział mój Wojnerski, przed nim szklanka wina, a on rozprawił okrutnie. Za ukazaniem się naszym wyszedł, rozmawiający zaś z nim otoczyli znowu przybyłego z nami burmistrza, a pomówiwszy z nim nieco, zwrócili się do nas i tysiącem pytań zarzucali. Jakiś oficer od weteranów powiedział nam, że przed parą godzinami przybył do niego z Modlina podoficer z rezerwy 2. pułku ułanów dla powzięcia wiadomości, i tego przodem chce wysłać, żeby zawiadomił gubernatora twierdzy o naszym przybyciu. Jakoż przywołał go, a ten rozmó-

wiwszy się z nami wyjechał zaraz. Niebawem i my opuściliśmy Płońsk, uradowani, że po tylu różnych przygodach byliśmy bliżej celu podróży, to też wesoło rozmawiając jechaliśmy dużym lasem, za którym jak mówił furman, leży Modlin. Wystrzeliwaliśmy właśnie pistolety nasze, kiedy z dala ukazał nam się ładny powozik, parą anglezowanymi uprężony, końmi, w nim siedział generał od artylerii. Był to Leduchowski, gubernator Modlina, wielkiej zaćności, poświęćenia i odwagi człowiek.

Kto go zaznał, temu pewien jestem, utkwiała w pamięci ta piękna i ujmująca postać, to obejście nacechowane niezatartym pięćnem, jakie wyciska staranne wychowanie i dobre towarzystwo. Nie miał on nogi, a to kalectwo jakiegoś dziwnego uroku dodawało tej delikatnej kobiecej prawie urodzie, która zwróciła uwagę cesarza Napoleona.

Przyszedł on na świat w Galicyi, odbierał wychowanie w szkole wojskowej w Terezyanum a kiedy się otwierała kampania 1809 roku, awansowany został na oficera do artylerii konnej. W bitwie pod Ratyźboną dostał się do niewoli i z wielu innymi przyprowadzono go przed Napoleona w chwili, kiedy kula tyrolskiego strzelca raniła cesarza w nogę, a Larrey opatrywał mu ranę. Napoleon rozdrażniony tym postrzałem, surowo patrzył

chwilę na grono oficerów austriackich, a potem wskazując ręką na naszego młodzieńca:

„Jak się nazywasz?“ — zapytał.

„Leduchowski“, odrzekł.

„Polak“, zawołał cesarz, „i służyysz tym, co pierwsi twój kraj rozegrali?“

„Najjaśniejysz panie!“ odrzekł Leduchowski, „wychowany w szkole wojskowej w Wiedniu, zostałem oficerem, kiedy się ta kampania zaczęła, honor mi więc w takiej chwili nie dozwolił opuścić sztandaru mego.“

Cesarz, który wysoko cenił to uczucie powinności, łagodnie patrzył na młodzieńca.

„Pojmuję ja to“, mówił, „ale teraz cóż zrobisz?“

„Jeżeli wola waszej cesarskiej moćci, z rozkoszą wejdę w szeregi bratnie.“

„Pozwalam“, odrzekł Napoleon, a odwracając się do sztabu, „Berthier,“ zawołał na księcia Neuchatel, „napisz zaraz do Poniatowskiego, że go jako porucznika umieszczam w artylerii konnej.“

I tak w wojsku polskim rozpoczął Leduchowski świetną karierę swoją. We wszystkich wojnach po rok 1814 odznaczał się, nagrody go też nie minęły i jako pułkownik wszedł do armii dowodzonej przez wielkiego księcia, potem awansował na generała a w czasie powstania 1830 r. powierzono mu obronę

Modlina. Kiedy się zrównał powóz jego z nami, zatrzymał się.

„Czy panowie nie jesteście adjutantami Giełguda? — zapytał.

„Tak jest“, — odrzekliśmy.

„Ja wyjechałem na spotkanie“ — mówił — proszę z sobą.“

Powiedzieliśmy mu zaraz nazwiska nasze, te, pokazało się, nie obce mu były, poczem wsiedliśmy do jego powozu, a ten zwrócił się do Modlina. Przez drogę pobieżnie mówiliśmy o pochodzie naszym z Łomży, o bitwie pod Rajgrodem i dalszych projektach Giełguda, ale kiedyśmy stanęli w kwaterze jego, rozłożył mapę i wypytywał nas o najdrobniejsze szczegóły. Ile nam wiadomo było, Giełgud miał zamiar przejść Niemen w Giełgudyskach, może dlatego, żeby czyn wkroczenia na Litwie zespolić z nazwiskiem swoim, potem iść na Rosienie do Szawel, żeby wesprzeć powstania tamtejsze, stamtąd zwrócić się ku Wilnowi, które zajmowały gwardye, co wyszły z Warszawy z wielkim ks. Konstantym. Potem szczegóły przejścia naszego były przedmiotem rozmowy, a generał uważał je za traf bardzo szczęśliwy, „który nie wiem, czy się powtórzy“ — mówił, a wieści, które wieziemy, za arcyważne; i nie pomylił się w twierdzeniu swoim, bo nikt z wysłanych po nas z Litwy nie dostał się

do Warszawy. Zapatrywanie się generała na przyszłość sprawy naszej nie było pocieszające. Utrzymywał on, że prędzej czy później ulegniem strasznej przewadze liczebnej; bo kiedy u nas przerzedzające się co dzień szeregi nasze zastępować trzeba rekrutem, którego nie stanie w końcu, ubytek u przeciwników zastępuje wyrobiony żołnierz, pomimo to jednak, mówił, wytrwać do końca jest naszym obowiązkiem.

„Co do mnie — mówił — mam ja już plan ułożony. Moskale od strony Pragi zdobyć Warszawy nie mogą; przejście Wisty, w jakimkolwiek punkcie, wielkimi ofiarami okupićby musieli, i skutek jeszcze wątpliwy; wnoszę więc, że będą się starali zdobyć Modlin; w takim razie postanowiłem bronić do ostatka, a jak wystrzelę ostatni ładunek, jak ujrzę sztandar moskiewski na murach Modlina, wtedy wysadzę twierdzę w powietrze...“

Tu zamilkł, a my z podziwieniem patrzaliśmy na niego, bo na tej łagodnej twarzy wybitnie malował się wyraz jakiejś strasznej energii.

„Prócz dwóch dawno mi znanych sztabsoficerów nikt z podkomendnych nie wie o tem postanowieniu mojem, nie dlatego żebym nie dowierzał ich odwadze, tem mniej obawiał się zdrady, ale niejeden z nich ma żonę, którą

kocha, dzieci, dla których życie jego jest kondycją bytu, jakże takiemu odjąć wszelką nadzieję i skazać go na śmierć. O ja wiem z doświadczenia, co to za walkę stoczyć z sobą trzeba, żeby się dobrowolnie skazać na wieczny trzebrat z tem wszystkim, co człowiek ukochał, dlatego zleciłem żonie i dzieciom, które tu co tydzień przyjeżdżają, żeby zaniedbać odwiedzin, bo widok ich takie mi uczucie sprawia, jak nóż obracany w bolesnej ranie."

I znowu zamilkł a na twarzy jego miejsce energii zastąpił smutek wspomnieniem rodziny wywołany.

Zapatrywanie jenerała nie sprawdziło się, bo Moskale przeszli Wisłę pod Nieszawą, a kiedy Warszawa kapitulowała, tem upadł i Modlin. Zaraz po wojnie wszedłem w bliskie stosunki z całą rodziną jenerała, i byłem naocznym świadkiem, jakim przywiązaniem a czułością prawdziwie macierzyńską otaczał on dzieci swoje, i wtenczas pojąłem całą doniosłość ofiary, jaką zrobić był gotów.

Wieczór nam zeszedł na miłej a pouczającej dla nas pogadance; przenocowaliśmy, a o świcie wyszły przodem nasze konie, a nieco później i my wyruszyć mieli. Droga z tej strony Wisły nie była pewną, bo Kozacy w Jabłonnice bywali; kazał też Leduchowski przygotować szalupę kanonierską, która nas

przez Wisłę przewieść miała, i wkrótce pożegnawszy czule zacnego jenerała, znaleźliśmy się na drugim brzegu, skąd pocztą jechaliśmy do Warszawy. Przez drogę rozmawialiśmy o tem energiczmem postanowieniu Leduchowskiego, robiliśmy uwagi, jak zwodnicze są często pozory, bo nikt z powierzchowności jenerała nie wniósłby, że takiego hartu dusza ożywia to wątle na pozór ciało; mimowolnie zadawaliśmy sobie pytanie, czy w pokoleniu, którego byliśmy dziećmi, znaleźliby się ludzie zdolni takiego poświęcenia?... Przyszłą, żeśmy wątpili, ale wkrótce czyn bohaterski Ordona przekonał nas, że pokolenie, którego nie zaraziły namiętności polityczne, co wierne tradycji przeszłości, walczy tylko za byt i swobodę kraju, takie pokolenie nie odradza się od ojców swoich.

O pół mili przed Warszawą zastaliśmy czekających na nas ludzi i konie nasze, które przodem wyszły i zaraz odesławszy pocztę wsiedliśmy na koń.

Nie mogę wypowiedzieć, z jaką rozkoszą znaleźliśmy się na rogatkach Warszawy, a kiedy zapytani powiedzieliśmy, z czem jedziemy, wierzyć nam nie chciano, i dopiero ukazana ekspedycja do wodza naczelnego przekonała o prawdzie naszego twierdzenia. Na tę wieść zaczęli się zbiegać ludzie, a wielka

musiała być obawa o los Giełguda, bo oznakami najwyższej radości podawali jedni drugiem tę wiadomość pocieszając a lotem błyskawicy biegła ona przed nami, toteż im głębiej zapuszczaliśmy się w miasto, tem gęstsze napotkaliśmy kupki ludzi, którzy za zbliżeniem się naszym wołali: ot jadą z oddziału Giełguda! Koło arsenału wielkie zbiegowisko, zatrzymano nas, musieliśmy w krótkości opowiedzieć rzecz całą, a wszyscy okrzykami przyjęli tę wiadomość pożądaną, poczem jechaliśmy na Pragę, gdzie była główna kwatery. Sprawiwszy się przed wodzem naczelnym, łaskawie przez niego przyjęci, byliśmy w kilka godzin potem na uciecie, którą koledzy dawali dla nas, i ta do późna przeciągnęła się. O jakże noc ta była różna od tych, któreśmy spędzili w puszczy myszenieckiej. Tylko w zawodzie żołnierskim napotkać można te raptowne przejścia z niebezpieczeństwa do uciechy, a błogie uczucie wewnętrzznego przekonania o dopełnionym sumiennie obowiązku staje za wszelkie nagrody i sowicie wynagradza trudy.

Ten drobny epizod nie odznaczający się niczem szczególnem przytoczyłem jedynie na poparcie założenia mego, że poza obrębem boju, przygody są nierozdzielne prawie z wołaniem żołnierza, a częstokroć przykrzejsze

do zniesienia niż strzały armatnie, bo tu niebezpieczeństwo na godziny się liczy, tam zaś dnie się spędza z tym zawieszonym nad głową mieczem Damoklesa; tam się ginie od kuli, tu schwytany między stanowiskami armii nieprzyjacielskiej, bez mundur, bez dowodów, że jest wojskowy, jak szpieg prosty, haniebną może zginąć śmiercią... Tylko niedoświadczeniem młodego wieku usprawiedliwić można dobrowolne podjęcie się takiej misyi.

* * *

Stare pułki polskie, co walczyły w kampanii 1831 r., były tak wyrobione, tak dzielne miały organizacyą i dokładność w obrotach, że korzyści, jakie odnosiły nad rosyjskim żołnierzem, niezgrabnym z natury, idącym w ogień nie pod wpływem zapału, ale groźby, dziwić nikogo nie mogą. Co jest godne uwagi, to że nowosformowane pułki, złożone z parobków od roli i ochoczej ale niedoświadczonej młodzieży, co im przewodziła, w krótkim bardzo czasie dorównywały starszym braciom swoim i szczęśliwie staczały boje z silniejszym liczebnie nieprzyjacielem. O każdym niemal z nich byłoby coś do powiedzenia, ależ ja wspomnę tu tylko o dziesiątym pułku ułanów (lubelskim), którego czyny dobrze mi są znane. Dowodził nim pułkownik, potem generał Ja-

raczewski, były szef szwadronu gwardyi szwoleżerów, a pomiędzy sztaboficerami szczególnie odwagą i przytomnością umysłu odznaczał się podpułkownik Leon Podchoroadeński, były oficer artylerji konnej z Księstwa Warszawskiego, i Mikołaj Kamiński, z pierwszego pułku ułanów na kapitana, a po owym czasie na majora awansowany. *)

Wspominałem wyżej o formacyi tego pułku, który w sześć szwadronów wyszedł 8. lutego z Lublina, złączył się z korpusem stojącym w Siedlcach, w odwrocie ku Warszawie siedł on w ariergardzie, odpierał nacierającą kawalerją rosyjską, i w ciągłym ogniu przez te mil dwanaście, dał pierwszy dowód odwagi i krwi zimnej, zalety tak trudnej do zachowania przy odwrocie nawet u doświadczonego żołnierza.

W kilkanaście dni potem była bitwa pod Grochowem, dziesiąty pułk ułanów przydzielony do dywizji Krukowieckiego, co walczyła pod Białoleką z grenadyerami Szachowskiego, przez kilka godzin był w asekuracyi dział i pomimo straty, jakie poniósł w koniach i ludziach, stał niewzruszony w tem najprzykrzejszem położeniu dla kawalerji. Cały miesiąc marzec zeszedł na przygotowaniach do nowych bojów i małych podjazdowych

*) Dzisiaj generał włoski.

utarczках, i dopiero w kwietniu wyruszyło wojsko w pole i świetnemi zwycięstwami pod Wawrem, Dębem, Iganiami, inaugurował generał Skrzynecki dowództwo swoje. Pułk lubelski należał do korpusu generała Umińskiego, który zajmował pozycyą nad Liwcem i częste staczał utarczki.

Jednego dnia przyszedł do głównej kwatery Umińskiego chłop jakiś i doniósł, że koło wsi Mokobudy zwanej, stoją dwa szwadrony pułku Patarskiego ułanów obozem rozłożone, konie ich w podszościach na prędkie wzniesionych, żołnierze w barakach pomieszczeni.

Chłop tak dokładnie opisał miejscowość, tak dobrze skreślił drogę z Mord do Mokobud wiodącą i tę, co w przeciwnym kierunku z obozu moskiewskiego do Stanisławowa prowadzi, że Umiński postanowił zrobić nocą na nich wyprawę i przeznaczył na nią, szwadron 3. szaserów, i pierwszy 10. ułanów, dowództwo nad oboma objął major M. Kamiński, o którym wyżej wspominałem.

Skoro się dobrze ściemniło, wyruszyli tedy, poprzedzeni przez chłopą, którego przez drogę Kamiński wypytywał o najdrobniejsze szczegóły miejscowości dotyczące, i wskutek takowych ułożył plan napadu. W przekonaniu, że Moskale od strony Stanisławowa i Węgrowa,

gdzie stały główne ich siły. mniej ostrożności zachowywać będą, jak od strony Siedlec, gdzie byli Polacy, postanowił obejść ich stanowisko i z tyłu na nich uderzyć. Dlatego skoro przewodnik oznajmił, że są już w bliskości nieprzyjaciela, zatrzymał w krzakach cały swój oddział, sam zaś z chłopem wyjechał naprzód. Z małego wzgórza ujrzał dogorywające ognie obozowe. Wrócił zaraz do swoich, na drodze ustawił pół szwadronu szaserów, a na skrzydłach rozsypał dwa pozostałe plutony na flankiery i dał rozkaz, żeby w tym szyku, skoro usłyszą gwar napadu, klusem dążyli ku Mokubodom i chwyтали tych, co w tę stronę wymykać będą, sam zaś ze szwadronem 10. ułanów ruszył wraz z przewodnikiem ku drodze od Stanisławowa wiodącej. Stanąwszy tam w pewnej odległości od obozu Moskali, wyprzedził szwadron w towarzystwie Roterunda, nadkompletnego oficera; a o paręset kroków za nimi postępował szwadron. Najechali oni stojącego na wedecie żołnierza, który posłyszał wprawdzie stąpanie jadącego szwadronu, ale w przekonaniu, że to swoi, rekonesans ze Stanisławowa idący, dla formy tylko zapytał zbliżających: „kto idzie?” Rotermund przemówił do niego po rosyjsku, a kiedy się z nim zrównał Kamiński z jednej, a towarzyszył jego z drugiej, pochwycili go za kołnierz

i uprowadzili do swoich. Wypytywany wylekłszy żołdat opowiedział, że jeden tylko pluton ich ma omunsztukowane konie, reszta zaś dywizyonu osiodłane wprawdzie, ale nie podpięte podpręgi i doniósł przytem, że placówka z ośmiu ludzi i podoficera złożona stoi z daleka od miejsca, na którym się znajdują.

Sprzątnąwszy tedy wedetę, pewni, że nie ich pochodu zdradzić nie może, szli wolno naprzód, a kiedy byli tak blisko obozu, że twarze siedzących przy ogniu Moskali roznać można było, Kamiński podniósł szablę w górę i z okrzykiem hura! wpadli w obóz. Nie do opisania przestach ogarnął Moskali, tłoczyli się jedni na drugich, kryli się w baraki, największa część broni rzucała wołając o pardon, przestraszone hałasem i strzałami konie wyrwały kółki, do których były przywiązane, i uciekały w pole, gdzie je chwyтали rozsypiani ua flankiery strzelcy, jeden tylko ów pluton, co miał okiełzane konie, dopadł ich i uchodził, ależ wpadł na szaserów, którzy go zabrali. Oba tedy szwadrony, trzysta przeszło ludzi i koni, dziesięću, czy dwunastu oficerów, dostało się do niewoli, a te korzyści osiągnął jeden szwadron lubelskiego pułku.

W kilka dni potem idąc na rekonesans ku Siedlcom koło małej osady leśnej, Puśtelnik zwanej, ujrzeni pod lasem uszykowaną

kawalerią nieprzyjacielską; był to pułk hużarów Pawłogrodzkich, jeden z najstarszych pułków tej broni, który jeszcze w wojnach z Napoleonem dostał jako nagrodę napis na kaszkietach: „za odznaczenie“ (za adliczje) a w niedawnej kampanii tureckiej utrzymał dawną sławę swoją. Skoro ich ujrzeli nasze ułany, i oficerowie i żołnierze niezmierną chęć uderzenia na nich objawili i na usilne ich prośby pojechał Kamiński do generała Müllera dowódcy brygady, prosząc o pozwolenie zrobień szarży.

Jakkolwiek pułk lubelski dał już niejedną dowód odwagi i był w kilku spotkaniach, nigdy jednak nie robił jeszcze szarży całym pułkiem, obawiał się tedy generał, żeby przy tej pierwszej próbie nie zrazić młodego żołnierza, nie chciał też z początku dać przyzwolenia, ale kiedy Kamiński zaufany w odwagę podkomendnych swoich, zapewnił go, że oficerowie pójdą naprzód, a żołnierze ich nie odstąpią, wtedy zgodził się na to, a Kamiński powiolił pułkowi rozkaz uderzenia na hużarów. Okrzykiem radości przyjęli żołnierze tę wieść pożądaną, a kiedy ruszyli z miejsca, Rochetin, jeden z oficerów piękny głos mający, zanucił ulubioną pieśń pułkową:

Wstań biały orle, wstań,
Czarne pióra z siebie zruć.

Kilkadziesiąt dobranych głosów chórem śpiewało tę pieśń wojenną, której tony dochodziły do uszu Moskali, zdziwionych tą ochotą młodego pułku, który pogardliwie „opałczeniem“, ruchawką zwali. Plutonami uformowani postępowali tedy nasi, doszli do niedużej grobli, co ich dzieliła od Moskali; wążkie to miejsce wymagało zmiany szyku, toteż Jaraczewski zatrzymał pułk, zebrał oficerów naczelnego dywizyonu, wzywał ich do mężnego natarcia i zapewniał, że prócz chwały, jaką się okryć mogą w tem spotkaniu, wielkie moralne korzyści odniesie pułk cały, bo wyrodi się w żołnierzach zaufanie i wiara w siebie, a ci w odpowiedzi oświadczyli, że wszyscy pragną iść naprzód. Pochwalił tę ich gotowość pułkownik, i zaraz wachmistrze stanęli przed plutonami, a oficerowie sformowali dwie szóstki, i poprzedzeni przez Jaraczewskiego i Kamińskiego szli na czele. Kłusem ruszył pułk cały, a taki zapał ożywił tę ochotę młodzieży, że prości żołnierze rowami starali się wymijać oficerów, żeby być na przedzie. Hużary widząc z dala idący ten pułk nowy na małych koniach siedzący, nie przypuszczali z początku, żeby śmiał spotkać się z nimi, ale kiedy ci weszli na groblę, nie mogli wątpić, że do starcia przyjdzie, toteż i oni posuwali się naprzód,

trzymając w ręku karabinki. Zaledwie połowa pierwszego szwadronu naszych minęła groble i wysunęła się na pole, Moskałe dali ognia, i zaraz padł koń pod Jaraczewskim, a wszyscy na komendę Kamińskiego marsz! marsz! wypuścili konie. Niema narodu mniej usposobionego na kawalerzystów jak są Moskałe, a organizacja ich i uzbrojenie zamiast ułatwić ruchy żołnierzowi, uniemożliwia je; konie ich bowiem spase, sianem karmione, mają owiste brzuchy, stąd terlice nie w połowie konia, ale na karkach prawie leżą, a ciężar jeźdźcy i pakunku, zamiast rozkładu na całego konia, na przodzie tylko spoczywa; sztywna postawa jeźdźcy podanego naprzód, z piętami do konia wykręconemi, przeszkadza swobodnym ruchom ręki, a przesadne uzbrojenie zawadą i przeszkodą raczej jak środkiem obrony było. W kampanii bowiem 1831 roku huzary, kirasyerzy nawet, dostali lance, dźwigał więc taki żołnierz, prócz pałasza, karabinka, ładownicy, jeszcze lancę, z którą się obejść nie umiał, a ta ilość niepotrzebnego rynsztunku była tym razem powodem ich klęski. Zaraz po ich strzale poskoczyli ułany, a huzary nim spuścili na flintpasach wystrzelone karabinki, nim zdążyli wyrwać lance z tulejek i zdjąć je z tembla, już Kamiński powalił na przedzie stojącego oficera, potem spał konia,

skoczył we front, za nim tuż będący koledzy: rozbili ten pierwszy pluton, który wpadł na idący za nim, a jednocześnie następne oddziały ułanów, co szły w odstępach plutonowych, rzuciły się w prawo i lewo i z boków uderzyli na huzarów. Zbitych w bezładną kupę, kłuli i rąbali ułany; niektórzy oficerowie, jak Żagorski, kapitan Rulikow, dziewiętnastoletni Wiktor Rozwadowski, po kilku, kilkunastu z koni zsadzali i dużą miłą do Okuniewa gnali ich, biorąc po drodze niewolnika i zabierając konie, a cenna to bardzo była zdobycz dla pułku, co miał bardzo zniszczone swoje.

Muszę tu wspomnieć o wypadku, jaki w tem spotkaniu miał miejsce, a który jest jednym z tych dziwnych wydarzeń, w jakie obfitują annale wojskowe. W trzecim szwadronie był żołnierz, dosyć niezgrabny, wielki ospalec, za co często był strofowany, słowem nie osobliwe indywiduum; otóż w owej szarży pchnął on lancą jakiegoś huzara tak silnie, że nie tylko grot, ale kawał drzewca uwięzło w nim, i to pękło pod ciężarem walącego się Moskala, rzucił też pozostały odłamek, i dobył pałasza. W tej chwili ujrzał on jenerała, dowódcę brygady, który przypadkowo znalazł się w owej szarży, poskoczył z podniesionym pałaszem do niego, ale ten chcąc uniknąć spotkania, zwrócił konia, wymknął

się na pole i pomiędzy zaroślami, jakie tam były, umykał. Pędził za nim nasz ułan i tak się zaciekł w tej pogoni, że znacznie oddalił się od swoich; nie długo wolnieć począł zmęczony koń jenerała, dojechał go ułan i tak się znowu zapomniał, że miasto rąbać dognanego, uchwycił za poły rozpiętego surduta, które w biegu wiatr rozwiewał; jenerał czując się targniętym, wysunął z rękawów jedną, potem drugą rękę, surdut się został w ręku goniącego, który w przekonaniu, że ściągnął jenerała, osadził konia, a ścigany w koszuli umknął.

Po skończonej szarży nadjechał jenerał Umiński, któremu przedstawiono owego ułana i zdobycz jego; w kieszeni surduta był pugilares, w nim sześćset rubli i miniatura ładnej bardzo osoby; pieniądze stały się naturalnie własnością zdobywcy, miniaturę zaś odesłał Umiński właścicielowi na drugi dzień przez adjutanta swego Niemirycza, za co ten listownie mu podziękował.

Długo armia polska stała w okolicach Siedlec, gdzie częste były spotkania z nieprzyjacielem, a w jednym takim piechota zajęła pozycją pod wsią Zimne-wody, lasem zaś ustępowała ku niej dywizya kawalerii, co odwrót zasłaniała. Moskale z dwudziestu przeszło dział strzelali w las, niebawem i piechota ich weszła w niego, a pękające granaty

i ogień ręcznej broni zmięszali kawalerją. Najprzód trzeci pułk szaserów wypadł z lasu w wielkim nieładzie, nie długo potem augustowski, dalej zda mi się trzeci pułk ułanów, a w kwadrans dopiero potem ujrano wychodzący stępo z lasu pułk lubelski. Stanąwszy na polu, zwrócił on się do nieprzyjaciela, gotowy do natarcia, potem nieparzyste szwadrony ustępowały dwieście kroków, zatrzymały się i zaszły do frontu, a parzyste wchodziły w ustępy pozostawione im; i tak co dwieście kroków zmieniał się ten szyk w eszelony, pod ogniem działowym i karabinowym z dokładnością i spokojem, jakby na placu muśztry wykonany. Ta krew zimna młodego żołnierza podziwienie wzbudziła w piechocie, toteż kiedy ułany dochodzili do niej, wszystkie kaszkiety na karabinach wzniosły się w górę i przeciągły okrzyk „wiwat pułk lubelski“ rozległ się w powietrzu; piękny ten odwrót prowadził podpułkownik Podchoroński. Te przymioty ustaliły reputacją dziesiątego pułku ułanów i ówczesne gazety mówiąc o nim, nigdy go inaczej jak piękny i waleczny pułk lubelski nie nazywały. Prócz odwagi prawdziwy duch żołnierski ożywiał ten młody zastęp; najlepszy stosunek koleżeński istniał między oficerami wszystkich stopni, a na tem nie cierpiały obowiązki służby, bo największą

subordynacją i bezwzględnem posłuszeństwem rozkazom starszych oficerowie dawali przykład szeregowym, i wyrodził się w nich ten rodzaj abnegacyi żołnierskiej, ta gotowość bezwarunkowego spełniania danych zleceń, doświadczonego tylko cechująca żołnierza. Jak oceniano te przymioty lubelskiego pułku, to jest najlepszym dowodem, że kiedy rząd narodowy zanominował generała Ruttic gubernatorem Warszawy, jako szczególną kondycją przyjęcia tej posady postawił żądanie, żeby dziesiąty pułk ułanów konsystował w stolicy. Umiał on samą postawą, gotowością i energią niemożliwymi uczynić wybryki uliczne; i gdyby był pozostał w Warszawie nadal, smutne wypadki nocy 15. sierpnia nie byłyby miały miejsca, sprawa niepodległości uniknęłaby była zarzutu anarchii, a obca interwencja możebnaby się stała.*)

Czynności powstania z roku 1831 opowiadane przez tych, co w niem udział brali, wywołują najczęściej u dzisiejszej młodzieży, nieświadomej rzeczy, fałszywe i bezzasadne ocenianie tamtej epoki, a u ludzi, co nie pomni, że na przeszłości opierają się nieprzedawnione nasze prawa do niepodległości. głoszą zasadę zerwania z nią i tendencyjnie

*) Wiózł ją do Warszawy hr. J. Z. kiedy wypadki nocy 15. sierpnia, dowodzące dążności rewolucyjnych niemożliwą ją uczyniły.

nie mogąc zaprzeczyć, starają się przynajmniej zmniejszyć zasługi powstania z 1831 roku: napotykamy zdanie, że organizacja łatwo w tym czasie dokonana być mogła, bo ją robił regularny żołnierz.

Na początku opowiadania wydarzeń tej epoki wykazałem mówiąc o formacyi nowych pułków, jak mylnem jest to twierdzenie, a teraz na poparcie skreślę czynności powstania podolskiego i wołyńskiego, tak jak je opisali ci, co w niem udział brali, a mianowicie najznakomitszy i wiarogodny przedstawiciel owego podolskiego ruchu, dzielny generał Karol Różycki.

Powiedziałem wyżej, że spiszek wyswobodenie kraju na celu mający istniał tylko między wojskowymi, a wybuch, który nastąpił wskutek niebezpieczeństwa, jakie groziło młodzieży składającej szkołę podchorążych, był niespodzianką nawet dla wojskowych, a zastał kraj cały zupełnie nieprzygotowany. Wieści o tem starannie ukrywane przez Moskali niesporo rozchodziły się po zabranym kraju i dopiero niektórzy obywatele, jak Wincenty Tyszkiewicz, Aleksander Jełowicki, Piotr Sobański, z trudnością przedzierając się przez strażę dla cholery zaprowadzone, zdołali dostać się nad granice królestwa i przywieść jakieś wiadomości o tem, co się tam działo.

Kiedy wróciwszy opowiedzieli, jak stoją rzeczy w Kongresówce, ruch niestłuchany objawił się na całym Podolu; pomimo czujnego oka władz moskiewskich zjeżdżała się szlachta, wybrali komendantów po powiatach, ludzi znanych z energii, pełnych zapału; potem każdy u siebie ujeżdżał konie, gromadził co mógł broni, a ludzi nie brakło, bo kozacy dworscy, szlachta czynszowa i wielu chłopów, wszystko rosło na koniu, zwinne, ochocze, to był element gotowy. Dowództwo powstania za ogólną zgodą objął generał Kołysko, wprawdzie starzec blisko ośmdziesiątletni, ale pełen energii i najlepszymiżywiony chęciami. Obliczono siły początkowe powstania, podzielono je na szwadrony i od powiatów nadano im nazwy, w rozwinieciu bowiem powstania miały one być pierwszymi szwadronami pułków tego nazwiska.

Pierwsi co powstali, byli Jełowiccy ojciec i trzech synowie. Jeden z nich, Edward, marszałek szlachty powiatu stajsyńskiego, wojskowo wykształcony, prowadził ten oddział złożony z sześciuset jeźdźców i sto pięćdziesiąt piechoty i we wsi Krasnosiółce połączył się z Sobańskimi i Rzewuskim Wacławem, który dowodził olbopolskim powstańcom w liczbie 240 koni, oraz z powiatu bałuckiego 150 jeźdźców. W parę dni pod wsią

Ziatkowcami połączył się z nimi szwadron braclawski, nieco dalej spotkali Włodzimierza Potockiego z Daszowa ze szwadronem jazdy i 60 piechoty; 13. zaś maja przybyli powstańcy humańscy w kilkadziesiąt ludzi; nareszcie Kijowanie pod dowództwem Jana Zapołskiego w 500 koni i w dniu tym obliczone siły powstania wynosiły 2.400 ludzi. W Białocerkiewszczyźnie i wszystkich ogromnych dobrach Branickich była wszelka gotowość do powstania i przybyli do Kołyski wysłańcy Białocerkiewszczan z uwiadomieniem, że wszystka drobna szlachta, której jest bardzo dużo na tej ogromnej przestrzeni, nie tylko ma gotową broń i konie, ale trzystu młodzieży ma już całe umundurowanie; dodali przy tem, że znając dobrze usposobienie ludu wiejskiego, między którym żyją, zapewniają, że ten powstanie gromadnie. Żądali przytem, żeby jaki oddział wysłano do Białocerkwi, oni zaś głowami odpowiedzą za prawdziwość swego twierdzenia i jako zakładniki chcą pozostać w obozie. Ułożono tedy zaraz, że skoro staną w Daszowie, który za punkt główny działania obrano, wyjdzie sześć szwadronów do Białocerkwi dla wsparcia powstania. *)

*) Wszystkie szczegóły dotyczące tego podolskiego powstania znane mi są z opowiadania tych, co w nim udział brali, szczególnie zaś trzymałem się pamiętników Aleksandra Jełowickiego, którym dał nazwę *Moje wspomnienia*. Wydane przed 30 laty żadnej one

Zaraz po owej rozmowie z wystąncami ukraińskimi ruszyło wszystko pod Daszów, gdzie był wytknięty obóz; a zaledwie pierwsze szwadrony zaczęły w nim stawać, kiedy w stronie tylnej straży, która nadciągała, dał się słyszeć huk armat. Dowodził nią niejaki Pobiedziński, były oficer z Księstwa Warszawskiego, wielkiej odwagi człowiek; wychodząc ze wsi Lewuch, ujrzał on kilkadziesiąt ułanów moskiewskich, których w jednej chwili rozprószył, i dochodził do Grodku, a za nim postępował pułk jazdy nieprzyjacielskiej, w oddali widno było nadciągające inne, było ich trzy pułki ułanów i cztery działa a dowodził niemi generał Roth. Pobiedziński posłał zaraz z tą wieścią do Kołyski, sam zaś chcąc dać czas całemu oddziałowi szykowania się, zwrócił się do nieprzyjaciela. Kiedy do niego

reklamę nie wywołały, można je więc za źródło prawdziwe uważać. Mówiąc o dążnościach ludności w dobrach Braniczkich, szczególnie przebieg kładzie on na złe usposobienie dla sprawy naszej starej hetmanowej, dożywcotniczkich tych ogromnych dóbr. Nie przeczę temu i łatwo pojąć to zapatrywanie się siostrzenicy Potemkina, ależ uczucie sprawiedliwości każe wypowiedzieć, że jedyny syn jej Władysław nie dzielił w tym względzie zdań matki, czego dowody miałem w ręk. Na samem pograniczu powiatu chełmskiego leżała dobra Uhrsk, własność jen. Stan. Kamieńskiego, Bug tylko przedzielił je od Lubomskiego, gdzie w owym czasie mieszkał hr. Wł. Braniczki; pomimo usilnych nalegań matki nie chciał on jechać do Kijowa i w Lubomlu czekał wybuchu powstania na Wołyniu. Znosił on się listownie z ks. A. Czartoryskim za pośrednictwem niejakiego Sterpińskiego, który w Woli Uhrskiej oddawał listy czekającemu na nie wystawionemu memu, ja je oddawałem A. Wereszczyńskiemu, intendentowi armii, a ten zaufanie księcia posiadający, znał dobrze, co był za przedmiot owej korespondencyi. Tym zamiarom przeszkodził krótkotrwały pobyt jen. Dwernickiego na Wołyniu.

dochodził, w największym pędzie uderzył na naczelną szwadron i rozbił go, spieszył mu na pomoc drugi, ale i ten rozbili powstańcy i już mieli uderzyć na trzeci, kiedy rażony kulą zginął Pobiedziński, a szwadron tym zgonem jakby pozbawiony całej energii, zatrzymał się i nie ścigany przez Moskali, cofać się począł. Nieprzyjaciół ochłonawszy z przestachu i podziwienia, w jakie go wprawiło to śmiałe natarcie stu ludzi na pułk cały, wysuwał się nieśmiało na równinę leżącą pomiędzy Gródkiem a Daszowem. Najbliżej nieprzyjaciela stały dwa szwadrony powstańcze, którymi dowodził major Orlikowski; bez namysłu uderzył na nieprzyjaciela i wszczęła się rzeź straszna, bo nasi kulili i rąbali osłupiałego i wylękanego nieprzyjaciela.*). W tej chwili generał Kołysko na czele dwunastu szwadronów co koń wyskoczy pędził w pomoc tylnej straży, a Roth patrząc na to, co go kosztowały dwa pierwsze natarcia pojedynczych szwadronów, widział oczywistą klęskę w tym ataku całej kawalerii powstańczej, toteż w przekonaniu, że strzałami armatniami zdemoralizuje tego młodego żołnierza, podsunął działa i te kartaczami dały ognia. Nie zmieszało to nacierających, owszem wołali na swego dowódcę, żeby uderzyć na armaty;

*) Wspomnienia A. Jełowickiego.

ależ ten nie skorzystał z tej chwili zapału (który w natarciu kawaleryi w porę wyzyskany niepodobne nieraz osiąga korzyści) i nakazał odwrót, żeby w połączeniu z nadchodzącymi szwadronami uderzyć na nieprzyjaciela. W tej chwili jakiś nędznik, którego pamięć (mówi autor Wspomnień), bogdajby zaginęła, zaczął umykać wrzeszcząc: „Zginęliśmy! 30.000 Moskali, 40 armat, zginęliśmy!”

W jednej chwili miejsce zapału zajęły popłoch niesłychany. Zwróciły się oba szwadrony i uciekać poczęły. Kołysko śmiałem natarciem chciał powetować na cofającym się nieprzyjacielu tej porażki, alez uciekający w zetknięciu się z nadchodzącymi, jak oddech zaraźliwy udzielił im tworgi co ich gnała, wszystko pierzchnęło i te piętnaście szwadronów zbite w bezładną kupę pędziły nazad do Daszowa.

Stary generał rwał sobie włosy z rozpacz: „Dajcie mi choć stu ludzi, wołał, a pobiję ich!” — ale i stu ludzi nie było. Popłoch, co ogarnął żołnierzy, nie miał przystępu do serc tych, co im przewodzili. Izidor i Aleksander Sobańscy, Potoccy, Bierzyński, dwaj Pokrzywnicy, Dąbrowski, stary Borzęcki, Jełowiccy i inni w liczbie pięćdziesiąt, rzucają się z rozpaczą w szeregi nieprzyjaciela, co ośmielony tym popłochem, szedł ku nim. Rozbijają naczelny szwadron, wpadają w śro-

dek zastępów moskiewskich, biorą działa i rąbią kanonierów. Przerażony nieprzyjaciel z początku broń rzucał, ale widząc, że im pomoc nie przybywa, otoczył ich do koła. Wołano na nich, żeby się poddali, ale oni i słyszeć o tem nie chcieli, do ciemnej nocy walczyli, potem przerznięli się przez szeregi nieprzyjaciół i nieścigani cofnęli się.

Rozpaczliwe tedy męstwo pięćdziesięciu ludzi ocaliło powstanie podolskie od zupełnej zagłady, a nam się nasuwa wniosek naturalny, od jakich to błahych wypadków zależy nieraz los bitwy, a w następstwie i los sprawy, w obronie której staczają je. Gdyby z odwagą, (jakiej później dawali dowody) te siedmnaście szwadronów było uderzyło na ową dywizję Rotha, niewątpliwie byłiby ją znieśli, nimby inne nadciągnęły wojska, mogli połączyć się z Wołyńiakami i wpłynąć zbawiennie na los korpusu Dwernickiego; przypowodzeniu wzrostoby zaufanie, ośmieliliby się ogłędniejsi i powstanie w zabranych krajach doszłoby do wielkich rozmiarów, a będąc w tyle armii moskiewskiej działającej w Królestwie, niezmierną dywersją nieprzyjacielowi robiłoby. „Wszystko było“ (jak się wyraża autor „Wspomnień“), „ludzie dzielni, konie tęgic, broń, zasoby; szczęścia nie było,“ — niestety po wszystkie czasy tego brakowało sprawie polskiej.

Po nieszczęśliwej rozprawie pod Daszowem, Kołysko z sześćdziesięciu tylko ludźmi szedł ku Lińcom, a kilku ze starszyny, w ich liczbie autor Wspomnień, dotarli do Daszowa i zdolali zebrać 500 koni i 15. maja w pochodzie ku Winnicy połączyli się z Kołyską pod wsią Obodnem; w rzadkim lesie zatrzymali się, sformowano na prędkę cztery szwadrony i tak szli do Tywrowa. W drodze dowiedział się Kołysko, że we wsi Michałowie stoi dwa szwadrony ułanów, w Tywrowie zaś reszta brygady; na tę wieść stanęli i złożono radę wojenną. Wszyscy niemal byli tego zdania, że po odniesionej klęsce pod Daszowem trzeba unikać spotkania, a jeden Edward Jełowicki utrzymywał, że tylko zwycięstwem można powetować moralną stratę, jaką im zadała świeżo przegrana bitwa, radził więc uderzyć na nieprzyjaciela. Szwadron jego był pozostawiony w obozie w czasie ostatniego boju i nie brał w nim udziału, paniczny tedy popłoch, co ogarnął resztę, nie wywarł na nim zgubnego wpływu; ten względ równie jak zaufanie w męstwo swoich podkomendnych, były powodem, że podjął się z nimi pobić tych, co byli w Michałowie. Znana była wszystkim przytomność umysłu i nieustraszona odwaga Jełowickiego, bez oporu też zgodzili się wszyscy na jego propozycją, przyłączyło

się zaraz do niego trochę ochotników i w półtorasta koni ruszył ochoczo. Dochodząc do Tywrowa ujrzał on we wsi uwijających się ułanów, spieszył też kłusem, żeby na nieprzygotowanych natrzeć, ależ ci spostrzegli go i za wsią w szyku bojowym czekali. Nie było tedy wyboru, tylko albo się cofać, albo przyjąć bitwę; nie wahał się Jełowicki i zwracając się do swoich: „pójdziecie za mną?“ zapytał, a kiedy ci okrzykiem oznajmili gotowość swoją, „za mną wiara!“ krzyknął i wypuścił konia, a że miał nadzwyczaj szybkiego, wyprzedził wszystkich i wpadł pierwszy w szeregi nieprzyjacielskie. W mgnieniu oka zszedł kilku z siodła, zabito konia pod nim, a on chwilę walczył na piechotę, a kiedy dopadł szwadron, złamał zaraz szeregi moskiewskie. Uciekali w nieładzie, a powstańcy kłuli ich i brali w niewolę, wielu zaś utonęło w Bohu. Na uboczu była chatka, koło której przebiegali uciekający; stanął przy niej Aleksander Jełowicki i ośmdziesiątletni Borzęcki, oba celni nadzwyczajnie strzelcy, z dubeltówek, które im podawano, zsadzali z koni ułanów, aż Borzęcki, niezmierną obdarzony siłą, nie mogąc nastarczyć strzelacz, lewą ręką chwycił za cugle konie, a prawą ściągał jeźdźców i rzucał ich w Boh.*)

*) Wszystkie te szczegóły wyjęte ze Wspomnień Jełowickiego.

Po tym szczęśliwym boju szli do Obodnego. Kiedy w lesie wpadł im w ręce adiutant generała Szczuckiego, który wioził do Rotha doniesienie, że im przeciął drogę, jakoż zaraz wychodząc z lasu ujrzeli uszykowane trzy szwadrony konnych strzelców, a przed nimi stały dwa działa, które dały ognia; ale w tej chwili Edward Jełowicki na czele szwadronu swego obiegł lewe ich skrzydło, uderzył na nie i rozbił; z prawej strony znowu Zapolski z Kijowianami równie szczęśliwie złamał ich szyki, a na przodzie kilkadziesiąt ochotników, a na ich czele Orlikowski, Borzęcki, Aleksander Jełowicki, Tomasz Ciechoński, Zan, Józef Potocki i kilku innych, wpadli na działa i zdobyli je. Chwilę zaledwie trwał bój cały, w którym połowa mniejsza tego dzielnego zastępu udział brała, potem wszystko rzuciło się za uchodzącymi. Powstańcy na niewielkich zwinnych koniach siedzący, z łatwością dopadali jęgrów, których duże, marszami strudzone konie ustawały w biegu; zewsząd słychać było wołanie o pardon, nieraz przed jednym powstańcem kilkunastu Moskali broń rzucało, z bardzo też małym wyjątkiem zabrali wszystkich. Niezmierny był rezultat tej bitwy, kilkadziesiąt zabitych, tyleż rannych leżało na pobojowisku, w niewoli był generał, siedemnastu oficerów

i trzystu żołnierzy; dwa działa z całą uprzężą i amunicją, wszystkie furgony, cerkiew pułkowa i apteka dostały się w ręce zwycięzców, a co najważniejsza, podniósł się (chwilowo upadły) duch u powstańców i wyrobiło się to przekonanie, że z liczniejszym daleko nieprzyjacielem walczyć mogą z korzyścią. Wzięty w niewolę generał, ludzko traktowany, nie mógł ukryć podziwienia swego.

„Dwadzieścia sześć lat!“ mówił, „służę cesarzowi, robiłem kampanią francuską i turecką, a nic podobnego jak ta szarża, nie widziałem.“

Kapitan znowu, co dowodził owemi dwoma działami, pojąć nie mógł, jak kilkunastu ludzi, pomimo silnej asekuracji, po trzecim strzale zdołało zabrać armaty. Słyszając to wyrzekanie Borzęcki, który był bardzo wesół:

„Było to,“ odrzekł, „skutkiem niezgrabności, za którą bardzo przepraszam, bo Polacy po pierwszym strzale zwykli brać działa.“

Jak w każdym pomyślnem natarciu kawalerji, strata powstańców była mała, od kartacza zginął kapitan Skurat, dwóch szeregowców było zabitych i kilku rannych.

Bitwa pod Obodnem miała rozgłos wielki, przybywało zewsząd ochotników, wracało wielu rozpierchłych po bitwie daszowskiej, ależ i Moskale gromadzili się, byli już po obu

brzegach Bohu i oskrzydłali oddział Kołyski, w którym zaczęło się wyrabiać to przekonanie, że powstaniu w tamtych stronach utrzymać się niepodobna. Jeszcze pierwszych dni marca pojawił się był niejaki Chruścikowski, który mienił się być agentem rządu narodowego, mającym zlecenie kierować ruchem powstania, a którego autor Wspomnień „zagadką“ nazywa, a generał K. Różycki o nieudolność (jeżeli nie o złe chęci) i paraliżowanie czynności powstania oskarża. Od niego to wyszły wieści, że rząd narodowy ma pewność, że gdyby powstańcy byli zmuszeni wkroczyć do Galicyi, władze austriackie dozwolą im wolnego przejścia do Królestwa. Te wieści fałszywe, (nie wiem w jakim celu) rozpowszechnione między powstaniem, wyrodziły myśl zaniechania nierównej i bezowocnej walki w zabranym kraju i w armii walczącej w Królestwie służenia sprawie narodowej; odzywały się też liczne głosy za przejściem do Galicyi, ależ powaga generała Kołyski nie dopuściła tym zachciankom przejść w stadium wymagań. Takie było usposobienie umysłów po bitwie pod Obodnem, a oddział maszerował w stronę Janowa, żeby tam przebyć Boh i połączyć się z powstaniem jam-polskiem i łatyczowskiem, które znajdowały się w okolicy Baru. Wielka ilość furgonów,

powiększona jeszcze zdobytymi pod Obodnem, utrudzała pochód, przez dzień tedy i dwie nocy uszli zaledwie sześć mil i stanęli pod wsią Majdanem, leżącą w głębokim jarze w okolicy lesistej, w ślad za nimi postępowali Moskale. Na niedużem półku tuż pod wsią, którą zajął nieprzyjaciół, ustawiono dwa zdobyte pod Obodnem działa, przy jednym stanął Edward Jełowicki, przy drugim Wojciechowski, a obsługiwało je kilkunastu wziętych do niewoli Moskali. Dla braku miejsca nie mogli oni rozwinąć wszystkich sił swoich, kilka tylko szwadronów wysunęło się, a kiedy wyszli na pole, oba działa kartaczami nabite dały ognia, a strzały były tak celne, że każdy kilkunastu powalił ludzi; naczelne szeregi zwróciły się, wszczęło się zamieszanie, a powstańcy w całym pędzie koni uderzyli na nich. Kłuli oni i rąbali uciekających i na karkach ich sunęli w środek wsi, kiedy nowe szwadrony wystąpiły do boju. Wolno ustępowali nasi, a raz na polu kłusem je przeszli, i stanęli poza działami. Wysuwały się ze wsi nowe zastępy moskiewskie, ależ jak przy pierwszym spotkaniu strzały armatnie powaliły pierwsze ich szeregi, znowu wpadła na nich konnica, z tem samem powodzeniem gnała ich w środek wsi, i przed świeżemi dopiero siłami nieprzyjaciela

ustępowała. Kilka razy kusili się w ten sposób Moskałe o zdobycie pozycji przez powstańców zajmowanej, ależ zawsze ze stratą odparci zostali, a ta mała płaszczyzna zdała się być twierdzą, której szaniami były piersi dzielnych Podolaków. Już wieś cała zawałona była trupami moskiewskimi, już zdało się, że nieprzyjaciół zaniecha tego bezowocnego dla siebie boju, kiedy niewolnicy użyci do obsługi dział umknęli z kiesionami amunicji i tylko parę naboików pozostało, a jednocześnie ukazała się z boku piechota, której strzały już dochodzić zaczęły. Odtąd wszczął się bój pojedynczych rycerzy, a tę rozpaczliwą walkę tak opisuje autor Wspomnień.

„Tu Dębczakowski, co każdą bitwę nowemi ranami zapisał na piersiach swoich, morduje nieprzyjaciela, dopóki ostatniej śmiertelnej rany nie odniósł. Tam Borzęcki, starzec olbrzymiej siły, już sześciu rozplatał, pęka mu pałasz, on jeszcze pięściami zabija, porwał dwóch ułanów, stuknął ich łbami i dwa trupy rzucił pod nogi swoje; wtedy dwie kule, największych może tchórzów, godzą w piersi tego bohatera, co chwalebna śmiercią legł na łożu, które sam sobie ustał z trupów moskiewskich. Dalej w tłumie nieprzyjaciół Hieronim Zaleski sam walczy, skrwawiony cały, ginie w oczach generała rosyjskiego,

który po skończonej bitwie męstwo jego stawiając za wzór oficerom swoim, zwłoki jego uczcił pogrzebem wojskowym. Wojciechowski sam jeden i pieszo broni działa, z którego parę set położył Moskali, sam jeden nie daje go, dopóki krew jego nie popłynęła czterdziestu ośmiu strumieniami. Tam Sawa, już bez broni, wrywa się z pomiędzy tłumu Moskali, na wolniejszym nieco miejscu osadza konia i na pierwszego ułana rzuca się z gołemi rękami, wrywa mu lancę, w mgnieniu oka przebija go i leci ją poić nową krwią moskiewską.

„Jemiołowski, Freiburger, Rawscy, Ciechanowski, jak lwy walczą. Aleksander Sobański uwiija się jak szatan zniszczenia, wszędzie śmierć siejąc; w dniu tym samą spisą dziewięciu z konia zsadził. Orlikowski, to szablą uderza, to silnym głosem, silniejszym jeszcze przykładem do męstwa zapala, a gdy te nadludzkie wysilenia wystarczyć nie mogą, gdy z ostatnimi bohaterami z placu ustąpić musiał, jeszcze raz za bitwę daszowską nazwał się przyczyną klęsk wszystkich i nie czekając odpowiedzi, z rozpacz żyć sobie odbiera.*)

*) Powiedziałem wyżej, że w czasie bitwy daszowskiej Orlikowski złamawszy szeregi moskiewskie, nie skorzystał w chwili zapatu i nie uderzył na działa; z jego to oddziału wyszedł ten popłoch, co pewne zwycięstwo zamienił w porażkę, wyrzucił on sobie ciągle ten błąd, a rozpacz była powodem samobójstwa.

Opodał od dział, na prawem skrzydle, obok ojca walczył mój brat Eustachy; kilka razy odpierał z nim nieprzyjaciela, kilka razy dzielnym ramieniem ocalił mu życie, a gdy tam niebezpieczeństwo ustało i wojsko moskiewskie miejsce dział już milczących zalewać poczęło, ojciec nasz poruszony niebezpieczeństwem, które nam groziło, zapomina o sobie i woła: „Eustachy! ty przy mnie, a tam bracia giną.“ W zapomnieniu boleści rzuca on ojca i nam spieszy w pomoc; nim zdążył, ustała bitwa i nas już nie znalazł, wraca — ale niestety! i ojciec już nie żył — trzy groty moskiewskie pierś mu rozdarły, ostatnie tchnienie jego było dla ojczyzny, myśl ostatnia o dzieciach, a Bóg nie dał nam tej pociechy, żebyśmy ojca zastłonili piersią naszą, żebyśmy mu odpłacili życiem za życie.“

Bitwa pod Majdanem pouczającym dla nas jest dowodem, że zapał przeciwważyć może i różnicę liczebną, brak zasobów i organizacyi, a takie czyny bohaterskie pojawiają się tylko w walce o byt kraju, nigdy się do nich nie wzniosą walczący o namiętne teorye polityczne.

Ta rozpaczliwa walka dziwną przedstawia różnicę z bitwą pod Daszowem. Tam półtrzęcia tysiąca powstańców w chwili zwycięstwa,

na odgłos trwogi rzuconej przez jednego nędznika, umyka w nieładzie, ci sami pod Majdanem w liczbie około pięciuset, walczą godzin kilka z dziesięć razy liczniejszym nieprzyjacielem i czterystu trupem ścielą; a kiedy pozbawieni ładunków, przynięceni tą straszną przewagą liczebną, zdziesiątkowani, ustąpić musieli z placu boju, zroszonego krwią najdzielniejszych ich braci, odwrót ten odbywa się w porządku, bez pośpiechu, cechującego klęskę, a tak przeważnie silniejszy nieprzyjaciół natrzeć na nich nie śmie, daleko postępuje za nimi. Strata powstańców pod Majdanem była znaczna: pięćdziesięciu zginęło, drugie tyle ciężko rannych, albo wziętych do niewoli zostało; w czterysta koni tedy szedł Kotysko do Baru i o milę od miasta złączył się z powstaniem jampolskiem i latyczewskim. Było ich 300 jazdy i 100 piechoty, dobrze uzbrojonych i na tegich koniach, a prowadził niejaki Nagórniczewski, wielkiej zachości człowiek, pod którego dowództwem oddział ten kilka już szczęśliwych utarczek staczał z nieprzyjacielem; tak więc powiększony zastęp cały 800 ludzi wynosił. Pierwotny oddział Kotyski znużony dwutygodniowym marszem, bez rozsiadania koni, żądny wypoczynku i możliwości dostania się do Królestwa, pragnął wejść do Galicyi i jak zarazę udzielił

to zapatrywanie się nowym towarzyszom swoim. Napróżno dowódzca Latyczowian i dzielny pomocnik jego Stanisław Gołyński starali się odwieść ich od tej myśli; przedstawiali oni, że utrzymując powstanie na Podolu, dzieląc siły nieprzyjaciela, większą oddadzą usługę sprawie narodowej, jak zwiększając o kilkaset ludzi zastępy walczące w Królestwie, tymbardziej, że przepuszczenie ich przez Galicyę bardzo jest wątpliwe. Próżne były te usiłowania przywódców, nie ostygł wprawdzie między powstańcami zapał do walki, ale zginęła wiara w możność utrzymania się w swojej prowincyi, pojawił się zgubny duch opozycji i sejmikowania, a dowódcy nie widząc możliwości oparcia się temu prądowi, poszli za nim, nie zaczepiani przez Moskali, którzy z daleka za nimi postępowali, szli na Zaince, Szarawkę, Kuźmin i dnia 26. maja w Stanowie przekroczyli granicę. Tak ustał ruch zbrojny na Podolu a Moskalom otworzyło się wolne pole represyi.

* * *

Ze wszystkich prowincyi polskich, pod panowaniem moskiewskiem będących, Wołyń jakkolwiek najbliżej Królestwa położony, najmniejszy udział brał w powstaniu, a tego biernego zachowania się nie można przypię-

sywać obojętności, tym mniej złej woli, ale raczej brakowi kierownictwa. Było tam kilku ludzi okrytych słusznym zaufaniem publicznym, jak pułkownik Tarnowski, Piotr Moszyński, Kazimierz Puławski i dwóch czy trzech innych, i tych Moskale zaraz po wybuchu powstania w Warszawie wywieźli w głąb Rosyi; a z ich wydaleniem Wołyń jakby niemocą dotknięty, nie umiał na razie zapełnić próżni, brakiem ich spowodowanej. Była ochota do boju, żądza pozbycia się wroga, ale nie było wybitnej indywidualności, którejby ster poruczyć można. Zjawił się wprawdzie ów Chrusciowski (o którym wyżej wspomniałem), ale ten dziwną jakąś odgrywał rolę i nie wzbudzał zaufania. Było kilku dawnych wojskowych z Księstwa Warszawskiego, ludzi dzielnych i prawych, ale jakże trudna zgoda na wybór między równie zasłużonymi... tym razem jakiś instynkt szczęśliwy kierował zdaniem ogółu, bo rozpoczęcie powstania poruczyli, człowiekowi, co do odwagi i zalet dowódcy łączył wielkie cnoty obywatelskie, a tym był Karol Różycki, major z drugiego pułku ułanów, mieszkający w bliskości Cudnowa.*)

Lesista ta okolica nasunęła mu myśl wpływania na robotników, trudniących się wyróbką

*) W opowiadaniu tem trzymam się ściśle Pamiętnika generała K. Różyckiego, ogłoszonego w Pourses w roku 1812

drzewa, a nadewszystko dobrych strzelców; zwierzył się kilku rozsądniejszym, ci wyrozumieli towarzyszy i wkrótce mógł z pewnością liczyć, że na dzień naznaczony w okręgu trzech mil pod pozorem polowania może z łatwością zebrać 800 ludzi. Jenerał w pamiętniku swoim nie wyświeca nam, dlaczego w chwili powstania to zbrojne wystąpienie piechoty nie doszło do skutku, zdaje się, że kiedy mu powierzono ogólne dowództwo, szczególnie rachował na konie, bo w kraju równin, jak Polska, kawalerya zdolniejsza jest do wojny partyzanckiej od piechoty. Różne przeszkody nie dozwoliły wystąpić prędzej jak pierwszych dni maja i z 4. na 5. w lasach korowinieckich zebrało się 130 powstańców, miasto spodziewanych 480; a powodem tego było ujęcie w domach wielu przez Moskali, innych przedzielił nieprzyjaciół od miejsca zbornego, a znaleźli się i tacy, co już raz zawiedzeni odwołaniem Chruszczikowskiego, powstaniem (które pierwotnie na 27. kwietnia nazaczył) obawiali się i tym razem daremnie kompromitować. Uzbrojenie było bardzo liché, bo Moskale po dworach zabierali broń wszelką, porządnych nawet grotów do lanc pokuć nie można było, zastąpiły je zęby od bron zastrzone. Podzielił ich dzielny przywódzca na dwa plutony, dał im na pędce pierwsze

instrukcye co do służby obozowej, szyk w natarciu postanowił w jeden szereg, zalecił karność, posłuszeństwo i poszanowanie własności, w końcu za hasło wojenne przyjął okrzyk: „Sława Bogu“.

Bez żadnych tedy poprzednich przygotowań, bez organizacji, uzbrojeni jedynie w lance, ruszyli śmiało. Zamiarem Różyckiego było, zabawić czas jakiś w okolicy Żytomierza, powiększyć swój oddział i w kilkaset koni iść w pomoc Kołyse; potem gdyby tam szło pomyślnie, wrócić na Wołyń, zebrać strzelców i obsadzić nimi niedostępne miejsca w lasach między Romanowem a Zwiąhlem, zrobić z nich punkt oparcia, a kawaleryą przecinać blizkie traktaty i przejmować transporta amunicyi i żywności, które tamtędy szły z głębi kraju, dla czynnej armii. Chcąc zmylić nieprzyjaciela i zyskać kilka dni przynajmniej czasu, żeby nauczyć żołnierza prostego odłamywania się i formowania w szóstki (które to obroty odbywały się w marszu), ruszył Różycki najprzód w kierunku Lubaru, potem zwrócił się do Żytomierza, a o pół trzeciej mili od niego skręcił się ku Ułanowu; a tak nieprzyjaciół w trzech miejscach zmuszony był śledzić kroki jego. W Korozieńkach doszła go wiadomość, że znaczny transport rekrutów idzie na Cudnów eskor-

towani przez piechotę; postanowił tedy odbić ich i zakryty wsią czekał. W parę godzin ukazali się oni, a kiedy dochodzili do miejsca, gdzie stali Wołyniacy, wypadli oni w największym impecie, pomimo ognia karabinowego rozbili piechotę i uwolnili 560 rekrutów, którzy się rozbiegli po lasach. Kilkaset ludzi musiał wynosić ten oddział, kiedy na poboju zbrano 50 karabinów i tyleż ładownic z nabojami, a 80 nowych czapraków huzarskich, co było na furgonach, pokryło konie powstańców.*) W pochodzie do Ułanowa ciągle przybywało niewolników i broni, byli to marodery oddziału rozbitego pod Koroczenkami. Różycki, jak każdy doświadczony dowódzca, dobrze poinformowany o ruchach nieprzyjaciela, umiał szybkimi pochodami unikać starcia z większymi siłami. Z ekspedycji wiezionej przez kuryera, którego schwytały powstańcy, dowiedział on się o bitwie daszowskiej, a kiedy nadeszły wieści, że Kołysko idzie ku granicy austriackiej, nie chciał Różycki dzielić losu jego i zaniechać walki, bo nie dowierzał owym nadziejom wolnego przejścia przez Galicyę. Dlatego zwołał oficerów, przedstawił im obecne położenie, nie tał niebezpieczeństwa, na jakie naraża

*) Pamiętnik wyżej wspomniany.

ich zamiar, który powziął, a tym było przetrzymanie się do Królestwa.

Z wielką pociechą znalazł on jak najlepsze usposobienie umysłów, wszyscy oświadczyli, że wolą raczej zginąć, jak broń złożyć, a pełni zaufania dla dowódcy swego, prosili usilnie, żeby ich prowadził do Królestwa. Tak upewniony szedł ku Winnicy, a Roth uwiadomiony o tym ruchu, pewny, że dążą do Galicyi, wysłał do Baru kawalerję i działa, żeby im drogę przeciąć.

Przewidział to ogiędny Różycki i skoro się dowiedział, że nieprzyjaciel biał już pozycję, do której dążył, zwrócił się raptownie na bok, forsownym marszem dotarł do Bohu,*) przeszedł go, zniszczył środki przeprawy i znalazł się w Janowie o mil 10 od Rotha i przedzielony rzeką. Stamtąd puścił wieść, że idzie do Chmielnika, i wysłał trzech żydków dla zamówienia tam furazu, pewny będąc, że nie omieszkają wieść tę zanieść Moskałom. I tak się stało, spieszenie tam dążyli, a on zwrócił się raptownie w prawo i jednym marszem stanął w Krasnopolu. Wyszedłszy stamtąd, paśli konie i sami posilali się, kiedy wystąpi na zwiady wrócili z wieścią, że dwa oddziały nieprzyjacielskie spieszą ku nim, jeden miał przybyć od Krasnopolu, drugi z przodu od

*) Nie wiem, dlaczego autor Pamiętnika Boh nazywa Bugiem.

Mołoczek. Na tę wieś wsiedli na koń i wolno postępowali ku Mołoczkom, kiedy widety za Krasnopolem stojące wystrzałami z pistoletów uwiadomiły o zbliżającym się nieprzyjacielu, który niebawem wychodził na pole. Wyjechał naprzód generał i widział, że było pół batalionu piechoty i czterdziestu kozaków, którzy na widok powstańców zatrzymali się pod Krasnopolem; opartych o wieś nie chciał atakować Różycki i wolno ustępował, kiedy wysłany do spatrolowania Mołoczek podoficer i czterech żołnierzy wrócili z wiadomością, że piechota nieprzyjacielska stoi pod wsią. Długa aleja, dużemi drzewami wysadzana, prowadziła do Mołoczek — tą ulicą postępowali Moskale. Wąskie to miejsce nie dozwalało rozwiniętym szwadronom uderzyć na nich, dlatego z obu stron alei stanęło po trzy plutony pod dowództwem kapitanów i ci dostali rozkaz w całym pędzie koni wyminąć niejaciela i z tyłu na niego uderzyć, sam zaś Różycki, na czele dwóch plutonów Seweryna Pilichowskiego i Michała Czajkowskiego, postanowił wpaść na front. Za danym znakiem plutony na skrzydłach będące, pomknęły naprzód, a aleją szedł stępem Różycki ze swymi. Na ten widok nieprzyjaciół zformował czworobok i rotowy ogień rozpoczął do nadchodzących. Nie zraziło to dzielnych

towarzyszy Różyckiego, szli stępem, potem kiedy kule już dochodzić zaczęły, ruszyli kłusem, a jak byli 80 kroków od nieprzyjaciela: „Puszczaj cugle!“ — krzyknął Różycki. „Sława Bogu!“ — zabrzmiało w powietrzu, a ten sam okrzyk rozległ się i w stronie Mołoczek, bo owe sześć plutonów w największym pędzie uderzyły z tyłu. Złamali oni odrazu obiedwie ściany czworoboku i zaraz „pardon!“ krzyknął jeden, ależ jakiś kapitan wyrwał mu karabin, przebił go: „Sztykami rabiata,“ krzyknął i rzucił się na Różyckiego; bagnet jego rozdarł mu tylko suknie na piersiach, potem w mgnieniu oka ranił pięć razy konia jego, a kiedy niósł mu szósty cios, to jeździec silnem cięciem rozplątał mu głowę, a kilka grotów utkwilo w piersi jego.

Wszczęła się rzeź straszna, a generał w pamiętniku swoim poświęca kilka wierszy wrażeniu, jakie mu pozostawiło to dzieło zniszczenia. Powiada on, że jeźdźcy płochliwszych koni, nie mogąc nagnać w tę kupę ciał ludzkich, zeskakiwali z nich, pieszo krocząc po trupach, przebijali przy życiu będących. Doboszom moskiewskim kazał Różycki uderzyć odbój, a po chwili podoficer przy plutonie odwodowym, co pilnował kasy i broni, nadbiegł z doniesieniem, że oddział pod Krasnopolem będący, słysząc odgłos bębnow

oznajmiający poddanie się ich towarzyszy, cofnął się do wsi i osadza budynki, żeby się w nich bronić. Byłoby rzeczą nierozsądną stawiać bój bezowocny i kusić się z kawalerią o zdobycie wsi bronionej przez piechotę, toteż pomimo nalegań upojonych zwycięstwem, żeby ich prowadził na ten drugi oddział, nie uległ rozważny dowódzca tej pokusie, kazał im stać w miejscu, zabrano na wozy 230 karabinów, tyleż pałaszy piechotnych i ładownic z ładunkami, niewolnikom rozdano kilkadziesiąt złotych.

„Ależ mało kłóren — powiada pamiętnik — mógł wrócić do karczmy w Mołoczach, gdyż oprócz zabitych, z całego tego oddziału jeden oficer tylko, dobośz i trzech frontowych nie ranni byli; trzech ostatnich na usilne ich prośby zabraliśmy z sobą i w nasze wcielili szeregi.“

Po tem zwycięstwie szli niby w kierunku Cudnowa, ale w połowie drogi raptownie zwrócili się na Lubar, przeszli koło miasta i stanęli w Miropolu.

Tu wspomina generał o najgorszym usposobieniu właściciela tego miejsca; jedyny to może wypadek takiej niechęci dla sprawy narodowej, o jakim słyszałem.

Z Miropola szli do Ulcha, gdzie przebywszy Stucz, poniszczyli promy i mosty,

żeby utrudnić nieprzyjacielowi przejście przez rzekę, i uprzedzili Moskali od Ostroga idących. W tym pochodzie zabrali 49 wozów naładowanych prochem i różnymi pociskami. Dwie beczki prochu zachowali, resztę zatopili w kilijowskim stawie. Tegoż samego dnia ujrzeni ogromny transport żywności i owsa, jadący z Wiahla dla głównej armii. W gniewie oka rozbili eskortę i zdobyli 110 wozów; w nich było 231 koni; co lepsze wzięto pod siodło w miejsce odsednionych lub rannych, zostawiono 20 wozów z owsem, na kilka naładowano broń zdobytą i rannych, resztę koni, wozy i żywność rozdano okolicznym mieszkańcom.

Weszli tedy w widły, jakie tworzy Stucz i Horyń, skąd na wszelki wypadek można było wkroczyć na Litwę, gdzie było powstanie, i znowu zmylili; rachuby generałgubernatora Lewaszewa, który myślał, że idą w Owrukie. W dniu 31. maja wchodzili powstańcy do Międzyrzecza, gdzie ich witano z oznakami najżywszej radości, szczególnie młodzież szkół pijarskich odznaczała się zapałem, który umiało zaszczerpieć w ich młode serca zacne zgromadzenie, co ich kształciło. W jednej chwili każdy koń miał małego jeźdźcę, który z okiem błyszczącym żądzą boju, ścisnął skrwawioną lancę, głąskał konia i błagalnym głosem pro-

sił żołnierzy: „Weźcie nas z sobą!“ Rozrzucony Rożycki temi oznakami zapału, co starszych i silniejszych przyjął w szeregi, reszcie radził czekać, jak ich czas uzdolni. Nastąpiły reklamacye, wyliczali wiek swój.

„A rachunek ten — mówi generał w pamiętniku swoim — nie z latami ich, ale z miłością ojczyzny był zgodny.“

Prócz młodzieży szkolnej zaciągnęło się wielu dworskich Steckiego, dziedzica Międzyrzecza; ogromne stajnie tego zacnego Polaka dostarczyły koni i sformował się trzeci szwadron.

Po wypoczynku ruszono w marsz, a temu pochodowi towarzyszyły płaczące dzieciaki, prosząc usilnie, żeby ich zabrali z sobą.

„Nie było — mówi Rożycki — dość prze-rażających uwag, któreby wszystkich zwróciły, niektórzy z nich zatrzymali się i bez wiadomości mojej poobsiadali wozy z furazem idące*).“

Na drugi dzień przeszli przez Bereźno, a o milę stamtąd pod wsią Tyszcą, oficer ariergardę prowadzący doniósł, że znaczny oddział kawalerji idzie za nimi, a on po matym uporze, stosownie do instrukcji, jaką

*) Nadmieniam, że miejsca cudzysłowem oznaczone dosłownie wypisane z pamiętnika generała.

odebrał, opuścił wozy z furazem a uprowadził rannych, broń, kasę i konie podwodne.

Odebrawszy tę wiadomość, prowadził Rożycki szwadrony swoje klusem przez wieś, poza nią przeszedł po moście głęboką fosę, co wpadała do Słuczy, potem dwa szwadrony zwróciły się i stanęły frontem do wsi, trzeci zaś w odwodzie pod lasem zasłaniał wozy z bronią, rannymi i kasą. W takim szyku oczekiwali zbliżenia się Moskali. Niebawem ukazały się dwa szwadrony derbskich strzelców konnych, którymi dowodził pułkownik nazwiskiem Peters.

Widząc uszykowanych powstańców, nie śmiał on przejść mostu, który go dzielił od nich, ale stanąwszy poza nim rozpoczął ogień z karabinków, który trwożliwą kierowany ręką, żadnej nie robił szkody. Ani jednym wystrzałem nie odpowiadali im powstańcy, stali w największym spokoju i jak mówi pamiętnik, „fajki palili.“ Trwało to czas jakiś, a Rożycki widząc, że tem biernem zachowaniem się nie wywabii nieprzyjaciela na tę stronę mostu, kazał drugiemu szwadronowi Michała Grudzińskiego zwrócić się plutonami i wolno ustępować ku lasowi. Nierozważny dowódzca moskiewski wziął ten ruch wsteczny za odwrót i wśród ciągłego hurra! klusem przechodził most; ale kiedy ostatni pluton strzelców był

już na tej stronie, szwadron Grudzińskiego zwrócił się raptownie, niezmierny okrzyk „Sława Bogu“ zagłuszył moskiewskie hurra, oba szwadrony z największym impetem rzuciły się na nieprzyjaciela, złamały jego szeregi i zmieszanego tłoczyły w fosę. Peters widząc tę porażkę swoich: „Ratujcie się, dzieci!“ (spasajties rabiata) — zawołał i zaraz zwrócił konia, przebił się przez tłum swoich i umknął, a większa część oficerów, prócz jednego kapitana co zginął, poszła za jego przykładem. Trupami zaległo pole pod Tyszą, kilkunastu utonęło w Słuczy, 48 i dwóch wachmistrzów szwadronowych dostało się do niewoli. Nie było nic łatwiejszego, jak gonić te resztki i zniszczyć je do szczętu, ależ ta pogoń byłaby zwróciła Różyckiego z drogi, którą iść zamierzył; pognawszy tylko kawałek za uciekającymi, wrócił napowrót. Pędząc nieprzyjaciela przez wieś, znaleźli w niej wozy swoje z furazem, które tylna straż ustępując pozostawiła, na nich było kilku studentów z Międzyrzecza, których napotkawszy w drodze zabrali Moskale; uciekających rąbali ci bohaterowie. W ciasnym miejscu koło cmentarza zastali dwóch malców, którzy na odgłos bitwy zeskoczyli z wozów, uchwycili karabiny, strzelali do uciekających Moskali i kilku powalili; jeden z nich był ranny.

„Drugi — mówi pamiętnik, — spał snem wiecznym, snem cnoty i miłości ojczyzny; przeniesiony za ścianę, pod którą walczył i którą krwią swoją oblał, spoczywa pod nią pałaszami zagrzebany.“

Z powstańców żaden nie zginął, tylko sześciu szeregowych i porucznik Adolf Pili-chowski od pałaszów ranni byli.

Zdobytych było 120 karabinków, kilkadziesiąt pałaszy, ładownic i 78 koni.

Peters wróciwszy do swoich, opowiadał, że spotkał 10.000 powstańców, i tą kłamiwą wieścią wielką im oddał usługę. Najbliższe miasto, koło którego przechodzić mieli powstańcy, był Kowel, gdzie znaczne stały siły moskiewskie, ależ ci wskutek raportu Petersa mieli to przekonanie, że Polacy zechcą zdobyć Kowel, gdzie znaczne były zapasy, zamiast tedy wystąpić w pole, sypali baterie i gotowali się do obrony w mieście. Uwiadomiony o tem Różycki wypoczywał bezpieczny przez całą dobę, potem poszedł do Rałatówki, gdzie z rozbitego powstania Olizara złączyło się z nim kilku jezdnych i 80 piechoty, których zaraz uzbrojono, i tam przeszedł na lewy brzeg Styru, którym spławiono niewolników do Pińska. Wolnym marszem ciągnęli ku Bugowi, pomiędzy Kowlem a Niesuchożami przebyli rzekę Turą, pod Maciejowem o kilka-

set sążni od kolumny nieprzyjacielskiej spuściwszy chorągiewki, przeszli niespostrzeżeni, dalej okrążając Luboml, ominęli oddział idący z Opalina i rozstawione szwadrony huzarów między jeziorami Szacka, i szybkim marszem o ćwierć mili od Dorohuska, we wsi Przewozy nad Bugiem leżącej, stanęli na granicy Królestwa.

Na widok tych pól, zlanych już tyle razy krwią polską, radosne okrzyki wydali powstańcy, z galarów, które tam zastali, robili most, a nim ten stanął, pierwszy szwadron przeszedł wpław rzekę, dwa inne, piechota i furgony, po moście już ją przebyły. Stanawszy na gruncie Kongresówki, szli ku Chelmowi i nie daleko od miasta we wsi Wota-Czerniejowska noc spędzili. Z wieści, jakie odbierał generał, przekonał się, że na drodze jego do Zamościa w miasteczkach Wojstawice, Uchanie, i w dużej bardzo wsi Jarosławiec stoją znaczne oddziały korpusu Rüdigera, różnej broni, w Uchaniach zaś pod miastem obozuje sama kawaleria; to miejsce wybrał tedy do przejścia. Po ośmnastogodzinnym wypoczynku poprzedzeni przewodnikami szli drogą do Hrubieszowa wiodącą, a ku wieczorowi byli o dwie mile od Uchań. Zatrzymał ich w tem miejscu dowódca, i oznajmił im, że chce nocą wpaść na obóz pod

Uchaniami stojący, a ten rozbiwszy wolną będą mieli drogę do Zamościa; przytem zalecił im, żeby w braku trębaczy po dopełnionym napadzie komendę jego „stój“ powtórzyli dowódcy szwadronów, plutonów i podoficerowie sekcyni, poczem wszyscy żeby stawali do frontu. Droga z miejsca, gdzie się zatrzymali, do Uchań idzie lasem; o kilkaset sążni przed miasteczkiem wychodzi się dopiero na pole, a nie daleko drogi z Uchań do Wojstawic wiodącej, na wzgórzu stał obóz, na który napaść zamierzali. W ciemną noc szli tedy owym lasem, na krańcu którego było mieszkanie gajowego, i tego wzięli za przewodnika. Zaledwie wysunęli się na pole, Różycki jadąc na przódzie, dojrzał placówkę z czterech ludzi złożoną, do której uciekał żołnierz na widecie stojący; posunęło się zaraz za nimi dwóch powstańców po rosyjsku mówiących, a że wszyscy mieli zakaz strzelania, w cichości tedy zbliżyli się do uchodzących i wraz z nimi znikli wśród cieniów nocy. Cały oddział postępował wolno, przeszli nie duży mostek, za nim już nie daleko miał być obóz, którego położenia nic nie zdradzało, bo Moskałe ogni nie palili. Tuż za mostkiem sformowali się powstańcy, wozy z rannymi, bronią, konie podwodne i kasa stanęły koło drogi pod zasłoną piechoty i jednego szwadronu, dwa zaś miały

wykonać napad. Już mieli ruszać z miejsca, kiedy nadbiegł podoficer nazwiskiem Wielobyski i doniósł, że przewodnik (jego straży powierzony) umknął, nie wiedzieli więc, gdzie się obrócić wśród tej ciemnej nocy. Na tę wieść Różycki kazał stać w miejscu i sam jeden ruszył na zwiady, a zaledwie ujechał kilkadziesiąt kroków, wpadło na niego dwóch uciekających z owej placówki, za którą pognali powstańcy; na najbliższej będącego natarł on i cięciem pałasza powalił go o ziemię, drugi zwrócił konia i chciał uciekać napowrót, ale nadbiegł jeden z dwóch powstańców, co poszli w pogoń za nimi, i przebił go lancą. Stało się to w jednej chwili i w największej cichości, a po kierunku, w jakim biegli dwaj polegli Moskale, wniósł Różycki, że obóz jest tuż przed nimi. Uradowany tem pomyślnem spotkaniem, wrócił on do swoich, opowiedział rzecz całą, i wolno ruszyli naprzód. W obozie cichość była zupełna, rozkulbaczone konie leżały do kółków powiązane, a jeźdźcy w śnie głębokim pogrążeni byli. Ten spokój przerwał naraz niezmierny okrzyk „Sława Bogu!“... i tentent wpadających w obóz koni powstańców. Wszczęło się straszne zamieszanie, — zbudzeni ze snu Moskale wylękli bliżej napadu będący kryli się w baraki, bardziej oddaleni chwyтали wprawdę za broń, ależ strzały ich drżąca

kierowane ręką, żadnej nacierającym nie zrządziły szkody, spłoszone gwarem napadu konie wyrwały kółki i pędząc przez obóz zwiększały popłoch; wszczęła się nie bitwa, ale rzeź raczej, bo powstańcy kłuli, co napotkali przed sobą. Dzielnym dowódcą przebiegał zdobyty obóz i widział (jak się wyraża) „że za kilka minut wszystko się skończy“; — już tedy chciał wydać umówione hasło do formowania się, kiedy od strony Uchań gwar jakiś obłł się o uszy jego. Posłał zaraz po szwadron rezerwowym i po część piechoty, a sam z porucznikiem Ostaszewskim i ośmiu szeregowymi ruszył ku Uchaniom. Wchodzili oni w ulicę miasteczka i zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, posłyszeli stąpanie koni i szcęk pałaszy, a po chwili komenda „pułk czwarty uralski naprzód“ była jasnym dowodem, że tym razem z kozakami mają do czynienia, których powstańcy z 1831 roku za nic mieli. Różycki wiedząc z doświadczenia, co może w kawalerii hazard i determinacja, szczególnie wśród nocy mając przed sobą nieprzyjaciela, którym gardził, kazał stanąć w jeden szereg ośmiu jeźdźcom swoim i sam z Ostaszewskim na czele, uderzył na czoło kolumny; od razu złamali naczelny szereg, zwinął się drugi, a następne zatrzymane tym zwrotem w pochodzie w przekonaniu, że

przeważne na nich uderzyły siły, pierzchnęły, i tych dziesięciu odważnych gnało przed sobą pułk cały, znacząc trupami ślady swoje. Uszedłszy tak paręset kroków, pewni, że kozaki nie zaraz ochłoną z przestachu, na cichą komendę dowódcy zwrócili się klusem, przeszli nazad ulice i stanęli u wnijsia, a Różycki zostawił Ostaszewskiego z owymi ośmiu ludźmi dla śledzenia ich ruchów, a sam wrócił do obozu, gdzie kapitanowie Dunin i Grudziński formowali już szwadrony swoje. Kiedy Różycki dojeżdżał do szykujących się od strony Uchań, od Wojsławic dochodził do obozu wysłany stamtąd patrol huzarów; zastawszy obóz zniszczony, zaczęli uciekać i wpadli na nadchodzący szwadron rezerwy kapitana Przyborowskiego, który ich zabrał do niewoli, potem oddał stojącym pod obozem, a sam ruszył do Uchań. W godzinę może po natarciu Różyckiego wrócili kozacy, tym razem nie dziesięciu ludzi, ale szwadron cały Przyborowskiego uderzył na nich, gnał uchodzących przez całe miasto, z wielką dla nich stratą; między poległymi był dowódzca pułku, którego zabił jeździec nazwiskiem Alfred z Czartoryi, i jeden kapitan. Po tej klęsce nie śmieli już oni wrócić, tylko stanęli na wzgórzach poza miastem i stamtąd śledzili ruchy powstańców. Dzień się już robić zaczęła a zwycięzcy wten-

czas dopiero ujrzeli, jaką klęskę ponieśli Moskale. Z całego pułku siewierskich dragonów, z którym walczyli, część nie wielka uciekła pieszo, 115 żołnierzy i kilku oficerów było w niewoli, w ich liczbie dowódzca pułku, pułkownik Bogdanow, reszta poległa, a jak znaczna ich była liczba, to dowodzi, że czternastu szeregowych miało na sobie ładownice po zabitych oficerach; rozbiegłe po polach konie chwytały dzielni Wołyniacy, zebrano kilkaset karabinków, pałaszy i pistoletów, mówi pamiętnik, baraki zaś wypełnione zrabowanymi rzeczami, mnóstwem rynsztunku i zasobów wojennych, których uwięść nie podobna było, podpalono, poczem ruszył zwycięski zastęp w kierunku Grabowca, i szli spiesźnie, bo w ślad za nimi maszerowali z Wojsławic huzary i kilka armat. Pod samym Grabowcem droga idzie wąwozem, którego ominąć nie podobna, obsadzili go kozacy, i z jańczarek strzelali do nadchodzących; ależ zaraz piechota powstańców wbiegła na w górza, które zajmowali, dała do nich ognia, a kozaki po słabym oporze umknęli, potem obesłzi wąwóz i złączyli się z huzarami, co szli za tylną strażą, którą dowodził Konstanty Bernatowicz. Odpierał on nacierających, a dzielnie go wspierali Pilichowski i Damaradzki z plutonami swymi. Od dwudziestu godzin

konie ich nie jadły i pojone nie były, wypocząć tedy stało się koniecznością, ależ trzeba było pozbyć się natrętnego kozactwa; sforsował też Różycki półszwadron na zdobytych pod Uchaniem koniach, o milę za Grabowcem przepuścił z umysłu kozaków przez rzeczkę Rudę, przeszedł ją, potem nowo zebranemu półszwadronowi kazał natrzeć na nich, kozacy uciekli, a powstańcy swobodnie odpoczywali, paśli i poili znużone konie. Półtóry mili dzieliło ich tylko od Zamościa, dokąd Różycki wysłał Jana Omiecińskiego z kilku ludźmi, dla uwiadomienia generała Krysińskiego, dowódcy twierdzy, o swoim przybyciu. Nie długo po jego odjeździe wsiedli na koń, weseli, pełni nadziei, widzieli koniec mozolnych usiłowań swoich i cel dopięty; toteż ochoczo dążyli a po godzinie marszu, wyszedłszy na niedużą wyżynę, ujrzeli w oddali wśród białych murów twierdzy czerniejącą się wieżę ratuszową w Zamościu, a na płaszczynie rozwinięty korpus generała Chrzanowskiego, który mylnie uwiadomiony o grożącym im niebezpieczeństwie spieszył na pomoc.

Jakże opisać radość ich na widok tych bratnich szeregów, tych dzielnych żołnierzy, co w tyłu bitwach okryli się chwałą; czuli oni, że jakkolwiek nie dawno broń do ręki

wzięli, dorównali im męstwem i zasługą. Kiedy zbliżali się do łańcucha wedet, ujrzeli generałów w gronie oficerów jadących na ich spotkanie; okrzykiem „Sława Bogu“ przyjęli oni tych dzielnych przywódców, a ci serdecznie witali z dawna im znanego ich dowódcę. Przedstawił on zaraz nowo przybyłym wszystkich oficerów swoich, potem kazał rozstąpić szeregi, i lustrowali je generałowie. Wytarta odzież powstańców, zmęczone ich konie, a na nich nędzne przybory, dziwną sprzeczność stanowiły ze śmiałym spojrzeniem i wyrazem pewności, co się malowała na ich ogorzalych twarzach; trzymali oni w ręku lance zębami od bron zakończzone, ależ u boku każdego z nich wisiał pałasz, za pasem był pistolet lub karabinek, zdobycz na wrogu, a kupa jeńców (częstka tylko zabranych przez nich w tym długim pochodzie) i długi szereg wozów z bronią wydartą Moskałom wymownym były dowodem ich męstwa i zasługi, i usprawiedliwiały ten wyraz wiary w siebie, co zdołał męskie ich oblicze. Po skończonym przeglądzie wśród okrzyków radośnych całego korpusu weszli w mury Zamościa.

Zaraz na wstępie oświadczył Różycki generałowi Chrzanowskiemu, że ma broni i amunicji podostatkiem, że konie jego oddziału wytrzymałe i wdrożone, wypoczynku tylko

potrzebują, żeby odzyskać siły pierwotne, w końcu dodał, że posiada fundusz stosowny na umundurowanie całego pułku, prosi więc tylko o miejsce spokojne, gdzieby mógł dopełnić tej organizacji, i wymienić Zawichost. Nie wiem dlaczego nie przystał generał na żądanie Różyckiego, nakazał mu zmienić szlak bojowy na dwa szeregi a miasto Zawichosta przeznaczył Tomaszów nad granicą Galicji leżący, o trzy mile od którego stali Moskale z korpusem Kajzarowa. Z uległością starego żołnierza udał się tam Różycki, ale widział całą niedogodność tego wyboru; bliskość bowiem nieprzyjaciela nakazywała ostrożność, stąd zamiast wdrażać żołnierza w obroty wojenne, musiał używać go do służby obozowej i częstych patroli, a taką gotowość zachowywać zmuszeni byli, że „krawcy“, mówi pamiętnik, „na wozach szyli mundury“, żeby w każdej chwili być gotowymi do wymarszu. Zaraz po przybyciu do Tomaszowa, zawiadomił Różycki wodza naczelnego o swoim położeniu i powtórzył prośby, które odrzucił generał Chrzanowski. Czwartego dnia odebrał pomysłną odpowiedź, w wyrazach najpochlebniejszych wyrażał się generał Skrzynecki o zasługach całego oddziału, na miejsce formacji wyznał im Solce za Wisłą, zatwierdził listę oficerów przez Różyckiego przed-

stawioną, dołączył kilkanaście krzyżów srebrnych i złotych, w końcu przyznał im szlak w jeden szereg, do którego nawykli.

Po czterodniowym tedy pobycie nad granicą Galicji ruszyli do Solca, a we trzy godzin po ich wymarszu byli już Moskale w Tomaszowie.

Formacja pułku szła szybkim krokiem, kilkuset rzemieślników pracowało ciągle, codzienne musztry w krótkim bardzo czasie usposobiły ludzi nawykłych do konia, — a kiedy uformowany wystąpił pułk cały, „najwymyślniejsze oko“, mówi pamiętnik, „nie znalazło zarzutu“ — bo ubiór, uzbrojenie, dobry stan koni i okulbaczenie były w zupełnej harmonii. Mieli oni granatowe krótkie czapki, z białym kołnierzem i wypustką, spięte na drobne guziki, rajtuzy granatowe skórą podszyte, czapki białe z czarnym barankiem, przy nich małe kitki na orle; szarfa granatowa opasywała żołnierzy, białą ze srebrną frendzlą zmieszaną z amarantem mieli oficerowie; ładownice były na białych pasach, i pendenty z łosiej skóry, do których przytwierdzone było małe olstro, w nim nakryte pistolety, skrzydłowi w plutonach mieli sztucce, prócz tego każdy miał pałasz i lancę z chorągiewką granatową z białem, już nie zębem od brony, lecz ostrzem zakończoną; tak sformowani wyszli

na linię bojową, dostali przeznaczenie do korpusu, co zajmował Krakowskie, a którym dowodził generał Samuel Różycki (także).

Od chwili nowej organizacji i nazwy jazdy wołyńskiej, jaką dostał dzielny zastęp Różyckiego, nie wiele on wspomina o dalszych czynnościach swego pułku, chociaż wiadome jest, że we wszystkich bitwach, jakie staczano w Krakowskim, do chwili wejścia do Galicyi, z męstwem i poświęceniem udział brali; mówi tylko, że pod lżą sto piętnaście koni jego pułku rozbiło cztery szwadrony moskiewskie, a więc pięć albo sześć razy liczniejszego nieprzyjaciela, w innym miejscu wśród straszego ognia armatniego (zapewne w asekuracji dział) pomimo pękających w około granatów, stali niewzruszeni „z pogodą na czole“, jak się wyraża. Różycki kończy swój pamiętnik podziękowaniem towarzyszom za zaufanie, jakie w nim pokładali, za miłe sercu wspomnienie, jakie mu zostawił stosunek ich koleżeński, w końcu za wzorowy porządek i karność, jaką zachowali, zalety niezbędne w zawodzie żołnierskim, a którymi przejąć się od razu zdolni tylko są ludzie walczący w dobrej sprawie.

I ja kończę opowieść moją uwagą, jaką mi nasuwa ten piękny pochód Wołyniaków z nad Bohu do Wisły. Widzimy tam stu

trzydziestu ludzi, uzbrojonych jedynie w drzewce, zakończone gwoździami, przechodzących w przeciągu miesiąca sto trzydzieści mil kraju, na którym gęsto rozsiane były oddziały nieprzyjacielskie, a każdy o wiele silniejszy od nich. Dzięki umiejętnym rozporządzeniom dowódcy omijają oni w nadmiar przeważne siły przeciwnika, a gromią możliwe do zwalczania, a kiedy w pojęciach wojennych, między regularnymi nawet wojskami, tę możliwość stanowi równość sił albo mała przewaga liczebna, to ci dzielni obrońcy swobód narodowych, pozbawieni wszelkich korzyści sztuki, uderzają zawsze i łamią szeregi dwakroć przynajmniej silniejszego nieprzyjaciela. Ani razu nie pobici, zawsze zebrani, po każdej bitwie uwożą rannych swoich, zdobycz, wprowadzają niewolnika, i widzą coraz zwiększający się swój zastęp. Takie czyny mącą wszelkie pojęcia o prawidłach wojny, bo teoretycy wojskowi biorąc w rachubę tylko środki materyalne, nie nawykli mnożyć je siłą zapału.

* * *

Nie jeden oddział Różyckiego bez organizacji i współudziału ludzi wojskowo wykształconych zebrany, staczał w kampanii 1831-go roku szczęśliwe boje, dużo takich

było przykładów, jeden z nich jeszcze przytoczę.

W województwie Sandomirskiem w mieście Końskie mieszkał kasztelan Małachowski, który miał trzech synów: najstarszy Gustaw, znakomity poseł i minister spraw zagranicznych w czasie powstania, najmłodszy Juliusz, w owym czasie dwudziestokilkuletni młodzieniec. Do wysokiego wykształcenia umysłowego i zalet duszy łączył on wielką energią, którą wybitnie odbijała piękna i pełna męskiego wyrazu powierzchowność jego. Wszelkie zabawy rycerskie i nieodłączony od nich ruch gwałtowny były potrzebą dla tej ognistej duszy, toteż widzieliśmy go w latach przed powstaniem ciągle na koniu, ze strzelbą w ręku polującego w ogromnych lasach pokrywających okolice, w których leżały dobra jego. W tych łowach towarzyszyło mu grono ochoczej młodzieży, którą nęciło do Końskich gościnne przyjęcie rodziców i serdeczny stosunek z synem. Okolica ta cała, a w szczególności dobra Małachowskich, obfitują w rudę żelazną, wielkie też tam są kuźnie i piece, w których pracuje znaczna ilość górników, ludzi nawykłych do twardej pracy, zimą i latem przebywających w lasach i z powołania myśliwych. Znał ich niemal wszystkich Juliusz Małachowski, zajmował się ich losem, hojną

ręką wspierał każdą niedolę, był też ubóstwiany od nich i każdego na rozkaz jego stawał ochoczo ze strzelbą w czasie polowania. Nikt wtenczas nie przewidywał jeszcze chwili powstania, ależ w powietrzu (że tak powiem) było poczucie jakiegoś wybuchu, zbliżał się bowiem piętnasty rok spokoju, jakby termin prekluzyjny, w którym od rozbioru kraju każde pokolenie zbrojnie protestowało przeciw temu wydziedziczeniu, jakiego się na ich ojcach dopuszczono. To przecucie ogółu podzielał Małachowski, a że pałał żądzą boju, chciał mieć gotowy do zużytkowania swój zastęp myśliwski i na sposób wojskowy go zorganizował. Wszyscy strzelcy jego jak i górnicy mieli dubeltówki kalibrowe, wszelkie ruchy i zmiany stanowiski na polowaniu odbywały się na odgłos sygnałów na trąbkach myśliwskich, użyci do oblawy w pochodzie do prawego się równali, na dźwięk trąbek zmieniali front, słowem w każdym poruszeniu nawykli oni do zachowania szyku; ubrani byli jednakowo, na biodrach mieli kartuzy z ładunkami, u boku kordelasy obosieczne*) Z tak sformowanym zastępem w każdej chwili można było iść do boju, toteż kiedy hasło do niego dano w nocy 29-go

*) Jest rycina przedstawiająca pochód myśliwstwa Juliusza Małachowskiego.

listopada, zaraz Małachowski stanął na czele oddziału kilkuset ludzi.

Zasługi wojenne Juliusza Małachowskiego podniósł niedawno p. Lucyan Siemieński w prześlicznym dziełku swoim pod tytułem: „Dwaj Juliusze“, a dodać coś do tego, co z pod tego pióra wychodzi, daremna byłaby pokusa; ograniczę się tedy na określeniu jednego spotkania i bohaterskiej śmierci Małachowskiego, jak mi opowiadał naoczny świadek i nieodstępny jego towarzysz.

Od początku kampanii staczał on szczęśliwe boje z Moskalami, gromił ich w każdym spotkaniu i zabierał niewolników, których odsyłał do Końskich. Żołnierze jego nabrali tej pewności w siebie, jaką wzbudza powodzenie, a dowódcę nie ominęły zasłużone nagrody, bo z kapitana został majorem, potem podpułkownikiem i otrzymał najprzód krzyż złoty, potem kawalerski. Stał on z batalionem za Wisłą, koło wsi Góra, kiedy go doszła wiadomość, że do Puław przyszedł dywizyon dragonów i oddział piechoty, i zaraz powziął myśl zrobić na nich wyprawę. Wśród ciemnej nocy na kilku galarach przepłynął Wisłę, wylądował w bliskości Puław i równo ze dniem był pod miastem; ten pochód nie uszedł uwagi Moskali, zastał ich też w pogotowiu. Od Wisły ciągnie się w górę ulica drzewami

wysadzona, która przecina Puławy w całej długości, a zakończona rejszulą i stajniami, które przed powstaniem zajmowała bateria artylerii pieszej, pod dowództwem pułkownika Piętki. O kilkaset kroków od owych zabudowań uszykowani byli spieszeni dragoni i piechota, i ci (kiedy na drugim końcu ulicy ukazali się strzelcy Małachowskiego), rozpoznać ogień rotowy, ale kule ich dla znacznej odległości nie raziły wystawionych na nie, i ponad głowami przechodziły. Widząc to Małachowski, nie chciał darmo psuć ładunków, i ani jednym strzałem nie odpowiedział na ogień nieprzyjacielski, tylko posuwał się wolno, upatrując bocznego jakiego przejścia, którymby można wpaść na skrzydło nieprzyjaciela, i jednocześnie z frontu i z boku zaatakować go. Doszedł tak do dużego zajezdnego domu, przez którego otwarte bramy ujrzał wolne miejsce, zatrzymał zaraz batalion, zawołano właściciela domu, z którym chwilę pomówił, równie jak z dowódcą 4-tej kompanii, potem szli naprzód: trzy pierwsze kompanie pominęły ów zajazd, a kiedy dochodziła do niego ostatnia, na komendę dowódcy swego wpadła do domu, biegiem go przeszła, potem zwróciła się w prawo i wyrывая płoty ogrodowe, poza domami spieszyła na skrzydło moskiewskie, a tego ruchu nie widzieli oni, bo

z frontu dym, z boku domy zakrywały go przed nimi.

Na skrzydle Moskali stał jakiś oficer na koniu, zachęcał ich, nareszcie krzyknął: „wpierod rabiata!“ i nieśmiało postępowali naprzód. Spostrzegł to Małachowski i zaraz zwrócił się do ulubionego strzelca swego, co był zawsze za nim i prócz swej broni niósł jego drugi sztuciec, który bił nadzwyczaj daleko.

„Podbiegnij naprzód — zawołał — i pał ze sztucca do tego, co na koniu.“

Chyłkiem, popod domami poskoczył wezwany, a kiedy strzelił, koń wraz z jeźdźcem upadł na ziemię, a Moskale stanęli: w parę minut ukazał się powalony na świeżym koniu i znowu zachęcał swoich, którzy postępować zaczęli. Małachowski przewidując, że nieprzyjaciół zbliżywszy się uderzy na bagnety, których jego strzelcy nie mieli, a zachęca ich do tego ów oficer na koniu, ruszył sam naprzód i biegł od drzewa do drzewa, nareszcie stanął za jednym, strzelił, tym razem jeździec padł na ziemię, a koń uciekał nazad. Znowu stanęli Moskale i strzelać zaczęli, kiedy na prawem ich skrzydle ozwała się trąbka myśliwska i zaraz poza sztachetami wzdłuż ulicy ukazała się czwarta kompania i dała ognia. Zmieszali się Moskale na te niespodziane

strzały, a strzelcy będąc na ulicy, ruszyli biegiem, a kiedy się zrównali z Małachowskim, zatrzymali się: dwa szeregi pierwszego plutonu dały ognia, potem rozskoczyli się w prawo i lewo, drugi pluton wypalił, potem następny, a strzały jak wymierzone w zbitą kupę nieprzyjaciela, dużo powaliły ludzi. Cofnęli się też rażeni do rajtszuli, zatarasowali drzwi, po bokach których były okna, a za nimi przedsionek i wrota do ujeżdżalni wiodące. I niebawem z okienek i z pod dachu, z którego zerwali parę szarów gontów, strzelac zaczęli.

Trudne w tej chwili stało się położenie Małachowskiego, dostać się do rajtszuli było możliwe, ale raz wystrzeliwszy, co robić z przeciwnikiem, uzbrojonym w bagnety — nie mając ich?... Szczerściem nie wiedzieli o tem Moskale, — a Małachowski umiał korzystać z tej niewiadomości. Poskoczył on naprzód, ubiegł kilkadziesiąt kroków, nim strzelcy jego zdumieni tym czynem rzucili się za nim. Dopadłszy do ujeżdżalni, wybił on okno, wskoczył do przedsionka, potem rozwarł drzwi do rajtszuli wiodące, stanął w nich: „kryczy pardon!“ zawołał i złożył się ze sztucca, a Moskale jakby zmagnetyzowani tym czynem szalonej odwagi: „pardon!“ krzyknęli czterystu ich przed jedynym człowiekiem broń

złożyło. Prócz jeńców paręset koni z całym okulbaczeniem, przybory wojskowe, broń i amunicja, były zdobycze zwycięstwa, a co szczególnie zwracało uwagę, to była cerkiew obozowa, którą car Piotr Wielki miał w namiocie swoim w bitwie pod Puławą*). Po tem zwycięstwie kilka galarów znajdujących się w Puławach naładowano zdobyczą i jeńcami, na te, którymi przybyli, wsiedli dzielni strzelcy i wśród okrzyków zebranej na brzegu ludności Puław płynęli napowrót.

Batalion Małachowskiego należał do korpusu, którym dowodził gen. Sierawski, a składało go 7 batalionów piechoty w dwóch trzecich częściach w kosy tylko uzbrojonych, 12 szwadronów jazdy, w ich liczbie był jeden kosztem Jana Wielhorskiego wystawiony, i 6 dział. Mieli oni w połączeniu z generałem Pacem przejść przez Wisłę i nieść pomoc generałowi Dwernickiemu, będącemu na Wołyniu. Sierawski 14. kwietnia we wsi Pawłowicach i pod Solcem przeprowił się na tę stronę rzeki, a w przekonaniu, że Pac ją przebędzie pod Gołębem, żeby ułatwić mu przeprawę, posłał tam część statków, a dla zasłonięcia go, całą kawalerią swoją pod dowództwem pułk. Łagowskiego postawił

*) Cerkiew tę odesłał Małachowski wodzowi naczelnemu.

w Bełżycach, sam zaś z piechotą, co w jej liczbie był batalion Małachowskiego, zajął Wronów*). Łagowski zaatakowany przez generała Kreutza, po silnym oporze cofał się na Sierawskiego i złączył się z nim. Stoczono tam bitwę, w której ci młodzi żołnierze uporczywie bronili pozycji przez nich zajmowanej i byliby zdobyli większą część armat, gdyby Kaliszanie, „ta szpetna jazda“ (jak się dziwnie wyraża Mirosławski), nie była pierzchnęła. Ośmielony tem nieprzyjacieli przeważnymi siłami nacisnął Sierawskiego, który cofać się począł i odwrót ten nakazany koniecznością, a nie spowodowany przestachem odbywał się w porządku: „dzięki zaciętemu oporowi strzelców we Wronowie“**). Znużeni całodziennym bojem i nocnym pochodem, stanęli oni w Kaźmierzu, gdzie były statki ich, niedostateczne do spiesznego przewiezienia całego korpusu, bo część ich (jakem wyżej powiedział) posłał Sierawski do Gołębia w pomoc Pacowi, o którego innym przeznaczeniu dowiedział się generał w marszu.

Miasto Kaźmierz otoczone wąwozami, silny przedstawia punkt oporu i słusznie go wybrał Sierawski za miejsce przeprawy. Jednocześnie z tego tam przybyciem ukazał się nieprzyjacieli

*) Powstanie Narodu Polskiego.

**) Powstanie Nar. Pol.

i o 4. rano bój się rozpoczął. Ogień armatni Moskali żadnej prawie nie robił szkody, a ilekroć nieprzyjacieli kusił się o zdobycie wawozów, celny ogień strzelców Małachowskiego i Małczewskiego, którzy tam zaczajeni byli, ze stratą zmuszał ich do odwrotu, a po każdej takiej odprawie szwadron ułanów Wielhorskiego wypadał z niego i uderzał na nieprzyjaciela. Tymczasem przeprawiała się kawaleria za Wisłę, a Wielhorski nie chcąc opuścić Małachowskiego, z którym go łączył stosunek przyjaźni, ostatni jeszcze pozostał i dzielnie coraz ponawianem natarciem odpierał Moskali, którzy napróżno usiłowali wyparować strzelców z owego wawozu, przez który idzie droga do miasta wiodąca, i przeprawie przeszkodzić. Trwał tedy ciągle bój, ponawiały się szarże kawalerii, a tymczasem odpływały statki z wojskiem, kiedy oficer wysłany przez Małachowskiego dla sprowadzenia amunicji wrócił z doniesieniem, że dziwnym wypadkiem, nie wiadomo z czyjego rozkazu, oba kiesony ich z ładunkami poszły za Wisłę. Zawiadomił zaraz o tem Małachowski Wielhorskiego, a ten wyszedł z wawozu i na równym stali miejscu. Niebawem i strzelcy opuścili parów, a Moskale zdziwieni, nieśmiele z obawy jakiej zasadzki wchodzili do niego. Ależ kiedy już byli na drugim końcu, a widzieli, że ogień

strzelców nie ponawia się, domyślili się, że brak ładunków jest tego przyczyną, i śmielej wysuwać się poczęli. Uderzył na nich znowu Wielhorski, wtłoczył ich znowu w wawóz, a strzelcom dał czas sformowania się poza batalionem kosynierów. Pojął Małachowski, że tylko w białej broni (której nie mieli jego strzelcy) leży nadzieja powstrzymania pochodzącego nieprzyjaciela, zeskoczył też z konia, wziął kosę i stanął przed batalionem. „Dzieci! — zawołał — kosa w dobrym ręku stanie za mną!... za mną wiara!“ I ruszył naprzód, a cały batalion z okrzykiem hurra biegł za nim. Znana odwaga przywódzcy, zapal, jaki przywiał ten dzielny zastęp, wnosić każą, że byłby złamał szeregi nieprzyjaciela, ależ los nieubłagany nie dał mu tej pociechy, boaledwie że ubiegł połowę przestrzeni dzielącej go od nieprzyjaciela, raptownie stanął jak wryty, kosa wypadła z ręki, a on padł nieżywy, bo cztery kule pierś mu przeszły*). Na ten widok boleść niesłychana ścisnęła serce Wielhorskiego, ale nie złamała ducha. Uderzył na nieprzyjaciela, odparł go, a nim się zebrał na nowo, zwrócił się galopem,

*) Wszystkie szczegóły bitwy w Puławach, potem pod Wroławem i Kaźmierzem, jakoteż bohaterskiego zgonu Małachowskiego, takownie jak zakończenie, opowiadał mi niejaki Poligni, którego ojciec był nauczycielem Małachowskiego, a syn towarzyszem lat dziecinnych, w 1831 roku oficerem w jego batalionie.

dopał Wisły, a raz na brzegu wskoczył w wodę. Był już w połowie rzeki, kiedy chcąc ulżyć koniowi, który zmęczony tyłu szarżami, z ciężkością się posuwał, zeskoczył z niego, i trzymając się strzemięcia płynął obok, ależ dziwnym jakimś wypadkiem koń zwrócił się nazad i wyniósł jeźdźcę na brzeg od Kaźmierz, gdzie byli już Moskał; dostał się też do niewoli, Sierawski w porządku cofnął się z piechotą do Puław i Gołębia, gdzie znalazł dostateczną ilość statków i na nich przebył Wisłę.

Skrawione zwłoki Małachowskiego unieśli towarzysze broni i odesłano je stroskanej rodzinie, a na dzień pogrzebu stanął cały jego batalion w Końskich. Liczne grono obywateli z dalekich nawet okolic przybyło na ten smutny obrząd, mnóstwo ludzi wszelkiego stanu, żydzi nawet z rabinami, jeden z nich miał mowę pogrzebową. Towarzysze broni nieśli trumnę, — na której obok szabli leżał kulami przeszyty mundur jego, koń kirem okryty postępował za trumną, potem osieroceni strzelcy z bronią na dół spuszczoną, z wyrazem niewymownego żalu na twarzach, a pochód zamykało tysiąc przeszło jeńców, których w różnych spotkaniach zabrał nieboszczyk i jakem wyżej powiedział, w Końskich trzymał.

W kilka dni potem brat zmarłego Gustaw mówiąc na sejmie, wspomniął o bolesnej stracie, jaką poniósł, a żyzy przerwały mu mowę; to wzruszenie znalazło odbicie w sercach obecnych, toteż senat i izba powstali z miejsc swoich, a marszałek sejmu w wyrazach pełnych wzruszenia zapewnił stroskanego brata o współudziale, jaki kraj cały bierze w boleści jego.

* * *

Takie były czynności i armii głównej i pojedynczych oddziałów po koniec maja, to jest do bitwy pod Ostrołęką, po której cofało się wojsko nasze pod Warszawę, nie ścigane przez nieprzyjaciela, który w tym krwawym boju stracił zabitych i rannych, czwartą część swego żołnierza. Opuszczony tedy był przez Polaków cały prawy brzeg Wisły, pozostały tylko fortece Modlin, Zamość i oszańcowana Praga.

Reorganizacja armii i zapewnienie szeregów tyła krwawymi bojami przprzedzonych było szczególnem zajęciem wodza naczelnego. Umochniono szanie Warszawy, porobiono barykady w całej szerokości zamykające ulice, w nich były otwory na działa, oszańcowano Wolę, a raczej kościółek tameczny, słowem nie zaniedbano nic, co do obrony stolicy potrzebne było, gdyby nieprzyjacieli przebył Wisłę.

W czerwcu była niefortunna wyprawa pod dowództwem generała Jankowskiego, na korpus Rüdigera zrobiona, który otoczony w okolicy Kocka i Łysobyk po raz pierwszy przez przeważające siły nasze, byłby niewątpliwie broń złożył, gdyby błędy Jankowskiego (jak twierdzi opinia) a jak utrzymywał Rüdiger, opuszczenie przez Ramorinę zajmowanej przez niego pozycji, nie były mu ułatwiły możności wyjścia z tego zgubnego położenia*).

Nie długo potem nastąpił powrót generała Dembińskiego z Litwy, we 4000 ludzi przeszedł on od granic Kurlandyi do Warszawy, stoczył po drodze kilka szczęśliwych utarczek, szczególnie w bliskości Modlina, gdzie pobił na głowę generała Gołowina, który mu drogę zastąpił.

Tak tedy zeszedł miesiąc czerwiec i część lipca, a armia nasza zebrana na lewym brzegu Wisły organizowała się; podzielono ją na dwie równe niemal części, z których jedna była pod specjalnymi rozkazami wodza naczelnego, drugą dowodził Ramorino. Dwumiesięczna

*) Sam słyszałem generała Rüdigera opowiadającego, że Ramorinie zawdzięcza ocalenie swoje, zakończył on je słowami, które utkwiły mi w pamięci: „Vous ne savez pas Messieurs ce que vous coute Ramorino“, powtórzył on to w pochodzie swoim przez Galicję, w czasie węgierskiej kampanii i to samo utrzymywał pułkownik Viani z armii austriackiej, przydzielony do sztabu Rüdigera, a podobny postępek Ramoriny przed bitwą pod Novarą, za który został rozstrzelany, staje na poparcie tego twierdzenia.

blizko nieczynność wywołała ostrą krytykę dziennikarstwa, a kiedy jeszcze przyszła wiadomość, że Moskale bez oporu przeszli Wisłę pod Niezawą, to i ludzie poważni udział w rządzie mający zapytywali generała Skrzyneckiego o powód tego biernego zachowania się wobec grożącego niebezpieczeństwa. Zagadnięty w ten sposób przez ludzi mających prawo do kontrolowania postępów jego, odrzekł, że ta pozorna nieczynność jest skutkiem planu, jaki ułożył, którego wykonanie (ma nadzieję) obfitsze jeszcze przyniesie owoce, jak zwycięstwa pod Wawrem, Dębem i Iganiami; ależ go nie wyjawi, bo doświadczenie go nauczyło, że gazety przedwczesnem ogłaszaniem planów powziętych wielką krzywdę przynoszą sprawie narodowej; jako dowód przytaczał kilka podobnych wypadków, a szczególnie jeden zaszły w początkach powstania, gdzie gazety najnieoględniej mówiły o nadziejach, jakie budziło dobre usposobienie korpusu litewskiego, a szczególnie rozstawionej nad granicą dywizyi kawalerji generała Włodka. Otworzyło to oczy Moskalom, zaraz też odebrano komendę korpusu Rosenowi i objął ją Pahlen, dywizyi Włodkowi, zmieniono wszystkich niemal dowódców pułków, mnóstwo oficerów Polaków zastąpiono Moskalami, a tak sparaliżowano przyjazne usposobienie pięćdziesiąt-

tysięcznej armii, całej prawie z Polaków z zabranego kraju złożonej. Zbrodnica tedy żąda kilku ludzi popisania się z czemś nowem pozbawiła sprawę narodową nieobliczonych korzyści*). Pomimo tej odpowiedzi nakazanej koniecznością wyrzekania dzienników nie ustawały, a rząd narodowy, a raczej sejm czy nie dowierzał zdolnościom generała Skrzyneckiego, czy też przez słabość uległ wymaganiom prasy, słowem, że wysłał do wodza naczelnego deputacyą, która miała żądać od niego wyjawienia planów swoich, a gdyby tego dopełnić nie chciał, odebrania mu dowództwa. Wysłanych było trzech: z senatu zda mi się kasztelan Bniński, i dwóch z izby poselskiej, z nich jeden Józef Świrski, poseł hrubieszowski, dawny wojskowy z Księstwa Warszawskiego, i ci udali się do Bolimowa, gdzie była główna kwatera. Byłem w mieszkaniu Świrskiego (które zajmował wraz z Pawłem Cieszkowskim, postem Krasnotawskim) w chwili powrotu jego z owej misyi do Skrzyneckiego; i nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie mi widok jego zrobił. Skoro zajechał powóz, wybiegliśmy na jego spotkanie, i uderzył nas wyraz boleści

*) Niezmierna liczba niewolników zabranych w bitwach stoczonych w wielkim tygodniu przeważnie składała się z żołnierzy należących do korpusu litewskiego, z mowy nie wielkiej liczby oficerów Polaków, co pozostawiono, można się było przekonać, że nie płonęmi były nadzieje, jakie w nich pokładano.

wyryty na tem zwykle wesołem obliczu; blady, z okiem zwilżonem, cisnął on chustkę do ust, którą w rękę trzymał, jakby chciał utłumić boleść we łzach wybuchnąć gotową; a kiedy go zapytał Cieszkowski, co za wieści przywozi, „najgorsze!“ odrzekł i spiesźnie szedł na górę, gdzie nam opowiedział, że genera pomimo usilnych nalegań oświadczył, że nie działa na ślepo, i ma plan ułożony, wskutek którego podzielił siły swoje na dwie części, jedną z nich dowodzi generał Romarino; jak zaś zamierza z tak uorganizowanem wojskiem działać, wręcz odmówił wszelkich objaśnień, zawsze składając się obawą jawności, która już nieraz sparaliżowała czynności jego. To niejasne tłumaczenie nie odpowiadało instrukcyi, jaką mieli wysłani, i nie mogło zadowolnić opinii publicznej, toteż po długiej dyskusyi, która w niczem nie zmieniła pierwotnego postanowienia generała, zażądali od niego, żeby złożył dowództwo. Bez najmniejszego oporu zgodził się z wolą sejmu, a kiedy ten bolesny akt dokonany został:

„Teraz“, rzekł, „jako człowiek prywatny, nie „skrępowany obowiązkami, jakie przed chwilą na mnie ciążyły, mam prawo usprawiedliwić się i rzucić niesłuszny zarzut nieoświadczony bezczynności; opowiem panom plan mój. Jednej nocy po moście wysłanym słomą

(żeby hałas nie zdradził tego ruchu) korpus Ramoriny miał przejść na Pragę i forsownym marszem stanąć nade dnem w Modlinie; tam przejść znowu na lewy brzeg Wisły i stanąć w puszczy kampinowskiej, której ostatni kraniec kończy się w tyle armii rosyjskiej, a jednocześnie rezerwy z krakowskiego miały się zbliżyć do prawego skrzydła nieprzyjaciela. Ten ruch szybko i w tajemnicy wykonany byłby niewątpliwie uszedł uwagi Moskali, którzy, ile mi wiadomo, mają przekonanie, że założeniem mojem jest skupieniem siłami bronić Warszawy. Ramorino podług obliczenia około 10. rano powinien znajdować się na naznaczonem miejscu, doliczywszy parę godzin na zwłokę nieprzewidzianą, o samem południu miałem zaatakować Moskali, a strzały armatnie byłyby zawiadomiły stojących w puszczy kampinowskiej, że bitwa już rozpoczęta. Wyczekawszy godzinę, półtorej najwięcej, żeby bój na całej linii był zaangażowany, miał Ramorino wyjść z puszczy i z tyłu uderzyć na nieprzyjaciela. Wierzajcie mi, panowie, że najodważniejszy żołnierz, skoro posłyszysz armaty za sobą, ma się za zgubionego, i że nieład musi towarzyszyć takiemu położeniu; przypuściwszy nawet, że zdołaliby przełamać linie Ramoriny, cóż im innego pozostawało, przebiwszy się, jak cofać się do Prus, a w tym

pochodzie z przodu zatrzymywałyby ich rezerwy, z tyłu żadną przeszkodą nie paraliżowana, parłaby ich cała armia nasza. Ruch Ramoriny łatwo usprawiedliwić można było wyprawą na korpus Gołowina, chęcią oczyszczenia z nieprzyjaciela stron przez niego zajmowanych, a przez to możliwością uprowadzenia Warszawy, istotny więc cel tego pochodu tajemnicą musiał być pokryty, i stąd opór mój wyjawienia zamiarów, jakie miałem.

„Taki był plan mój, i wszystko do niego gotowe, czy mój następca zechce go wykonać, czy też zaniecha go, to nie moja już rzecz, w każdym razie wolny jestem od zarzutu bezczynności.“

To tłumaczenie wodza naczelnego odnieśli wysłani do niego sejmowi, a ten oddał dowództwo generałowi Dembińskiemu, którego śmiały pochód z Litwy zalecał na to miejsce. Przez krótki czas dowództwa jego nic ważniejszego nie zaszło, były tylko drobne podjazdowe utarczki, jedną z takich był rekonesans wykonany pod dowództwem pułkownika Legalois, gdzie batalion 3-go liniowego, napadnięty przez pięćdziesiąt przeszło szwadronów kawalerii ze stosowną artylerją, bronił się bohatersko kilka godzin, zastał trupami nieprzyjaciół pobojowisko i byłby wyszedł cały, gdyby nie nadbiegły dwie baterie

artylerii konnej, których kartacze ubiły dwie trzecie części tego dzielnego zastępu; niespełna trzystu dostało się do niewoli, w ich liczbie nie było ani jednego, któryby mniej jak dwie ran odebrał.

* * *

Przy końcu lipca zaszedł wypadek, który nigdy jasno wyświecony nie był, a którego następstwa smutny cień rzuciły na cele powstania 30. roku i w niewłaściwym świetle ocenione były przez gabinety Europy. Rząd (jak mówiono) wpadł był na ślad jakiegoś antynarodowego spisku, i wskutek takowego aresztowano generałów Jankowskiego, Bukowskiego, Sałackiego i Hurtyka, z cywilnych zaś pamiętam, że był ujęty niejaki Bętkowski, który w czasie koronacji cesarza Mikołaja odgrywał rolę herolda, co głosił ten akt pamiętny, i jakaś pani Bażanoff, wdowa po wojskowym rosyjskim; wszyscy oni pomieszczeni byli w zamku, i toczyło się śledztwo. W wyobrażeniach ludzi, co powstaniu z 30. roku chcieli nadać cechę rewolucyjną, co prócz ofiar na polu bitwy zapragnęli ich i na rusztowaniu, zdało się opieszale to postępowanie sądowe, i w dniu 14. sierpnia tłumy ludzi podmówionych przez nich otoczyły powóz księcia Czartoryskiego i domagali się spie-

znego ukarania obwinionych. Tu nadmienić muszę, jacy ludzie kierowali tymi ulicznymi ruchami. Zaraz po wybuchu powstania związał się był rodzaj klubu, i w kawiarni na ulicy Miodowej (która od nazwy właścicielki Honoratką zwano) były ich zebrania, tam schodzili się ludzie ciekawością zdjęci, co chcieli przypatrzeć się temu nomemu dla nich widowisku, fundowali oni poncz, a składający ów klub popisywali się z mowami, w których najdziwniejsze teorie i najskrzejniejsze opinie wygłaszane były. Ależ to doraźne zebranie ludzi, z których żaden nie poszedł bić się za sprawę, której dyrekcyą przywłaszczał sobie, zapragnęło cechy że tak powiem urzędowej i ukonstytuowało się w towarzystwo pod nazwą patryotycznego. Wybór przewodniczącego stał się rzeczą arcyważną, bo był sztandarem, który w razie zarzutów mógł pokryć nie jedną rzecz zdrożną; i zrozumieli to stowarzyszeni, ofiarowali też tę godność Joachimowi Lelewelowi. Dziwną jakąś słabością powodowany, ów członek rządu przyjął przewodnictwo stowarzyszenia, co stało w opozycji z legalną władzą, której on był częścią; a kiedy zacny Barzykowski, jeden z pięciu członków rządu, robił mu o to wymówki, to się tłumaczył potrzebą dla władzy, mienia w ręku swoim tę organizującą się opozycyą.

Unikał on jednak wszelkiej jawnej styczności z Towarzystwem, które go prezesem swoim wybrało, i nie wiem czy do końca powstania trzy razy przewodniczył zebraniom, chociaż co dzień miały miejsce. Zastępował go w tej czynności ksiądz Puławski Pijar, którego przeszłość żadnej nie przedstawiała rękami,^{*)} a najruchliwszym czynnikiem w tym zebraniu był Szyndlarski, także Pijar. Puławski, człowiek wysokiej nauki, przytem wymowny, robił też wrażenie na umysłach ludzi wykształconych, Szyndlarski znowu namiętny, w wyrażeniach rubaszny, istny retor uliczny, był ulubieńcem nieoświeconej części słuchaczy i chętnie dyskusa rozpoczął w sali posiedzeń Towarzystwa przenosił do piwiarni lub szynku.

Kilka razy zamierzali oni wywołać jakąś manifestacyą, jakiś ruch uliczny, ale obecność siły zbrojnej, której gotowość w spełnieniu danych rozkazów i niechęć dla Towarzystwa patryotycznego znane im były, niemożliwymi uczyniły te wybryki. Od początku prawie sierpnia Warszawa zupełnie z wojska ogolona była, wszystko stało na linii bojowej, około Bolimowa, skorzystało z tego towarzystwo patryotyczne i 14-go (jakom wyżej powiedział) podmówione przez nich tłumy oto-

^{*)} Puławski był profesorem w Collegium Nobilium na Żelaznym, gdzie pobierałem nauki.

czyły powóz księcia Adama Czartoryskiego, prezesa rządu, żądając ukarania obwinionych o zdradę kraju. Książę zapewnił ich, że śledztwo się agituje, a skoro to ukończone zostanie, zaraz winni stawieni będą przed sąd, który zawyrokuje o ich losie. To zapewnienie zaspokoili zebranych, bo z okrzykami na cześć księcia rozeszli się do domów, ale nie zadowolniło widno klubistów, i dlatego jedni przebiegali najoddalniejsze dzielnice miasta, agitując pomiędzy tameczną ludnością, większa zaś część radziła ciągle w starym teatrze na dole, gdzie była sala ich obrad; a rząd oszukany tym pozornym spokojem, rachując przytem na gwardyą narodową, żadnych środków stłumienia jakiegoś wybuchu nie przedsięwziął, a ta nieoględność uzuchwalała przewodzców owego ruchu. Toteż 15. ku wieczorowi wystali oni deputacyą do rządu narodowego, której pochodowi do Namiestnikowskiego pałacu towarzyszył tłum wielki ludzi.

Żądania objawiane 14. o przyspieszenie sądu na obwinionych, zamieniły się teraz w wymagania natychmiastowego ich ukarania, a postawa ludu zebranego przed pałacem kazała wnosić, że w razie odmowy gotów się dopuścić nadużyć. Ależ uczucie sprawiedliwości i sumienie nie dozwalały zadosyć uczynić tym wymaganiom, wręcz też człon-

kowie rządu odmówili tego, co wyłącznie atrybucją sądów było. Z oznakami najwyższego rozdrażnienia opuściła deputacya pałac Namiestnikowski, a tłumy towarzyszące jej rozbiegły się po mieście, i zaraz przedmieścia ponad Wisłą położone, siedziba drwali, rybaków i wszelkiego rodzaju wyrobników, były teatrem zachęceń do krwawego czynu, który agitatorowie wymiarem sprawiedliwości mienili. Wypadek zrządził, że mimowolnym byłem świadkiem tych dzikich saturnali, jakich się dopuścił lud warszawski w tej pamiętnej nocy, a takie one na mnie zrobiły wrażenie, że czas nawet, ten nieubłagany niwelator najsilniejszych uczuć, nie potrafił zatrzeć go w mojej pamięci.

Z dwoma kolegami byłem w teatrze i sie dzieliśmy obok łoży gubernatora Warszawy, którym był wówczas generał Węgierski, razem z nim był adjutant jego, blizki mój krewny. W połowie sztuki usłyszeliśmy przyspieszony krok kogoś biegnącego kurytarzem, wszedł on do łoży gubernatora i zaledwie wymówił parę słów, generał zerwał się i wyszedł, a jednocześnie usłyszałem pukanie do drzwi naszych, a kiedyś je rozwarł, ujrzałem owego krewnego mego, który mi rzekł półgłosem: „Wychodźcie spiesźnie, kontrewolucya wybuchła,“ i podążył za generałem. W jednej chwili byliśmy na placu Krasińskich, gdzie cichość jeszcze

była zupełna, kilku jednak przechodniów zaniepokojonych pytało nas, czy nie wiemy co się dzieje. Zbywszy ich, dążyliśmy ulicą Miodową i na jej końcu spotkaliśmy oddział gwardyi narodowej, idący ku Krakowskiemu Przedmieściu, zapytani przez nas, dokąd idą, odrzekli że do zamku, szliśmy więc wraz z nimi. Plac przed zamkiem zapelniony był ludźmi, pomiędzy nimi, jak robaczki świętojańskie, migła masa latarek, wszyscy zaś stali w największym milczeniu z oczami zwróconemi na zamek. Przecisnąwszy się przez ten tłum, stanęliśmy przed zamkiem, gdzie była gotowość do bronienia przystępu. Kompania gwardyi narodowej z batalionu Kielera, z bronią do nogi, uszykowana była przed bramą wjazdową frontem na plac, na prawem jej skrzydle było kilkudziesiąt oficerów linowych, obok których i my stanęli. Jeden przemawiał do zebranych, wzywając ich, żeby się rozeszli, wystawując całą ohydę tego nieposzanowania prawa i płamę, jaka stąd spadnie na ludność Warszawy, a na to wystąpił ktoś z tłumy i odrzekł, że lud ma prawo wymierzyć sam karę na zdrajcach, skoro rząd narodowy odmawia tego wymiaru sprawiedliwości; oficer zbijał znowu to twierdzenie, mówił, że tu nie chodzi o odmowę, ale o zachowanie form legalnych, do czego każdy

obwiniony ma prawo odwołać się; jakimiś sofizmatami odpowiedział mowca ludowy, a oficer przemawiający znudzony widno tą bezowocną gadaniną: „Rozjejdźcie się, panowie,“ zawołał, „bo każemy dać ognia!“ A kiedy jednak nie ustępowali zawezwani, „na ramię broń!“ krzyknęło kilkanaście głosów, a na brzęk zerwanych karabinów cała ta masa rzuciła się w tył i kilkanaście kroków zrobiło się wolnego miejsca między nią a frontem kompanii. I znowu próbowano perswazyi, a kiedy ośmielony tą powolnością, tłum zbliżał się coraz, na komendę „cel! pa!“ huknęły wystrzały i zaraz kule zaklekotały gdzieś po dachach, a kiedy się dym rozszedł, ani jednego zabitego nie było na ziemi, bo kompania w górę strzeliła. „Hura!“ rozległ się okrzyk niezmierny, cała ta masa wpadła na gwardyę, która żadnego oporu nie stawiała, potem z trzaskiem wypadła brama i jak wezbrany potok sunął tłum ludzi w dziedziniec zamkowy. Przerażający to był widok tego napadu ludowego, toteż jakby wczorajsze wydarzenie pozostał mi w pamięci; bo jakieś dziwne postacie, których ani przedtem, ani potem nie zdarzyło mi się napotkać na ulicach Warszawy, były głównymi aktorami tego dramatu. Mężczyźni zarośnięci, z gołemi po ramiona rękami, uzbrojeni w młoty, szyny żelaza, lub drążki; kobiety z rozczochrany

włosem, z obnażoną piersią, sprosnymi giestami wstręt wzbudzały, obdarte dzieci, jak młode szakale skacząc i krzycząc, radość swoją z tego rozpasania starszych objawiały; wszystko wśród zgielku pięło się po wschodach, zalewało kurytarze i krużganki i gwarem napełniało zamek. W oknach wszystkich pięter migwały światła pochodni i latarek, wśród zgielku słychać było czasem trzask pękających drzwi, wtedy okrzyki radości i klaskanie w ręce były dowodem, że nową odkryto ofiarę. Oknem wyrzucono ciało zamordowanego Bętkowskiego, na tarasie zamkowym leżał zabity jenerał Bukowski, a resztę ujętych wśród uragań i śmiechów, rannych, zbitych wleczono na dół pod latarnie na rogu zamku od strony pałacu pod blachą będące — i tam ich wieszano. I coraz to słychać było skrzypienie kołka na haku, potem ponad głowami widzów wznosiła się w górę postać ludzka, która chwiała się w powietrzu, bo ją za nogi targali oprawcy. W niespełna godzinie skończyło się wszystko, a pod latarnią leżała kupa ciał ludzkich, tak zeszpeconych razami, że je rozpoznać nie podobna było. Zgrozą przejęty wciskałem się w tłum, co plac zalegał, kiedym usłyszał, jak silnym głosem ktoś wołał: „Rozjejdźcie mi się do domów, a nie, to was kartaczami przywitam.“ Zdziwiony tą śmia-

łością pojedynczego człowieka, patrzałem w kierunku głosu i ujrzałem, jak obecni rozstępowali się z pośpiechem, a wolnem miejscem szedł generał Krukowiecki, a za nim z wielkiem mojem podziwieniem postępował ów krewny mój, adjutant Węgierskiego. Generał patrzył surowo na prawo i na lewo, przemówił coś do stojącego niedaleko mnie oficera, który ruszył za nim, a kiedy się zrównał ze mną: „Vous irez avec moi!” zawołał, a ja spełniłem ten rozkaz.*) W przechodzie przez plac z dzieśnią nas zwerbował generał, potem rozległo się wołanie: „na prawo i na lewo rozstap się“, i ukazało się kilkanaście okulbaczonych koni zamkowych, które wiedli masztalerze, poczem generał wsiadł na swego, kaźden z nas dosiadł jednego i galopem ruszyliśmy Krakowskiem Przedmieściem, którem biegli tłumy ludzi.

Jeszcze w początkach powstania uwięzionych było kilkudziesięciu znanych całej Warszawy szpiegów i agentów policyjnych, których trzymano za wolskimi rogatkami w domu zwanym z a r o b k o w y m. Przez 8 miesięcy toczyło się śledztwo z nimi, ależ tyle przybywało nowych i dowodów i indywidualów skompromitowanych, że końca temu nie było; nie uwzględniła tego opinia publiczna i tę

*) Zdawna ja znany byłem generałowi, ze szwagrami bowiem jego Wolskimi wychowywałem się razem i bywałem w jego domu.

zwłokę jedni na karb opieszłości śledzących, drudzy złej woli kładali. Łatwo pojąć, że ludzie należący do ruchu, o którym dopiero mówiłem, dzielili to ostatnie zdanie i postanowili przeciąć ów węzeł gordyjski w sposób, jakiego użyli dla obwinionych o zdradę.

Po dokonaniem tedy morderstwa w zamku część jedna zebranych spieszyła ulicą Elektoralną za rogatki wolskie, niektórzy zaś Królewską, w którą wjechał generał wraz z nami. Tuż koło kraty Saskiego ogrodu jest dom Lesła, przed nim stała kupka ludzi, pomiędzy nimi kilku gwardzystów narodowych z bronią, którzy przysłuchiwali się hałasowi, który słyszać było wewnątrz domu.

„Co to takiego?“ — zapytał generał zatrzymując się.

„Podobno kogoś aresztują!“ — odrzekł jeden z obecnych, — a generał zeskoczył z konia i zwracając się do gwardzystów:

„Macie broń nabitą?“ — spytał.

„Mamy!“ — odrzekli.

„A więc sześciu za mną!“ — zawołał i wszedł do domu. Zaparte z sieni drzwi wywalili gwardziści, w jednej chwili byliśmy w przedpokoju, a kiedy generał rozwarł drzwi do salonu, ujrzałyśmy kilku ludzi, którzy składali zrabowane rzeczy. Na widok generała dwóch czy trzech wyskoczyło oknem, jeden

włożył pod kanapę, a dwóch stało pod ścianą strachem przejętych.

„Ha! łajdaki!“ — krzyknął generał i wyjął chustkę z kieszeni, zawiązał węzełek, potem zebrał trzy końce chustki:

„Ciągnij!“ — zawołał, a ci drżącymi ze strachu rękami spełnili ten rozkaz. Ten, któremu padł węzełek w udziale, drzeć począł, a generał zwracając się do gwardzistów:

„Ognia do niego!“ — zawołał. Huknęło kilka wystrzałów, a ugodzony padł na stół, potem stoczył się na podłogę i skonał, gwardziści ujeli dwóch pozostałych.

Po tym doraźnym sądzie wsiedliśmy na koń i spieszyliśmy do domu zarobkowego; wyprowadził nas tam tłum ludu, a nie mając czasu wieszania swoich ofiar, wymordował je, a to w sposób tak okrutny, z takim nieludzkim pastwieniem się, że to wspomnienie zgrozą przejmuję, a przyzwyczajenie nie pozwala opisu tej kahlbalskiej uczty przelać na papier. Kiedyśmy tam przybyli, już nie zastaliśmy sprawców tego mordu, jęki tylko przeciągłe ich ofiar słyszać było i wyciągano wielu żywych jeszcze z kątów i zakątków, gdzie się dowlec zdołali, i powieziono ich do szpitali.

Zarządziwszy dla rannych pomoc, na jaką się w tej chwili zdobyć można było, wracaliśmy ku dniowi do miasta, a generał widząc,

że zbiegowiska rozpierzchnęły się, dozwolił nam udać się do kwater. Moja była po drodze w domu Brzostowskiej, który w owym czasie stanowił róg z boczną uliczką wiodącą do Żelaznej Bramy, na niej koło domu był mur dziedziczny i brama wjazdowa, w dziedzińcu stajnie i wozownie. Zsiadłem właśnie z konia i zalecałem słującemu, żeby skoro się dzień zrobi odprowadził go do zamku i przyniósł mi dowód, że go oddał, a ten przypatrując mu się:

„Ładny to koń — mówił — ale my lepszego dostali.“

„A to jakim sposobem?“ — spytałem.

„Wpadł tu na dziedziniec, poczuwszy stajnię wbiegł do niej.“

Kazałem zaraz zaświecić latarnią i wyprowadzić konia. Była to śliczna klacz jasno-gniada okulbaczona w angielskie siodło, pod nią był czapraczek granatowy z karmazynowym obszlegiem i białą wypustką; patrząc na nią zdało mi się, że ją gdzieś widział, ale gdzie, u kogo, przypomnieć sobie nie mogłem.

„Ja ją gdzieś znam“ — rzekłem.

„A czyjaż ona?“ — odparł służący.

„Otóż tego nie pamiętam“ — mówiłem i zamyśliłem się, a służący wpatrywał się w nią:

„To czaprak — mówił — albo adjutancki,

albo piątego pułku ułanów, u którego z oficerów musiał pan widzieć.“

Ta uwaga rozpedziła mą niepewność i przypomniałem sobie, to klacz Zdzisława Zamojskiego, który chory leżał w pałacu ojca swego, postanowiłem też rano odwiedzić go i oddać mu zgubę. Wyszedłem zaraz na boczną uliczkę dążąc do drzwi frontowych domu, kiedy na zakręcie na Elektorálną, spojrzawszy w prawo, ujrzałem światło w oknie pawilonu pałacu Zamojskich, co dotykało do placu przed bankiem: było to mieszkanie p. Zdzisława, a że paręset kroków tylko dzieliło mnie od niego, postanowiłem iść tam. Drzwi od sieni nie zamknięte były, wszedłem też na górę. W przedpokoju służący powiedział mi, że pan nie śpi, i że się wcale nie kładł, bez obawy też zbudzenia wszedłem do jego mieszkania. Chodził on szybko jakiś zamyślony i rodzaj niepokoju malował się na twarzy jego; po przywitaniu pytał, co mnie o tak ранней porze sprowadza do niego.

„Przyszedłem się dowiedzieć — odrzekłem — czy masz zawsze tę ładną klacz gniadą, com ją tak podziwiał w pochodzie na gwardye, czy przypominasz sobie?“

„Mam ją — odparł — albo co?“

„Masz?“ rzekłem zdziwiony.

„Ta gniada z gwiazdą?“ — zawołał chwytając mnie za rękę.

„Ta sama!“ — odrzekłem.

„Mocny Boże! — wykrzyknął załamując rękę — jakieś nieszczęście spotkało księcia.“

Zaniepokojony tym zwrotem rozmowy, prosiłem go o objaśnienie, dodając, że mogę być użytecznym na przypadek jakich poszukiwań. Podzielał on widno to moje zapatrywanie się, bo mi udzielił wszelkie szczegóły.

Zaraz po wybuchu owego zaburzenia w mieście rząd narodowy zebrał się w namiestnikowskim pałacu, dokąd przybył generał Krukowiecki i zapewnił, że potrafi uśmierzyć ten rozruch, jeżeli rząd da mu upoważnienie. Znana energia generała kazała wnosić, że jeżeli kto to on jest w stanie stłumić te niepokoje, dlatego bez wahania oddano mu urząd wojennego gubernatora Warszawy. Z nominacją w ręku udał on się do prymasowskiego pałacu, odebrał komendę od generała Węgierskiego, a zastawszy przy nim owego kuzyna mego, wziął go z sobą i poszedł na plac zamkowy.

Zdawszy władzę w mieście Krukowieckiemu, rozeszli się członkowie rządu, a ks. Czartoryski udał się do Sapieżyńskiego pałacu, gdzie mieszkał. Coraz to dochodzące wieści o usposobieniu burzycieli kazały wnioskować,

że lud podmawiany przez przewódców gotów jest dopuścić się gwałtów, nie tylko na ludziach obwinionych o zdradę, ale i na osobach, okrytych zaufaniem publicznem, dlatego też przyjaciele księcia prosili usilnie, żeby opuścić Warszawę i udać się do obozu. Uległ tym naleganiom książę, wyszedł przez ogród swego mieszkania i tyłami dostał się do pałacu Zamojskich i wszedł do mieszkania p. Zdzisława. Tam uradzono, żeby książę przywdział mundur wojskowy, — przytem obecni zalecali, żeby jechał na Jerozolimskie rogatki. Skoro się książę przebrał, pogaszono latarnie dziedziniec oświecające, przed wyjściem z mieszkania pana Zdzisława stanął masztalerz z dwoma osiodłanymi końmi; a jedna była klacz bułana, druga owa gniada z gwiazdką, co się znalazła w stajni mojej. Niebawem ukazał się książę i pożegnawszy czule tych, co mu towarzyszyli, ruszył, a pan Zamojski w ciemności nie dojrzał, na którego z dwóch koni wsiadł książę. Wyszliśmy zaraz na zwiady, wypytywany mój służący mówił, że słyszał strzały na chwilę przed ukazaniem się klaczy, i te ile się zdaje pochodziły z ul. Elektoralnej, postanowiliśmy w tym kierunku robić poszukiwania. Drugi czy trzeci dom od tego, w którym mieszkałem, był Reszkiego, przypierała do niego barykada; kiedyśmy przechodzili

otwór dla przejezdnych zostawiony, przy blasku zorzy porannej spostrzegliśmy ślady krwi na bruku, które nas do bramy domu doprowadziły, przywołany stróż kamienicy powiedział nam, że właściciel domu dał schronienie jakiemuś rannemu człowiekowi, którego na ulicy znaleziono. Poszliśmy go odwiedzić i pokazało się, że to był ów masztalerz, co księciu towarzyszył. Mówił on nam, że książę zapomniał widno przestrogi, jaką dano, i zamiast za Jerozolimskie rogatki, wjechał na ulicę Elektoralną. W ciasnem przejściu onej barykady ktoś go poznał i głośno nazwał, i zaraz padło kilka strzałów, on dostał kulą w nogę, a padając widział, jak książę spał konia ostrogami i zniknął w tłumie. Zarządziwszy potrzebny ratunek dla rannego, spieszyliśmy ku Wolskim rogatom, żeby się dowiedzieć, czy je książę szczęśliwie przebył, i dochodząc do Czystego, przed domem narożnym spotkaliśmy kilkoro ludzi żwawą prowadzących rozmowę, której wypadki tej nocy były przedmiotem. Jakaś kobieta rozповідаła, że kiedy biegli dążąc do rogatek, rozległ się krzyk między niemi: uciekajcie! bo koń kogoś unosi — i zaraz ukazał się jakiś oficer na rozbieganym koniu.

„Widziałeś go?” — spytał ją p. Zdzisław.

„Widziałam doskonale,” — odrzekła zapytana — „jak przelatował koło latarni.”

„A jakież maści był koń jego, czarny czy biały?”

„Nie, jakiś żółty” — odrzekła; — rozśmiali się obecni, ale dla nas dowodem było, że ów jeździec, to był książę na bułanej klaczy; spieszyliśmy też do rogatki, jako kresu poszukiwań naszych. Wypytywani przez nas strażnicy rogatkowi mówili, że i oni słyszeli ten okrzyk o zbieranym koniu, a kiedy jeździec dopadał rogatki, ktoś ściągnął szlaban, ależ pędzący bez namysłu spał konia ostrogami, hop! wykrzyknął, a koń w niezmiernym skoku przesadził zawadę, która wraz z kolcami, którymi nasadzana była, trzy łokcie wysokości miała. Za rogatką będący chcieli go zatrzymać, ależ jeździec zwrócił konia w lewo, przeskoczył znowu rów, a w polu znikł wśród nocy. To opowiadanie uspokoiło nas o los księcia, z dobrą też otuchą wracaliśmy do miasta, a w kilka godzin potem nadeszła wiadomość, że książę jest w głównej kwaterze. Znalazłszy się w moim mieszkaniu, pomimo zmęczenia sen mi nie imał, stałem też w oknie patrząc na ulicę, kiedy odbiło się o uszy moje jakieś klaskanie w ręce i okrzyki: brawo! wśród śmiechów wygłaszane. Zaciekawiony wychyliłem się z okna i ujrzałem u owego przejścia między barykadą, wychodzących kilkunastu uliczników, którzy podskakując w tył klaskali

i wykrzykiwali; za nimi szła kupka ludzi, w pośród była kobieta nadzwyczaj śniada, z dużym bardzo nosem, w białym perkalowym czepku i ciemnej salopie, którą dwóch ludzi prowadziło pod ręce. Przeszli oni plac przed bankiem i zatrzymali się koło latarni przy kracie pałacu Zamojskich stojącej. Chwila była jakiegoś wyczekiwania czy narady, potem spuszczone rewerber, niebawem zaczęło silnie skrzypieć kółko haka i na postronku w miejscu latarni ukazała się owa jejmość w czepku i salopie, która chwylała rękoma za duszą ją powróż. Zgrozą przejęty odstąpiłem od okna i wystąłem służącego dowiedzieć się, co to za jedna powieszona, niebawem wrócił on i doniósł mi, że to był mężczyzna za kobietę przebrany nazwiskiem Kawecki, inspektor szkół, znienawidzony przez całą ludność Warszawy, który przebrany za kobietę chciał opuścić miasto, ale go wydał dorożkarz, co go wiozł, i zaraz znaleźli się ochotni, co go ujęli niby w chęci odprowadzenia na ratusz, a nie znalazłszy żadnej przeskody, po drodze powiesili. Spojrzałem znowu przez okno, zamordowany wisiał zawsze, a przechodzący z odrazą omijali trotuar, nad którym przy silnym wietrze bujało się martwe ciało Kaweckiego. W parę godzin potem wchodziło wojsko do Warszawy, przez plac bankowy

maszerował 5. pułk ułanów, potem baterya artyleryi, a kiedy nadchodził 2. pułk mazurów, jeden z oficerów podjechał pod latarnią, przypatrzył się wiszącemu, potem uchwycił się za pierś: „Wielki Boże!“ zawołał i padł zemdlony — był to syn Kaweckiego. Z 96 ofiar zamordowanych tej pamiętnej nocy taki był koniec ostatniej ofiary tego bezprawia.

Po wydaleniu się księcia Czartoryskiego z Warszawy zmieniła się forma rządu, sejm oddał władzę generałowi Krukowieckiemu pod jego zwierzchnictwem, armią dowodził generał Małachowski i zaraz, ponieważ było koniecznością zaopatrzyć Warszawę, udecydowano nieszczęśliwą wyprawę Ramoriny. Fałszywe jest mniemanie, że ruch ten nastąpił wskutek rozkazu generała Krukowieckiego, była za nim większość generałów na radzie wojennej zebranych, słyszałem to w dniu wymarszu korpusu, z ust generała Sznajdego i Gawrońskiego. Pochód ten do połowy redukował liczbę obrońców Warszawy, a zaniechanie przygotowania środków przewiezienia wojska (gdyby stolica zagrożoną była), szczególnie zaś za dalekie oddalenie się od niej, bo aż do Brześcia Litewskiego, były powodem upadku Warszawy. Umieli korzystać z tego błędu Moskale; toteż odebrawszy wiadomość, że dwadzieścia kilka mil dzieli połowę naszej

armii od stolicy, postanowili szturm do niej przypuścić.

Siódmego września o świcie huk dział zbudził ze snu mieszkańców Warszawy, i zaraz wszczął się ogień na całej linii bojowej. Fortyfikacye Woli, mogące obstrzeliwać plac między niemi a miastem będący, były pierwszym punktem, na który uderzył nieprzyjaciel. Słyszałem ludzi kompetentnych, utrzymujących, że za słabe było obsadzenie tego fortu, bo prócz artylerzystów, garnizon składał się tylko z dwóch batalionów pułku 10. piechoty (krakowski) pod wodzą znanego Piotra Wysockiego, a całą zaś obroną dowodził generał Sowiński, którego pamięć ze czcią przechowywały w sercach swoich dzieci tamtego pokolenia. Trudno napotkać można było bardziej ujmującą powierchowność, jak było oblicze tego dzielnego obrońcy Woli. Wysokiego wzrostu, silnej budowy ciała, miał na twarzy wyraz wielkiej łagodności i spokoju, biały jak śnieg włos jego, obok ciemnych faworytów, dziwną sprzeczność stanowił z rumianą i pełną młodzieńczej jędrności twarzą generała; — uciętą pod biodro prawie nogę zastępowała kula, na której wsparty, przedstawiał typ weterana wielkiej armii. Obok tych zalet zewnętrznych znakomitą wiedzę i niezaprzeczone zasługi wojenne jego wysoce wszyscy oceniali; był

też bożyszczem uczniów szkoły aplikacyjnej, którą do wybuchu powstania dowodził. Ogniem działowym rozpoczęli Moskale atak na Wolę, ależ kule ziemnym robotom, które stanowiły szanse Woli, żadnego uszkodzenia nie robiły, szturmem tedy brać ją zmuszeni byli. Ledwie z dwóch tysięcy ludzi składający się garnizon zagrzany przykładem dowódcy, dzielnie bronił powierzonej mu pozycji, toteż pierwsza dywizya, co szła po kilka razy do szturm, po ostatnim bezowocnym wysileniu zebrana, 600 ludzi pod bronią przedstawiała. *) Atakujący poczywali chwilę, tylko ogień armatni nie ustawał, i 400 dział moskiewskich a 200 naszych grało bez przerwy, a huk był tak mocny i ciągły, że w Saskim ogrodzie rozmawiający słyszeć się nie mogli. Około 4. z południa przejeżdżając z jenerałem Pacem wzdłuż, zatrzymaliśmy się przy baterii wałowych dział żelaznych, które tak rozpalone były, że kanoniery wodą je zlewać musieli. Staliśmy chwilę, kiedy naraz rozległ się huk tak straszny, że nam się zdało, że ziemia rozpada się pod nami, a kiedyśmy spojrzeli na bok, to wśród kłębow dymu ukazał nam się w powietrzu jakby obłok czarny, z którego spadały jakieś

*) Szczegół ten opowiadał mi najmłodszy z braci jenerała Koczebue, który służył w owej dywizji i był potem w sztabie jenerała Rüdiger, kiedy ten stał w Lublinie.

zwęglone kawałki; to pięćdziesiąta czwarta bateria, sławna reduta Ordon, wyleciała w powietrze, kawałki bujające w górze to były porozrywane ciała Moskale z pułku Liprandego, którego batalion wdarł się do baterii.

Około piątej ponowili Moskale atak na Wolę, a kiedy do fos doszli, zastali je w większej części zavalone trupami braci swoich; celne strzały załogi dopełniły je wkrótce nowemi ofiarami, toteż następne bataliony szły jakby po grobli usłanej z ciał ludzkich. Liczba nareszcie przeważała odwagę, nieprzyjaciel ukazał się na wałach, a pomimo to do połowy już zredukowana załoga nie złożyła broni; w obejściu twierdzy uderzał ten młody żołnierz na bagnety, i odpierał do wałów nieprzyjaciela, ale coraz to nowy przybywał. Wkrótce otoczony do koła poddał się Wysocki, a Sowiński z garstką cofnął się do kościółka; przez zakrystyę dostali się do wnętrza Moskale, i w tym przybytku wiary toczył się bój rozpaczliwy. Nareszcie Sowiński widząc, że do małej kupki zredukowana liczba towarzyszy jego, stanął na stopniach ołtarza i uzbrojony w pistolety czekał śmierci. „Kryczy pardon,“ wołali na niego Moskale; a on na całą odpowiedź z jednego pistoletu zabił oficera, z drugiego żołnierza, poczem kilkanaście bagnetów utonęło w piersi tego bohatera.

Do późnej nocy trwał bój zacięty, rano zaczęły się jakieś rokowania, generał Krukowiecki jeździł do kwatery wielkiego księcia Michała, Paszkiewicza, z ich strony znowu przybył do Warszawy generał kwatermistrzostwa Danenberg, wskutek tych układów do południa było zawieszenie broni. Propozycje Moskali były widno niepodobne do przyjęcia, odrzucono je, i około 1. godziny ozwały się znowu armaty. Poza rogatkami Jerozolimskimi stała brygada kawalerii pod dowództwem generała Skrzydłowskiego, który wyjechawszy nieco naprzód, ujrzał idący jakiś czerwony pułk huzarów, była to lejbgwardya cesarskiej. Poza baterią, koło której przechodzić mieli, postawił generał 4. pułk ułanów, i w chwili, kiedy huzary mijali ją, uderzył z boku na nich. Rozbili ich od razu ułani i taką im klęskę zadali, że plac boju zaczerwienił się od leżących huzarów, słuszne też potem ktoś porównanie zrobił, że pobojowisko wyglądało jak zielony dywan, na którym ktoś półmisek raków wysypał.

Ogromną linią baterii od Królikarni do Marymontu ciągnącą się, nie podobna było utrzymać do dwudziestu prawie tysięcy zredukowaną załogą, toteż ku wieczorowi opuszczono je i wszystkie działa stanęły na szancach Warszawę okalających, a nieprzyjacielskie zbli-

żały się coraz do miasta. W dniu tym dowodził armią moskiewską szef sztabu generał hrabia Toll, w miejscu feldmarszałka Paszkiewicza, który w wilią dostał kontuzji; jednym z adjutantów Tolla był Estończyk pan A. K. (dziś dymisyowany generał dywizji), opowiadał on mi wydarzenie, które za normę służyć może, jak wielkie straty w ludziach ponieśli Moskale przy szturmie Warszawy. Zbliżali się już oni do rogatek Wolskich, kiedy Toll znajdując, że pora stosowna, ruszył piechotę; pułk co szedł na czele, był to 23. jegierski, o trzech batalionach, świeżo z korpusu Rüdigera przybyły. Z rozwiniętymi chorągwiemi, z okrzykiem na cześć generała, który go pozdrawiał, szedł on śmiało i niebawem zniknął wśród dymu, a wpół godziny może potem wysłał generał opowiadającego po jakąś baterią rezerwową; może upłynęło pół godziny znowu, nim wrócił wysłany z działami, z godzinę jeszcze był on obok swego generała, słowem od chwili przejścia owego jegierskiego pułku minęło ze dwie godziny, kiedy naraz stanął przed Tollem jakiś podoficer i prezentując broń:

„Mam zaszczyt“, mówił, „meldować się JW. generałowi, że z dwudziestego trzeciego jegierskiego pułku, ja jeden zostałem, reszta zginęła.“

„Co ty mówisz?!“ zawołał Toll cofając konia, a żołnierz w przekonaniu, że go generał nie dosłyszał:

„Że z dwudziestego trzeciego jegierskiego pułku ja jeden zostałem, reszta zginęła“, powtórzył głośniejszym głosem.

Uchwycił się Toll obu rękami za głowę i zwracając się do sztabu:

„Est-ce un gouffre que cette Varsovie?“ *) zawołał po francusku, nie chcąc być przez wszystkich zrozumiany, a potem stał chwilę zamyślony. Raport podoficera nie zupełnie był prawdziwy, z trzech batalionów zebrano na drugi dzień 250 ludzi zdrowych.

Tymczasem kule dochodziły już do miasta, granaty zapalały bliższe wałów domy, potem ustawili Moskale w półkole kilkadziesiąt dział i bili z nich w Wolskie rogatki; toteż na Czystym w najpiękniejszą pogodę, zdało się, że burza była straszna, takie tumany kurzu wznosiły się w górę, a to kule armatnie tak rwały bruk i ziemię.

Nareszcie noc się zrobiła, pożar się zwiększał, płacz i krzyki uciekających ludzi z palących się domów rozlegały się do koła, już wszystkie ulice do Czystego dochodzące były w ogniu, a wśród płomieni stało ośm batalionów naszych w ściśnionych kolumnach.

*) Czy to otchłań ta Warszawa.

Nie długo ustał ogień działowy, a w rogatkach ukazali się Moskale z umysłu (jak mówią) wpuszczeni; wśród przeraźliwych okrzyków hurra! pijani, jak potok zebrany rozlewali się po placu, a kiedy dochodzili do połowy tegoż, rozległ się huk bębnow i z palących się ulic wypadło owe ośm batalionów. Na ten widok zatrzymali się Moskale i dali ognia, ale z niewielką dla nacierających szkodą, a ci bez wystrzału rzucili się na nich; zwinęły się zaraz naczelne ściany tej pijanej tłuszczy, a nasi batalionami dali do nich ognia, potem uderzyli na bagnety. Wąskie przejście w rogatkach zapchało się ludźmi, parli w nie nasze wiarusy ustępujących, naczelne ściany w plecy uderzały bagnetami, trzecie szeregi z bronią na dół odwróconą przybijały powalonych do ziemi i znaczną przestrzeń poza rogatki szli drogą umoszczoną trupami, aż przeważne siły zmusiły ich do odwrotu.

Pomimo to wtargnienie nieprzyjaciela w miasto nie osłabiło ducha w wojsku i gotowano się do dalszej obrony; w ulicach do Czystego prowadzących wyjmowano okna, w każdym stawało po trzech żołnierzy z bronią, w otwory barykad zataczano działa, za niemi ustawiano kiesony z amunicją, zaczęto wybijać przejścia z jednego domu do drugiego, słowem wszelka była gotowość do uporczywej obrony, kiedy

się zaczęła rozchodzić wieść, że miasto kapitułuje. Nie chciano z początku dać temu wiary, ależ coraz to nowo przybywający potwierdzali tę wiadomość; potem coraz to wolniał ogień, już tylko w długich przestankach pojedyncze dochodziły strzały, nareszcie cichość zastąpiła gwar bitwy, a jednocześnie nadszedł rozkaz cofania się na Pragę.

Z boleścią nie do opisania wykonywał żołnierz ten odwrót, wolno bez żadnego pośpiechu zśliśmy Bednarską ulicą, a kiedyśmy doszli do mostu, to noc była tak ciemna (a raczej wydała nam się taką) jak nie pamiętam; bo oko nawykłe przez kilka godzin do blasku płomieni nic rozróżnić nie mogło. Stanąwszy na Pradze noc spędziłem pod jakimś domem spalonym w czasie bitwy grochowskiej, rano poszedłem do mostu. Mnóstwo osób stało nad brzegiem z okiem zwróconem na Warszawę; byli tam członkowie rządu, senat, izba poselska, wszyscy smutni patrzeli na tę stolicą naszą, na którą wielu po raz ostatni patrzyło. Od jadącego przez most znajomego mi oficera dowiedziałem się, że Moskali niema jeszcze w Warszawie, siadłem więc na koń i ruszyłem tam, żeby kupić tytoniu. Dziewiąta godzina biła na zegarach, kiedy wjechałem w miasto, a pomimo to ani duszy żywej nie spotkałem na ulicy Bednarskiej i części Krakowskiego,

którem przebył dążąc do domu Dobrycza, gdzie był znany mi ferlag. Wszystkie domy, sklepy i okna hermetycznie zamknięte były, cichość grobowa panowała dokoła, zdało się, że z wyjściem obrońców Warszawy uleciało i życie tego zwykle ożywionego grodu. Na silne pukanie moje otworzyła właścicielka składu lufcik i poznawszy mnie spieszenie podała kilka paczek z tytoniem, a kiedy w jej chciał płacić, odsunęła rękę moją.

„Nie chcę! nie chcę!“ zawołała, „wam biednym pieniądz potrzebniejszy jak nam“, dodała i rzewnie się rozplakała.

Wzruszony chowałem po kieszeniach dar pocziwej kobiety, kiedy od św. Krzyża posyłałem stąpanie koni po bruku; rzuciłem okiem w tę stronę i ujrzałem dwóch oficerów moskiewskich ze sztabu w płaszczach i kapełuszach ceratą pokrytych, za nimi jechało dwóch kozaków; rozglądali się oni na wszystkie strony, a kiedy mnie mijali, słyszałem, jak jeden mówił do drugiego: „sławny gorod, jej Bohu, sławny“, i patrzył po domach. Powodem tego spokojnego zachowania się ich względem mnie było zastrzeżenie w kapitulacji, że do czterdziestu ośmiu godzin wolno każdemu opuścić Warszawę. Nie mogę wypowiedzieć, jakie bolesne wrażenie zrobił na mnie widok tych Moskali przejeżdżających się swobodnie

po opuszczonem przez nas mieście, toteż smutny wróciłem na Pragę.

O południu ruszyliśmy w marsz, a kiedyśmy się znaleźli naprzeciw koszar gwardyackich, gdzie był lazaret, ujrzeliśmy kupę nieco zdrowszych żołnierzy naszych, co wsiadali na galary, żeby się połączyć z nami. Noc spędziliśmy w Jabłonnej, na drugi dzień o południu byliśmy w Modlinie. Licha ta miejscina nie przedstawiała nam schronienia, ledwie sztaby pomieszczenie znalazły; na salę obrad sejmu wybrano jakiś śpichrz, gdzie ławy z tarcic na klocach sparte były siedzeniem senatu i izby poselskiej; pod ścianą stało odarte kościelne krzesło dla marszałka sejmu, przed nim na prostym dębowym stole leżała hebanowa laska marszałkowska, kosztownie oprawna, z orłem naszym na wierzchu, takie było miejsce obrad reprezentantów dwudziestomilionowego narodu.

Z poddaniem się Warszawy upadło powstanie, armia co jej broniła, weszła do Prus, korpus Ramoriny do Galicyi, rezerwy pod Różyckim do Krakowa, i zaraz wielu poszło na emigracyą. Przybyli oni do Francyi poproszeni zaszczytną o nich opinią, wojskowi okryci aureolą odwagi, a członkowie senatu, izby poselskiej i rządu, poświęceń z osób i mienia, przytem nieposzlakowanej prawości

w szafunku grosza publicznego, zalety, które dziś do tradycyi należą. Wywołały one z ust cesarza Mikołaja mimowolne uznanie, bo kiedy mu Stanisław Grabowski, kontrolor jeneralny przedstawiał rachunki z czasu powstania, gdzie każdy wydatek usprawiedliwiony był, to cesarz zdziwiony tą akuratanością: „Il faut avouer que c'étaient d'honnêtes gens,” zawołał.

* * *

Założeniem tego ustępu (jeżeli sobie czytelnik przypomnieć zechce) jest wykazanie, że żaden naród nie staczał tylu zwyciężkich bojów z kilka razy silniejszym nieprzyjacielem, jak Polacy; i zdaje mi się, że nie obrażając prawdy, nie nakręcając faktów historycznych, istotą czynów usprawiedliwiłem to twierdzenie. Z łatwością mi to przyszło, bo społeczeństwo nasze od początków po rok 1831 zachowało odrębny ustrój, niepodobny do reszty Europy; w nim wady z naturą ludzką nierozdzielne przeciwwały wielkie cnoty i zalety. Odwaga była jedną z takich, a sromotna ucieczka z placu boju rzeczą niepraktykowaną. Francuz żołnierza zhańbionego tym czynem nazywa un fuyard, Niemiec ein Flüchtling, nasz język tak bogaty w wystowienia, nie posiada na to wyrazu, a to dla naturalnej przyczyny, że czyny nie wywołały potrzeby; życzyć należy,

żeby ta próżnia jak najdłużej pozostała w słowniku polskim, bo pokolenie, co będzie zmuszone ukuć ten wyraz, zapomni orężnej sławy ojców swoich.

Od lat czterdziestu wielkie u nas zaszły zmiany w pojęciach, wpływ zachodu amalgaamuje nas z sobą i zaciera narodowe cechy nasze, w imię jakiegoś postępu podkopał on wiarę, stargał stosunki rodzinne i towarzyskie, zaprzeczył wszelkiej własności, wszystko to dla jakichś nieobliczonych korzyści, które mogły być udziałem ludzkości. Jakiż skutek tych zabiegów? jaki owoc tego rozbratu z przeszłością?...

I odpowiedział na to pytanie arcykapłan nieprawości, bo na ołtarzu tego nowego Baala wyrył ognistemi czcionkami zdanie, które ma być godłem dzisiejszej epoki: Siła przed prawem.

